

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



KAROL HUBERT ROSTWOROWSKI

DRAMATY WYBRANE

**WSTĘPEM POPRZEDZIŁA:
MARIA CZANERLE**

TOM DRUGI

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

KAROL HUBERT ROSTWOROWSKI

**NIESPODZIANKA
PRZEPROWADZKA
U METY**

NIESPODZIANKA

PRAWDZIWE ZDARZENIE W CZTERECH AKTACH

*Mojemu bratu
XAWEREMU PUSŁOWSKIEMU
poświęcam*

DO PUBLICZNOŚCI

„RZECZ”, KTÓRĄ PAŃSTWO ZOBACZYCIE,
UŁOŻYŁO ŻYWE ŻYCIE,
TEN DRAMATURG, CO SIĘ NISKO
SCHYŁA NAD KAŻDĄ KOŁYSKĄ,
CO SUMIENNIE TOWARZYSZY
DZIENNEJ WRZAWIE, NOCNEJ CISZY,
I CO IDZIE RAZEM Z NAMI,
CZYŚMY SAMI, CZY NIE SAMI,
CZYŚMY MĄDRZY, CZYŚMY GŁUPI,
CZY NAS KUPI, CZY NIE KUPI –
A SCHODZI OSTATNI Z POLA,
KĘDY DOLA I NIEDOLA
W MNIEJSZEJ LUB WIĘKSZEJ PARADZIE

TAK SAMO SIĘ DO SNU KŁADZIE.
DZISIAJ ZAJRZAŁ... NIE DO CHATY!
BO TEN, KOMU DOMEM ŚWIATY,
NIE WIDZI ZBYTNEJ RÓŻNICY
MIĘDZY IZBĄ KOMORNICY
A TAKĄ OLBRZYMIĄ SALĄ,
GDZIE SIĘ LAMP TYSIĄCE PALĄ
I MYŚLĄ, ŻE BIJE ŁUNA
OD BIEGUNA DO BIEGUNA.
ON ZAJRZAŁ DO WŁASNEJ KUŹNI.
W NIEJ KOWALI NIE ROZRÓŻNI,

CHOĆBY DŁUGO KRĘCIŁ SZYJĄ!
WSZYSTKIE SERCA JAK MŁOT BIJĄ,
WSZYSTKIE PIERSI JAK MIECH DYSZĄ,
WSZYSTKIE GŁOWY SIĘ KOŁYSZĄ
W GÓRĘ, NA DÓŁ, W LEWO, W PRAWO
NAD TĄ ROBOCIZNĄ KRWAWĄ,
CO NAM OGNIEM W ŻYŁACH PŁYNIE –
WIĘC ZECHCIEJCIE W TEJ GODZINIE
ZAPOMNIEĆ O WSI, O MIEŚCIE,
A MYŚLAMI SIĘ PRZENIEŚCIE
W TAJEMNICZĄ GŁĄB CZŁOWIEKA,
CO RÓŻNIE SIĘ PRZYOBLEKA,
LECZ, POMIMO TYCH RÓŻNOŚCI,
JEST CZŁOWIEKIEM Z KRWI I KOŚCI.

O S O B Y

OJCIEC, lat 53
MATKA, lat 47

ich dzieci:
ANTEK, lat 28
FRANEK, lat 23
ZOŚKA, lat 13

ABRAMEK, lat 48
RYFKA, jego żona

parobczaki:
FELEK
JĘDREK
STASZEK
JASIEK
KUBUŚ
KASPEREK

STARY CHŁOP
LUDZIE WSIOWI

AKT PIERWSZY

IZBA W DOMU SZYWAŁÓW

Lewa ściana (od strony widowni):

Na pierwszym planie niegdyś malowana skrzynia. Za skrzynią drzwi – głębiej piec z okapem, z tak zwanym „kominkiem” i z piecem chlebowym. Na kominku garnki kuchenne, stojące na żelaznych „dynarkach” – przed piecem ława.

Środkowa ściana:

Z prawej familijne łóżko z pierzyną – z lewej drugie łóżko, „paradne”, żelazne, nakryte starą czerwoną, wyzwoloną z prześcieradła watówką, i wyposażone w poduszkę z poszewką, o której kolor lepiej nie pytać. – Przy łóżku stoi również „paradne”, bo – kronika rodzinna zapewnia – wyplatane, w istocie zaś rozplecione krzesło. Nad łóżkami rząd zniszczonych, świętych obrazów.

Prawa ściana:

Dwa małe okna, każde o czterech szybkach, których suma ogólna równa się – pięć, gdyż resztę zastąpiono papierem. Wzdłuż ściany, między oknami, ława – kolor naturalny – przed ławą stół i druga ława, którą dla orientacji nazwiemy „zewnątrzną”. Te trzy sprzęty stanowią pod względem wieku, wykonania i innych właściwości doskonały „garnitur”. Koło jednego z okien przybito do ściany „kinkiet” z blaszanym, żółtym, okrągłym reflektorem. Ów kinkiet oświetla scenę dostatecznie, ażeby móc dokładnie zdać sobie sprawę z każdego szczegółu tak wydoskonalonej nędzy, że „paradne” łóżko i krzesło robią wrażenie jakiejś burżuazyjnej prowokacji.

W takim otoczeniu, na zewnętrznej ławie, siedzi MATKA i ceruje męską, kolorową „pańską” koszulę. Koło pieca myszkuje ZOŚKA i – bacznie śledząc Matkę – zagląda z kunsztowną zręcznością do garnków. Nagle zawodowa pomyłka – bez szelestu podniesiona pokrywa wypada z rąk – łoskot – panika – błyskawiczne poprawienie błędu – trwożny bezruch – wszystko na próżno!

MATKA

(o ponurej, jakby zakamieniałej twarzy, groźna niepodniesieniem oczu od roboty)
Nie zaziraj do garnków! – Ni ma po co!

ZOŚKA

(słup soli chlipiący nosem)

Kie mama...

MATKA

(jak wyżej)

Jak gadam, to gadam. Coś miała zezryć, toś zeżarła, więc kładź się spać.

ZOŚKA

(buczy).

MATKA

(podnosi oczy, co wywołuje przykucnięcie Zośki, i wydziera się)
A jak mi bedzies tu buczyć, to cię wygnam na pole i tyła! *(szyje).*

ZOŚKA

(z myślą przezornością chce schować się do łóżka)

MATKA

(ponowny błysk podniesionych oczu)

A pacierz kto za ciebie odmówi? – Klękaj! *(szyje)*.

ZOŚKA

(już na kolanach)

W imię Ojca i Syna...

MATKA

Głośnij! – Do nieba kawał drogi. Trza się wydzierać. *(Na stronie)* Choć i tak pewnikiem nie usłysom.

ZOŚKA

(ponownie się żegna i klepie «Ojcze nasz», nie uznając trzech rzeczy: interpunkcji, modulacji głosu i ogonka pod literą „e“).

MATKA

(nagłym ruchem porzuciła szycie – przeżegnała się i złożyła ręce. Dziurawa koszula co innego, a Królestwo Niebieskie co innego! Toteż wyraz twarzy ulega zmianie. Twarde, suche oczy miękną i wilgną – a skoro ma być mowa o chlebie powszednim, wrywa się z piersi coś w rodzaju krótkiego szloch. Lecz nie trzeba dać znać po sobie! więc niby szorstko, a właściwie bardzo niepewnym głosem:)

A o Jantosiu nie zabac, żeby przecie z tyj Ameryki trocha... *(znowu szloch)* dularów...

ZOŚKA

(zauważyła i odwróciła się w stronę Matki).

MATKA

(z przesadną surowością)

Co się gapis?! Jak z Panem Jezusem obcuje, to się w Pana Jezusa patrz! *(zawzięcie szyje)*.

ZOŚKA

...i odpuść nam nasze winy...

(Wchodzi OJCIEC. Widząc, że ZOŚKA się modli, zdejmuje kapelusz, żegna się i stoi nieruchomy, patrząc posepnie w podłogę).

MATKA

(podnosi szybko głowę – ściąga brwi, na wpół otwiera usta i z trudem czyta, co się tam kryje za tą ojcowską twarzą: zła wieść czy dobra?)

(Kiedy ZOŚKA odmówiła zdrowaskę i Chwała Ojcu, i tak, w przyodziewie, zaczęła znikać pod pierzyną, Ojciec nagle maskuje się, kładzie kapelusz na głowę, siada na skrzyni – wyjmując z kieszeni paczuszkę tytoniu i bibułki, wreszcie bardzo wolniutko zaczyna kręcić papierosa).

MATKA

(na maskę Ojca odpowiada maską, na kręcenie papierosa szyciem. Siedzą naprzeciw siebie dwa kawałki drewna – dwa rozmyślne automaty).

OJCIEC

(chowając tytoń do kieszeni, a wyjmując zapalnik)

Podkreść lampę.

MATKA

(zajęta nawlekaniami igły)

To nie zaśnie.

OJCIEC

A ino *(zapala papierosa)*.

(Pauza jakby wywczasowa).

OJCIEC

Siednij se blizy światła.

MATKA

Kie widać.

OJCIEC

(w kłębie dymu)

A ino.

(Druga pauza).

OJCIEC

(przez zęby)

Zośka?...

(Milczenie).

OJCIEC

Śpi.

MATKA

Zaś by spała. Strzyże usami jak ten koń.

OJCIEC

(po pauzie)

Zośka? Kces cukierka?

(Milczenie).

OJCIEC

(do Matki, wskazując na Zośkę)

Dziś.

MATKA

(szyjąc)

Bo zharowana dzieucha.

OJCIEC

(z gorzką drwiną)

Niby cem. Tom ostatniom krowinom, co już nawet kropli mlika z cycka nie wypuści, bo pysk ma ino od rycenia?

(Czwarta pauza).

MATKA

(arcydzielo obojętności) Ile ci za niom daje?

OJCIEC

(gwałtownie)

Gównno mi daje!!! *(Za chwilę wielki pan)* Przecie jej nie przedam.

MATKA

(jadowita)

Takiś to Amerykan. – To po cóżeś ganiał do Jabramka?

OJCIEC

(zacięty)

Przedam gront, ale krowy nie przedam! Będę krad, ale krowy nie przedam!

MATKA

(jak wyżej)

Kupa się tego grontu ostała. Jaze półtora morgi.

OJCIEC

(z wybuchem)

Ostanie zagon i krowa!! *(drewnieje).*

MATKA

(po piątej pauzie, niby ot tak sobie)

Mało ci za niom dawał.

OJCIEC

(ruszywszy lewym ramieniem)

Peda, ze chuda. *(Po chwili)* Cymze jom wypasę? *(Wskazując na familijne łóżko)* Tym siennikiem? *(Szósta pauza).*

MATKA

(od niechcenia)

Ha no... bo żebyś się nie był upirał...

OJCIEC

To co.

MATKA

(szyjąc – z prostotą)

To wsyćko byłoby po staremu. Ale żeś się upirał, to i posilmy na dziady.

OJCIEC

Ciekawość ino, kto z nas pirsy zacoł. Ciekawość ino, cy to ja o tyk wielgaknyk rozumak Franka ciągiem prawil – jaki to niby spekulant, jak to wsyćko do razu wymiarkuje – jak to bez nijakiego zachodu dobije się profesury...

MATKA
(z wybuchem)

A bo prawda!

OJCIEC
(*jakby nienawistnie*)

Juści ze prawda. Totyz kie ukończył gimnazyje, to tera niek końcy filozofije.

MATKA

Za co.

OJCIEC
(*karmiący Franka własną krwią*)

Przedawalem dotond, będę przedawał dalij, a chopaka z drogi – (*rzucając papierosa o ziemię*) nie zawrócę!!

MATKA

Lepij za rychło jak za późno. Na dwa roki i tak już grontu nam nie starcy. – A bez dularów Jantka byłoby i przódy – wiadomo cemu, wiadomo cemu – nie starcyło.

OJCIEC
(*coraz większy ofiarnik*)

A co ma chopak robić?! Wracać do gnoju, kie wsyćkie siły z gnatów do głowy mu posły?! (*Zapalając się*) Cy to moja wina, ze Jantek psiawiara od łońskiego roku ani grosicka nam nie posłał?! – Cy to moja wina, ze ciarachy same się dzisiak ucom i kurypitetorów nie biorom?! – Cy mogłem Duchem Świentym odgadnąć, ze Jantkowi syrce się uodmieni?!

MATKA
(*z pyskiem*)

A skondze ty wiś, ze syrce mu się uodmieniło?!?! Skondze ty to tak akuratnie wiś?! A jeśli chuery?! A jeśli pomar?! To co?!!

OJCIEC
(*pełen mądrości*)

Jakby pomar, to przysłałyby papir. A jak nie przysłały papiru, to nie pomar.

MATKA

Ale w śpitalu może gnije!

OJCIEC

Ka! Na bezludziu?! – Niby to poety nie chodzom?! – Już ja go znam. Ja go znam! – Gadałem: „pilnuj swego”. Gadałem: „bier gront po ojcach”. Gadałem: „Tobie, gospodarskiemu synowi, wstyd gonić za dorobkiem”. Nie i nie! – Beło mu mało. Widział, ze Józek Scibor, dziad z dziada, przy złotym zygarku chodzi – widział, ze Symek Wrona, także dziad z dziada, kamienice we wsi stawia – to i on musi koniecznie! – no i posed na zatracenie nase!

MATKA

Choćby zaś i nie posed, choćby się nawet nic nie zmarnowało – to ciekawość, czego by pilnował i co by po tyk ojczak brał. Ozdziel seść morgów na troje i zważ sobie, co mi za pikne gospodarze! *(Zmieniając ton)* Jeden miał głowę, drugi rence, więc jeden posed robić głowom, a drugi renkami. I to .jakimi renkami! Chopak był nie ułomek! Gładki! Jesce se takom kobitę tam weźnie, ze bedzies przed niom... capkował!

OJCIEC

(złaząc ze skrzyni)

E!... Końca z tobom nie dojdzie! Raz kces po staremu, raz kces po nowemu, a tymcasem Frank gada, ze jak nie najdzie piniendzy, to się uobwiesi abo co.

MATKA

(wstając z tragiczną złością)

Niek się obwiesi!

OJCIEC

(pokazując kinkiet)

Podkreń lampę.

MATKA

(roztrzęsiona manipulując koło lampy)

Niek się obwiesi! *(Nagle popłakując)* Coze ja mu pomogę, sirota?! Krowy nie kcom, *(pokazując paradne łóżko)* jego łóżka także nie kcom – bo wiedzom, ze jak bida przyciśnie, to wszycko darmo dostanom!...

OJCIEC

(który siadł na zewnętrznej ławie, rozłożył na stole tytoń i bibułki, kręcąc drugiego papierosa)
Obudzis Zośkę!

MATKA

(wciąż przy lampie, lecz bezrobotna)

Zeby tego Jantka pokreńco! – Pewnikiem jaka dziwka gwizdnęła na niego i wszycko ściąga do siebie.

OJCIEC

Pedam ci, ozbudzis Zośkę, a bekiem grosa nie przycynis. Jutro targ w mieście. Pódziewa. Weźniemy krowę, Frankowe łóżko... co dadzom, to dadzom... jak mus to mus.

MATKA

(która stanęła przed oknem i, Bóg wie po co, patrzyła w świat, jeszcze zapłakany głosem, jakby na stronie)

No juści ze chyba dziwka. Jakże. Wyjechał ze strykiem... Zara. Jemu beło... dwanaście roków. Zośka urodziła się... we trzy roki potem. Dzisiak jest jej... trzynaście roków. No to będzie temu... akuracicek... roków szysnaście. I zawdy, prawie od pocontku, ile ta móg, słał. Pół dulara, dular, ale słał. Dopiro tera, kie najgorzy...

OJCIEC

(z pasją)

Zawdy tak! zawdy tak! Kie najgorzy, to jesce psiakrew *(waląc pięścią w stół)* dociśnie!!

FRANEK

(w studenckiej czapce wchodząc)

Cóż ojciec tak krzyczą *(nie czekając na odpowiedź, zdejmując czapkę i rzuca ją na paradne łóżko)*.

MATKA

(odeszła szybko od okna i zamaskowała się na beztroskę).

OJCIEC

(również zamaskowany, zdejmując kapelusz: przykład syna)

Zwyczajnie.

FRANEK

(który zaczął się rozbierać, zdejmując marynarkę i wieszając ją na paradnym krześle – na stronie)

„Zwyczajnie”.

(Pauza).

MATKA

(która wodziła wzrokiem za Frankiem – nieśmiało)

Ozdziwas się?...

FRANEK

(który siadł na paradnym krześle, rozsznurowując trzewki)

Tak. *(zdejmuje trzewiki i stawia je przy krześle)*.

OJCIEC

(gdy Franek skończył z trzewikami)

Kaś był.

FRANEK

(zdejmując kamizelkę, co odsłania koszulę z dużą dziurą na plecach)

U nauczyciela.

OJCIEC

(gdy Franek złożył kamizelkę na krześle)

No i coście nowego uraili.

FRANEK

(rozwiązując krawatę i zdejmując kołnierzyk)

A nic.

MATKA

(gdy Franek usiadł na krześle i zabrał się do ściągania spodni)

A nie przegryzbyś co?

FRANEK
(ściągaając spodnie)

Nie.

MATKA
(gdy Franek złożył spodnie na krzesło)

Bo mamy. Mamy.

FRANEK
(ściągając bardzo dziurawe skarpetki)

Już jestem po kolacji.

MATKA
(nieśmiało)

Zarzelimy kogutka la ciebie...

FRANEK
(kładąc skarpetki na krzesło – nagle okropnie sucho)
Zjedzcie go sami. *(Podchodząc do zmieszanej Matki i całując ją w rękę z niespodziewanym wzruszeniem)*
Dobranoc, Matusiu.

MATKA
(z wybuchem serdeczności, tuląc Franka do piersi)
A śpij, chudziaku! Spij! – Co prześpis, to twoje!

FRANEK
(jakby na stronie)
Tak. *(Podchodząc do Ojca, obojętnie)* Dobranoc.

OJCIEC
(płacąc tą samą monetą)
A dobranoc *(pocałunku nie było)*.

FRANEK
(zaczyna dziwaczyć. „Cóż on wyrabia?” zdaje się medytować zaniepokojona Matka. Bo oto podszedł do paradnego łóżka, ściągnął poduszkę – zdjął z gwoźdźca miejski, wyszarzały paltot – podszedł do ławy pod piecem – rzucił („olaboga”! – zdaje się cierpieć Matka) poduszkę na ziemię – siadł na ziemi – rozłożył paltot na piersiach, jakby się kołdrą nakrywał – położył się na wznak – założył ręce pod głowę i leży („jak ten pies” – kiwa głową matka) patrząc i patrząc niesamowitym wzrokiem w jeden punkt powały).

OJCIEC
(otworzył gębę, ale właściwie cóż go to może obchodzić).

MATKA
(lekko drżącym głosem)
Cemu wydziwias, Franuś?

FRANEK

(bez zmiany pozy, jakby sennie)

Nie wydziwiam. Matusiu. Naprawdę nie wydziwiam.

MATKA

(po chwili)

Przeziembis się...

FRANEK

(jak wyżej)

Ciepło.

(Długa, ciężka pauza).

OJCIEC

(byle cos powiedzieć)

A kie się te twoje nauki zacynajom.

(Milczenie).

OJCIEC

Jakosi... za dwie niedziele.

(Milczenie).

MATKA

(nie mogąc dłużej zapanować nad sobą)

Bedzies miał! Wszyćko bedzies miał! I ksiozki bedzies miał! i na komorne bedzies miał! i na obiady bedzies miał! i na przyodziwek bedzies miał!...

(Milczenie).

MATKA

Ozwijze się chopaku na Boga!

(Milczenie).

OJCIEC

Hardy.

FRANEK

(wciąż bez ruchu, coraz niesamowiciej – coraz sennie i słodziej)

Nie hardy. Naprawdę nie hardy.

OJCIEC

(zły)

No to gupi! *(Po chwili)* Zwazze se. – Mas ino dwa roki do ukończenia. Po dwók rokak zdajes dochtorat i jezdeś pan. Wtedy bierzes do siebie matkę, Zośkę...

FRANEK

(jak wyżej)

Wtedy nie biorę do siebie nikogo, bo bez pomocy Antka dopiero wtedy jestem dziad.

OJCIEC

Jakim sposobem?!

FRANEK

(zupełny miód)

Takim sposobem, że podobnych do mnie są całe fury... *(Nagle sucho a wciąż bez ruchu)*
Zresztą nie ma o czym gadać.

OJCIEC

To po cożeś się pchał.

FRANEK

(znowu pełen słodczy)

Wyście mię pchali.

OJCIEC

(zły)

Kie!

FRANEK

(zaczyna z wolna fermentować)

Z początku.

OJCIEC

(zatknięty)

No ale... ale potem!

FRANEK

To co innego.

OJCIEC

A dziś! a dziś! – Dyc już od czwartyj klasy nie dospałeś, nie dojadeś, ino te ksiozki, te ksiozki... Taka cię goroncka trawiła!

FRANEK

(prawie sucho)

Bo jak się raz co zacznie – trzeba skończyć.

OJCIEC

Toteż i skończys.

FRANEK

(dotychczas nieruchomy, zrywając się na równe nogi, z pasją)

A skończę!!! Skończę wcześniej, niż wam się wydaje!! Ale skończę... *(Waląc się kułakiem w piersi)* po mojemu!! Wykolejeńca ze mnie nie zrobicie!!!

OJCIEC

(z podniesioną pięścią, dysząc ze złości)

Pyskujesz?! *(nacierając na Franka)* Grozisz?!!!

FRANEK

(przez zaciśnięte gardło, dygocąc na całym ciele)

Niech Ojciec biją! Niech Ojciec nawet zabiją!!

MATKA
(chwytając się za głowę)

Laboga!!

OJCIEC
(jak wyżej)

To my ostatniom krowine!... to my ostatni grat!...

MATKA

Nieprawda, Franuś! nieprawda!!

OJCIEC
(jednocześnie)

...a ty... ty śmierzciom za to płacis?!!

FRANEK

(rzucił się w stronę paradnego krzesła i gorączkowo, jak się da, wciąga spodnie, przepasuje się rzemieniem, chwyta marynarkę, wciąga bez zasznurowania jeden trzewik na bosą nogę i w tym dorywczym, stroju – z marynarką przerzuconą przez ramię – stara się dopaść do drzwi).

OJCIEC

(ani na chwilę nie przerywając grzmiącej nauki)

To taka wdzienność?!! Takie syrcę?!! To całom nasom zmarnowanom chudobę mamy wraz z tobom do ćtyrek desek wrzucać?!! – Uodpasuj się!! Uozdziwaj się!! *(Barykadując swoim ciałem drzwi)* Nie pódzies!!! Przysiengam na rany Chrystusa, ze nie pódzies, chyba po moim trupie!!!

MATKA

(wciąż trzymając się za głowę)

Jezu!! *(skamieniała z przerażenia).*

FRANEK

(stanął jak wryty tuż przed Ojcem. Przecie go nie uderzy ani nie odgoni. Ale za to może dygotać na całym ciele z bezsilnej, po prostu czarnej rozpacz. Rzuca więc marynarkę na ziemię – bosą nogą ściąga trzewik z nogi obutej i kopniakiem posyła trzewik do stu diabłów – wreszcie wykrztusza, krótkie zdławione:)

Zostanę.

OJCIEC

(który oczekiwał takiego zakończenia sprawy, spokojny tryumfator:)

Dzienkować Bogu.

(Zrobił swoje – siada więc na skrzyni i zamienia się w zupełnie obojętnego obserwatora).

MATKA

(podnosi marynarkę – rozwiesza ją na krześle, podnosi trzewik i stawia go na dawnym miejscu – a czyniąc to, spogląda co chwila biednym, macierzyńskim wzrokiem na Franka, bo czuje, że bardzo źle z nim się dzieje).

FRANEK

(usiadł na zewnętrznej ławie – lewym łokciem rozparł się, ale smutnie, na stole – podparł głowę na lewej ręce, a wskazującym palcem prawej kreśli jakieś tam bezsensowne figury. Czynności tej przypatruje się szklanym wzrokiem).

MATKA

(gdy ukończyła porządkowanie, podchodzi do Franka i prawie że półgłosem pociesza, gładząc jego włosy)
Sparło cie, Franuś. Sparło. Ale uobacys, co do rana pofolguje.

OJCIEC

(gdyż obojętność nie lubi sentymentów)
Ostaw go. Casem najlepiej, bez porady.

MATKA

(widząc, że jej „porady” nie odnoszą żadnego skutku, siada pokornie na skrzyni obok Ojca).

ZOŚKA

(zerwała się i usiadła na łóżku, gdy padły ojcowe słowa: „nie pódzies” Teraz szybko się kładzie, odwraca twarzą do ściany i udaje, że śpi),

FRANEK

(po pauzie, jak wyżej)

Przed wszystkim... *(urywa)*

MATKA

Mów, synusiu. Mów.

OJCIEC

(tępo słucha).

FRANEK

(po chwili jak wyżej)

Przed wszystkim... co się dotyczy chudoby... to nie moje nauki, ale ojcowe – picie.

MATKA

(potakując głową)

Mów, synusiu. Mów.

FRANEK

(a głos jego załamuje się i rwie co chwila) Do zeszłego roku... żyłem z łaski Antka. Od zeszłego roku... z łaski mojego... brzucha... któremu trzy, a czasem cztery razy na tydzień... wystarczał kawałek suchego chleba... i szklanka czystej herbaty.

(Po chwili)

Ale nawet mój brzuch ma swoje granice... i dłużej tak...

(Po chwili)

Tymczasem ojciec ciągle pił.

(Po chwili)

Ja tu ani nie sędzę, ani nie robię wyrzutów...

(Po chwili)

...ja stwierdzam.

OJCIEC

(powstał, rozkraczył w kolanach zgięte nogi, przechylił się naprzód i z otwartą gębą słucha).

FRANEK

(po pauzie)

Na ojcowiznę nigdy nie liczyłem, tylko na własne siły.

(Po chwili)

Myślałem, że wam do śmierci wystarczy... a że we dwóch z Antkiem nie damy... Zośce zdechnąć pod płotem... albo, co gorsze, zejść na psy.

(po chwili)

Wam nie wystarczyło... Antek przepadł... a ja... bez lekcji, za którymi na próżno goniłem z wywieszonym językiem... chociażby za... dosłownie łyżkę strawy... ja rozumiałem, że już... nie doskoczę.

MATKA

(fartuchem otarła łzy).

FRANEK

(wciąż zajęty kreśleniem figur – po chwili)

Chcecie sprzedać krowę. Chcecie sprzedać resztę gruntu. Gdyby Antek dalej pomagał – zgoda. Ale bez Antkowej pomocy wara – bo świnią nie byłem i nie będę. *(Po chwili)* Jeżeli dotąd pozwalałem wam gnieść się we troje na jednym łóżku, podczas gdy sam wylegiwałem się *(wskazując głową paradne łóżko)* tutaj... to robiłem to jedynie dlatego, żem się szanował przez wakacje... bo tam wylegiwać nie było. Tam była harowa... bez muzyki w karczmie i bez poczęstunków na jarmarkach. *(po chwili)* Dzisiaj co innego. Dzisiaj trzeba szanować przede wszystkim Zośkę. Małe toto... nędzne toto. *(Wstaje – z rosnącym oburzeniem)* Słuchajcie! – Jej chałupa, jej grunt, jej krowa, jej graty, a każdy kieliszek wódki, to jej – o pomstę do nieba wołająca – krzywda! *(Przybiera poprzednią pozę – po chwili prawie bez głosu)* Bo mnie krzywdy już nikt zrobić nie potrafi.

(Długa pauza).

OJCIEC

(jak to bywa – pokorny wobec nareszcie nagiej prawdy)

Franek. Ino bez harmideru. Tak na rozum. Za pół morgi gruntu – pirsy numer – dadzom... do tysionca. Cała morga, chaupa i krowa ostanie przy Zośce. Wedle onego picia – jak Pana Jezusa pragnę w godzinie śmierci – ani kuśtycka! Ani kielisecka! – No i cóż? – My jakosi przetrzymamy – ty doskocys – a może przecie i z Jantkiem wrychle się wyklaruje...

FRANEK

(oddzielając każde słowo)

We troje – jakoś – przetrzymacie – na jednej – jedynej – mordze?

OJCIEC

(załgany)

Z pomocom Bozom...

FRANEK

(powoli wstając i następując na ogłupiałego Ojca, niby to spokojnie, a prawie groźnie)

A zarznąłście dla mnie kogutka. A onegdaj zarznąłście kurkę. A od jakiegoś czasu żonie nauczyciela ginie drób. *(Z wybuchem)* Kradniecie!! Już kradniecie!! I to gdzie!!

OJCIEC

(ruszając ramionami jak wyżej)

Coze znowu...

MATKA

(również załgana, jednocześnie)

W imię Ojca i Syna...

FRANEK

(składając ręce)

Na litość Boską, przynajmniej nie kłamcie! *(Gorączkowo)* Wracam stamtąd. Przecież wracam stamtąd. Była o tym mowa. Dzisiaj kogut. Onegdaj kura. *(Szarpiąc się za włosy i prawie goniąc po scenie)* Nie! To doprawdy zwariować można!

OJCIEC I MATKA

(Przerażeni i zdumieni patrzą po sobie).

MATKA

(biorąc na odwagę i chodząc za Frankiem – bardzo trzeźwo i rozsądnie)

Uspokójże się, Franuś, i zekcij grzecznie wysłuchać. – Dyć mas się ku ik córce. Dyć ik córka ma się ku tobie. Dyć rodzice godzom się na ciebie, jak dojdzies do posady. – Dziadować u nik nie będę, bo wstyd. – A tak, to jakby ze swego do swego. Przecie i la nik cię pasę.

FRANEK

(który po słowach: „dyć mas się ku ik córce”, stanął jak wryty i z rosnącą grozą słuchał matczynych wywodów, nie wierząc własnym uszom)

Co wy... mówicie... matusiu?

OJCIEC

Gada, ze...

FRANEK

(bardzo szybko)

Czekajcie. Ojczę. *(Nerwowo głaszcząc Matkę po twarzy i prowadząc ją w stronę zewnętrznej ławy)* Chodźcie. Chodźcie. Siądziemy sobie na ławie. O tak. Blisko. Bliziusieńko. Po staremu.

MATKA

(nic nie rozumiejąc)

No i co, synku. No i co.

FRANEK

No i, matusiu... *(Nagle podnosi głowę – przez chwilę patrzy badawczo w oczy Matki, po czym, rozpaczliwie opuszczając głowę i wyłamując palce)* – No i nic.

MATKA

(głaszcząc Franka po głowie)

Lacegoz tak, synku. Lacego.

FRANEK

Bo... bo, matusiu... *(wybuchając płaczem i tuląc twarz do matczynej piersi)* bo... nie zrozumiecie!

MATKA

(jak wyżej, ale już z jadem w pozornie czułym głosie)

Cegoz to nie zrozumie. Cego.

FRANEK

Być synem... być synem pijaka...

MATKA

(jak wyżej)

...i złodziejki... *(po chwili: coraz więcej jadu)* Hano... kto wysoko zalaż, temu wsyćko z góry maluśkie widzić się musi. *(Nagle zrywając się i odtręcając Franka – dziko)* Prec ode mnie!!

FRANEK

(czepiając się kolan matki)

Matuś!

MATKA

Pedam ci, prec ode mnie!!!

FRANEK

(który runął połową ciała na ławę, klęcząc i opierając głowę na rozpaczliwie splecionych ramionach)

Matuś!!

OJCIEC

(od dłuższego czasu usiadł na Frankowym łóżku. Mruży oczy i kurząc papierosa, sledzi scenę bez najmniejszego wzruszenia).

MATKA

(biorąc się pod boki)

Uodmieńce zatracony! Miastowy hunorniku! Ozwiraj te ślipia, wyzarte twoimi mondrościami! Ozwiraj je syroko i patrz, a może na koniec obacys, ze tom renkom – widzis jom?! tom matcynom renkom ja bym la was nie tylko kradła, hale bym nawet i – zabijała! – Bo ja nie cackam się z ksiozkami, hale pazurami ziemie drapie! – I kie przyndzie uostatečna bida, to robię się kwarda, kieby ta ziemia na mrozie! – A co mi wase hunory i nauczycielowa gadzina?! – Ja kce, wiś cego kce, synu pijaka i złodziejki?! – Ja kce, zamias umrzyka, dać ik córce żywego chłopca do łóżka!! I dam!! Słysys mnie? dam, chociabym miała cartu przędac duse!! Chociabyś miał kamieniem we mnie prasnąć!! *(Podchodząc do Ojca i ściągając go z łóżka)* Wstawaj. Uozdziwaj się. Idziemy spać.

OJCIEC

(zabierając się do ściągania butów)

Do cna go uodmienięły. Do cna.

MATKA

(gwałtownie chwyta poduszkę i paltot leżący na ziemi. – Poduszkę kładzie w głowach Frankowego łóżka, paltot zawiesza na gwoździu – składa poprzednio cerowaną koszulę i wrzuca do skrzyni – wreszcie klęka przed Frankowym łóżkiem i odmawia krótki pacierz).

OJCIEC

(w czasie tego zdjął, postępując, buty, prasnął je w kąt – rozwinął onucki, prasnął je w kąt, zdjął kurtkę, potem klęknął przed rodzinnym łóżkiem, zmówił, również krótki, pacierz i – sztucznie włożył przez Zośkę do rodzinnego łóżka, ażeby zająć miejsce od ściany. Łóżko zatrzeszczało).

MATKA

(po skończeniu pacierza wstaje, zdejmując kaftan i buty – zbliża się do lampy i biorąc w palce zakrętkę, mówi do Franka, ale nie patrząc w jego stronę)

Gase.

FRANEK

(jak legł, tak leży na ławie).

MATKA

(po chwili)

Słyszysz, Franek? – gase.

(Milczenie).

MATKA

A dyć nie bedziesz jak ten pies...

(Milczenie).

MATKA

E!... ni mam czasu na kumedyje (szybko przykręca lampę i gasi ją głośnym dmuchnięciem). (Światło księżycowe wpada przez szybki i srebrzy koszule Franka i Matki. Na koszuli Franka rozdarcie zamienia się w czarną plamę).

MATKA

(po chwili wpatrywania się we Franka, rusza zamaszystym krokiem i nie wiadomo jakim cudem mieści się w rodzinnym łóżku – pod pierzyną). (Ze wsi dolatują pijackie śpiewy parobczaków i ujadanie psów – oczywiście dalekie).

MATKA

(po pauzie, urozmaiconej chrapaniem Ojca, podnosi się na wpół i przechylając się w stronę Franka)

Boć tego mi przecie... nie zrobis.

(Milczenie).

Boć mi się przecie nie obwieszis, chopaku ty mój serdecny.

(Milczenie).

Boć mi was przecie wszyckiego ino troje ostało przy życiu.

FRANEK

(powoli wstaje – podchodzi do okna – przez chwilę patrzy w świat – parę razy kiwa tragicznie głową – zawraca – opada na zewnętrzną ławę – ramiona zarzuca na stół – kładzie na nich głowę i przybiera pozę człowieka śpiącego).

MATKA

(która z zapartym oddechem śledziła każdy ruch Franka).

Pockaj! – Pockaj! – Gorzej ty jeste zapłacę za ten diabelski twój zawziontek! *(rzuca głowę na poduszkę – jednym szarpnięciem dłoni nakrywa się pierzyną po uszy – łóżko rozpaczliwie trzeszczy).*

OJCIEC

(wierząc się i wydobywając z łóżka najwyższe tony)

Tyla gadania, tyła gruchu...

ZASŁONA

AKT DRUGI

IZBA W DOMU SZYWAŁÓW

*Dekoracja ta sama, tylko przed ławą koło pieca stoi skórzana, żółta waliza, a obok niej rzucony podróżny płaszcz i podróżna czapka. Na zewnętrznej ławie siedzi ANTEK. Ramiona zarzucił na stół, na łokciu oparł czoło i śpi z twarzą najzupełniej niewidoczną. Poza jego jest identyczna, jak poza Franka z końcem poprzedniej odslony. Ubiór jego jest prawie zbyt kowny, sportowy. Po bardzo zakurzonych, amerykańskich żółtych trzewikach widać, że uszedł kawał drogi. Na prawej ręce świeci złota bransoleta z zegarkiem. – Zaczyna zmierzchać.
(Po podniesieniu zasłony pauza).*

MATKA

(za sceną – krótko, sucho z twardo)

Kaze on jes.

ZOŚKA

(wchodząc i wskazując Antka)

A haw, mama. Jak lignął na stole, tak i leży.

(Wchodzi Matka owinięta w chustę i z chustką na głowie. Za nią wchodzi Ojciec. Matka przez czas dialogowania z Zośką i z Ojcem podchodzi do skrzyni, otwiera ją – zdziera gwałtownym ruchem chustkę z ramion i chustkę z głowy i po złożeniu chowa do skrzyni. – Ojciec zaś rzuca byle gdzie kapelusz i siada na familijnym łóżku. Ruchy Matki muszą być rwane, gorączkowe. Ruchy Ojca tępe, drewniane. Atmosfera katastrofy: sprzedali krowę).

MATKA

(bezpośrednio po słowach Zośki)

Toś piknie doglondała chaupy.

ZOŚKA

Ino tyle, com skoczyła pozganiać gadzinę, i już właz.

MATKA`

A jakże ci ten włazunek przedłożył.

ZOŚKA

Kie nie mogłam bardzo zmiarkować, bo nie gada żadnym ludzkim jenzkiem.

MATKA

Ino jakim.

ZOŚKA

Ja takiego jeszcze nie słyszała.

MATKA

(która wyjęła pieniądze z za pazuchy – do Zośki)

Pockaj. *(Do Ojca, potrząsając pieniędzmi)* Widzis to?!

OJCIEC
(ani nie drgnął).

Widzisz to?!

MATKA
(krzykiem)

Nie drzyj się, bom nie guchy.

OJCIEC
(bez ruchu)

MATKA
(wciąż potrząsając pieniędzmi)

Choćbyś konał i skonać nie mógł! Chociabyś przez Pana Jezusa miał umierać, popamiętaj sobie, że z tyk piniendzy ani grosika nie powonchasz! *(przyklada rękę do czoła jak człowiek, któremu głowa pęka z bólu).*

OJCIEC
Twoja krowa, twoje piniondze. Rozporzondzaj se nimi do woli.

MATKA
(odejmując rękę od czoła, niejako otrząsając się i chowając pieniądze do skrzyni – sucho)
Wienc niceś nie wymiarkowała, gupia jedna?!

ZOŚKA
Wedle... czego, mama.

MATKA
No wedle czegoz by. Wedle onego *(wskazała Antka głową).*
(Od tej chwili krząta się koło wieczery, zagląda do garnka – poprawia drevka, ułożone na kominku – stawia na nich żelazny dynarek, na dynarku garnek i rozpała ogień).

ZOŚKA
Coś trocha... że do Miemieć wandruje, że mu dalika droga, że okrutecznie umencony i że kciałby u nas przenocować.

MATKA
To mi się dziwacne widzi. Skondze niby u nas. Przecie ma karcme pod renkom.

ZOŚKA
Peda, że tam był, że tam wieczerał i że Jabramek mu poradzili, jako że tu najdzie wygodne łóżko.

MATKA
(gwałtownie)
Do Frankowego łóżka nik nie wlizie, ino on sam!!!

OJCIEC
(drewniany)
Jeżli z pomocom Bozom kie powróci.

MATKA

(dziko)

Powróci!! *(Nagle patrząc nienawistnie w Antka – sucho)* A onego wygnam i tyla. *(Podchodzi do Antka i szarpiąc go za ramię):* Wstajaj pan! No wstajajze pan!

ANTEK

(potrząsany, śpi).

MATKA

Pomar cy co? *(pochyla się nad Antkiem i nadśluchuje)* Dycha. *(Znów szarpiąc Antkiem)* Słysz pan, ze cię tutaj budzom!

ANTEK

(śpi).

MATKA

I cóże ja z nim pocne?

OJCIEC

(który z łóżka przełazi na skrzynie)

Ochlany.

MATKA

(groźnie)

A może i ochlany. *(Pochylając się nad Antkiem i wachając)* Juści. Gorzałka z niego jedzie. Nices nie wymiarkowała, Zośka?

ZOŚKA

Gadał niby do rzeczy. Zwyczajnie.

OJCIEC

(fachowy)

E!... na to, zeby gorzałka jechała, starcy ze styry kieliski.

MATKA

(groźna)

Takik spraw toś ty znajomy! Wsyćko ci z gemby wyjechało! I Franek ci z gemby wyjechał, i krowa ci z gemby wyjechała...

OJCIEC

Kciałem przedawać? Nie kciałem przedawać!

MATKA

(którą aż zatknęło, z niesamowitym spokojem) Coś ty rzek?

OJCIEC

Prawdę.

MATKA

Jakom prawdę.

OJCIEC

Takom prawdę, ze krowy ni ma i Franka także ni ma.

MATKA

I co z tego.

OJCIEC

To z tego, ze krowa posła na marne.

MATKA

(coraz spokojniej, a gotująca się we wnętrzu)

Cemu.

OJCIEC

Temu, ze krowa – i to chuda – na doktoraty nie starcy.

MATKA

Wylicyłeś.

OJCIEC

Ja może nie wylicyłem, hale Franuś wylicył i posed brać się do inaksyj roboty. Ociec robił renkom, dziad robił renkom, to i on renkom robić może. Świat się do góry nogami nie wywali.

MATKA

(dławiąc się od złości i wygrażając pięścią)

Posuchaj mię! Posuchaj mię! Zeby... w tyj tu izbie... tyj tu Zośki nasyj nie było... zeby tyj Zośki nie było... to jak bym cię... strzeliła w mordę... za te strasecne krzywdy... za to dziecko moje... *(Nagle chwytając się za głowę i zataczając w stronę Frankowego łóżka – prawie głosem skarżącego się dziecka)* Jezu... Jezu... bo mi się w tym łebie pomisa *(wali się na łóżko)*.

ZOŚKA

(przeżona)

Mama!... Mama!...

MATKA

(znów tonem człowieka, któremu pęka głowa z bólu)

Co kces, Zośka. – Co kces.

ZOŚKA

(wyjmując zza pazuchy pięciodolarowy banknot) Ja... zataiła przed wami... a ja kce tera na osłodę... *(wskazując Antka)* że on... podarował mi... jaze pienć dularów... to... dorzucicie do krowy.

MATKA

(wyciągając rękę)

Pokaz.

ZOŚKA

(podaje banknot).

OJCIEC

Abo schlany, abo bogac.

MATKA

(która z trudem dźwignęła się i usiadła na łóżku, oglądając banknot)
Juści. W jednyj śtuce. *(Po chwili)* A skroś cego ci dał?

ZOŚKA

Oglondał se izbę... zazirał do garnków... do łózek... Peda:
„bida”. Peda: „wielga bida”. I zaczyna pytać, ka Ojcowie. I ja gadam, że z krowom na targu. I on peda... bo ja mu... bo ja się wstrzymać nie mogła... no i... taka litość go wziena... że dał.

MATKA

(trąc czoło)

Świenty Jantoni?... Cy jaki inny Świenty?... E nie. Bo kieby Świenty... toby mi tego Franusia wrócił... toby mi tego Jantka odmienił... toby mi te boleść w sobie zażegnał... toby mi tyj żywicielki nie zabirał *(Zupełnie wyczerpana, podając banknot Zośce)* Weż – schowaj za pazuchę – i podź tu – boś mi się... *(prawie szeptem)* ino jedna ostała. – Porachujmy *(licząc na palcach)* Wicus, Maryśka, Wiktusia... *(Do Zośki, która po schowaniu pieniędzy chciała usiąść przy Matce)* Nie wadź.

ZOŚKA

(stanęła przy łóżku).

MATKA

(kończąc przerwane obliczenia)

...Józek. – Ci śmierziom pomarli. – Jantek, Franuś... ci syrcem pomarli. – Razem siedem. – Jak u tyj matki Boski Bolesnyj. Cóż ja gadam?... Dyć Zośka żyje. A wienc inacy. Ino seść. – Brakuje jesce jednego.

OJCIEC

(który z przymrużonymi oczami wpatrywał się tępo w Antka)

Uozdziałabyś się... ległabyś...

MATKA

(prawie szeptem)

Cichaj. Cichaj. Zeby się do razu nie przebrało. – Bo ściska... ściska mnie w żywocie... a w ślipiach ciemno mi się robi... *(Po chwili)* Zośka? – Wiś? – Ja nie wiem, cy ja to przetrzymam. *(Wyciągając rękę do drżącej i bliskiej płaczu Zośki)* Chodźze.

ZOŚKA

(siada przy Matce).

MATKA

Bo ozwaz se ino. Gospodarska córka, gospodyni, matka... a teraz dziadówka i sirota.

(Wskazując na Antka)

A ten śpi. – Może ta i lepij, ze śpi... Zawdy świadek... a bez świadka to przecie wienksa poku-sa...

(Po chwili)

Bo wiś Zośka, ze cosi mi się w tym łebie popsulo. Ca-sem to kieby w syćkiego przepomniała, a znowu casem, jak ci mię nie łupnie, to jaze okropa.

(Po chwili, pieszcząc rękę Zośki)

No cóż ci jesce gadał? – Opowiadaj. Opowiadaj.

(Nie dopuszczając Zośki do słowa)

To jakiś sprawiedliwy cłek. A leży całkiem kieby Franuś. – Takusko. – Te roncki podłożył se pod głowę... twarzyćkom obrócił się ku stołowi... Gadam do niego... on nic... znowu gadam do niego... on znowu nic... Ino ostawił kartecke z pismem, ze już nie wróci... chyba kie kajsi na swoim postawi...

(Z bolesnym wybuchem)

A jakże może postawić!? – Dyć zadnyj mocy w sobie ni ma! – Wsyćko w tyj głowie... a te roncynty takie bieluskie... takie mientkie... Cóż on takimi paluseckami wygrzebie?!... Dyć ty mas trzynaście roków, a poźryj

(pokazując Zośce jej własną rękę)

jakie to już porencne do roboty. – Ani się to kopacki nie nastrasy, ani się to przy zenciu nie oharuje... bo od maleńkości zwyczajne...

(Podpierając głowę na rękach i kiwając się na boki)

Boże, Boże, Boże, Boże...

(Zmieniając ton)

Opowiadajze Zośka, zeby chocia te ludzkom mowę słysyc...

(Zmieniając ton)

Bo ja przecie nie ślepa! – Cóż on se myśli? – ze ja nie widziała? A jakże! Przychodził, całowwał... przecie i kochał... ale to takie kochanie od wielkiego dzwona... w razie choroby, niescynścia, w godzinie śmierci... Zaś na dzień powszedni?... O, to beło już do cna inacy. – Krencł się po izbie, wysiadywał, jak ta móg zagadywał... Ale co które gembe ozwarło, to kuźde słowo spadało kieby te cytnary na duse! A lacego tak?! – Dyć on kciał, dyć i ja kciała...

(po chwili)

A nieraz to my się tak ciskali na siebie, jak popsute psy. Taka złość jakaś... taka złość jakaś...

(Z rozpaczą)

O co?! – Laboga o co?! – Cyzby o to, ze my się nijak zejść nie mogli?...

(Prawie spokojnie)

Bo my się oześli. – Dawno my się oześli. – I może my bez to taki żal do siebie culi. – On pasownyj sukał matki – nie nalaz... ja pasownego sukałam chopaka – nie nalazłam...

(Gwałtownie)

Gadajze, Zośka! – Na rany Boskie gadaj...

(Ze łzami w głosie)

bo przecie strzumać nie można!

ZOŚKA

Już gadam, Mama. Już gadam. – Wienc peda, że caluśki świat piechty dookoła obleciał... że się one tak w kilku o grube dulary założyły, które którego przegoni... I peda, że już ik przegonił, bo tamte jak liche, peda, škapy het w tyle ostały... I peda, że tera robi swoim takom niespodziankę, bo kie ta ziaba z dyscem spadnie... No i co jeszcze peda?... Acha! Peda jeszcze, że jest okrutnie zmitrężony... że kciał wandrować dalij, ale że, chocia pojad se u Jabramka, do krzty mu nogi odjeno... no i zaceno go pomaluśku mroczyć... no i położył głowę na stole... no i zagadałam raz, zagadałam drugi raz...

MATKA

(która nie spuszczała oka z Antka – zupełnie niesamowita, jakby kończąc opowiadanie Zośki)

Juści, juści... ino ze ni miał tak piknyj przyodziwy na sobie, ale dziurawom kosuline i połatane porteckie, a zamias radości gorzkość w syrcu, bo ostał za tamtymi het w tyle... *(Nagle wstając, zupełnie nowym tonem)* Pockaj, Zośka. Zapal lampę. Niek no ja mu się z bliska przyżre.

OJCIEC
(obojętnie)

Po kiego diabła. Ozdziałabyś się... ległabyś...

(Podczas gdy Zośka zapala lampę. Matka podchodzi do Antka. Po chwili przypatrywania się śpiącemu wyciąga ostrożnie rękę i dotyka jego włosów).

MATKA

Kondziorowate.

(Wąchając swoje palce)

Cymśi pachnonce.

(Wodząc ręką po Antkowych plecach)

O! – Jaki to wycyflizowany po wirzchu, a pod spodem bary jak u byka.

(Dotykając Antkowej szyi)

Abo to karcysko. – Onemu nie dałoby rady.

(Prawie nienawistnie głaszcząc Antka po głowie)

Chopak jak malowanie! – To nie Franuś.

(Nagle pochylając się)

A cóże to się tak świci?

(ostrożnie stara się usunąć rękę spod głowy Antka)

OJCIEC

(który z zapartym oddechem Śledził badania Matki, nie mogąc dłużej wytrzymać – chrapliwym półszepceniem)

Zbudzis go!

MATKA

(błyskawicznie odwróciła się w stronę Ojca i przez chwilę mierzy go skupionym, bardzo niepokojącym wzrokiem).

OJCIEC

(na wzrok Matki odpowiada zupełną martwością).

MATKA

(cedząc zgłoski)

A choćby.

OJCIEC

To se go budź.

MATKA

(jak wyżej)

Na rence ma scyrozłotom przepaskę. We środku śtucny zygarecek.

OJCIEC

(wzruszając ramionami)

Co mi ta.

MATKA

(z jadem nienawiści w głosie, w półśmiechu)

Co ci ta? – Sliš! – Sliš! – Na skrzyni nic nie wysiedzisz, a nie zawadzi obaczyć, jak by to nas Franuś wyglondał, żebyś nie był dobytka zmarnował.

OJCIEC

(pokazując banknot, leżący pod ławą, na której siedzi Antek)

Lepibyś zażrała pod stół, bo tam jakowaś zguba leży.

MATKA

(spojrzała za wskazaniem ojca. Pochyliła się, podnosi, wreszcie przypatrując się banknotowi, prawie szeptem)

Dular.

OJCIEC

Widać posiał. Trza mu z powrotem do kieszeni.

MATKA

Juści. *(Z niesłychaną ostrożnością wkłada banknot do bocznej kieszeni Antka. Nagle twarz jej zastyga. Chwila skupionej pauzy – wreszcie szeptem)* A to co?... *(Bardzo wolno wyjmując rękę z Antkowej kieszeni, w dłoni dość spora paczka banknotów, jak wyżej)* Dulary! *(stoi nieruchomo wpatrzona w banknoty).*

OJCIEC

(ani nie drgnął, ani nie zmienił wyrazu twarzy).

ANTEK

(porusza, się, przekłada głowę z ramienia na ramię).

MATKA

(przeżażona, chrapliwym, krótkim szeptem)

Ruszył się! *(kamienieje).*

OJCIEC

(rozmyślnie głośno)

Jak się zbudzi, to wezwie policyje.

MATKA

(wciąż szeptem)

Cichaj! *(Po chwili)* Przecie ja ino bez ciekawość. *(Po chwili)* Starcyłoby na ksiozki... na żarcie...

OJCIEC

(wskazując na walizę, jak wyżej)

A tam pewnikiem jesce wiency.

MATKA

(szeptem)

Pożryj.

OJCIEC

(ruszając ramionami i złącząc ze skrzyni, wciąż głośno)

Jak kces koniecznie...

MATKA

(jak wyżej)

Bez ciekawość.

OJCIEC

(idąc bez pośpiechu w stronę walizy)

Juści ze bez ciekawość. – Ino przody tamte wsadź, ka bely.

MATKA

(jak wyżej)

Zara. *(Z ponownymi ostrożnościami wkłada pieniądze do Antkowej kieszeni – po czym szeptem)* Już!

OJCIEC

(w czasie tego stanął nad walizą. Po chwili na klęczkach, patrząc w walizę)

Cale pikną. *(Manipulując przy zamku)* Zamecek mosiężny – maluški... *(Po chwili manipulowania)* Tak? – Nie tak. *(Po chwili)* To może tak. – Także nie tak.

MATKA

(którą od czasu do czasu wstrząsa lekki dreszcz – nie spuszczać oka z Ojca – szeptem)
Uwazuj, żebyś nie popsuł.

OJCIEC

(już najwidoczniej mocując się z zamkiem)

Misterne, a takie sielne...

MATKA

Uozdrzes.

OJCIEC

(jak wyżej)

Nie uozedre.

(Waliza otwiera się z trzaskiem).

MATKA

(bezustanny szept)

Uozdarleś.

OJCIEC

(nieporuszony, grzebiąc w walizie) Inom łyknał, a samo puściło.

MATKA

(jak wyżej)

I cóze tera będzie?

OJCIEC

(jak wyżej)

Nic nie będzie. Jak najdzie wsyćko na swoim miejscu, to sam ze siebie wymiarkuje, ze kciałaś ino bez ciekawość.

MATKA
(jak wyżej)

Ja? – Ja mam palice za słabe.

OJCIEC
(jak wyżej)

Totyżeś się mnom wyrencyla. *(Wyciągając pitkę dolarów)* Som. *(podnosząc dolary w górę i bez odwrócenia głowy pokazując je Matce)* Tyla.

MATKA
(jak wyżej)
Rany Boskie!

OJCIEC
(wkłada pieniądze z powrotem do walizy – byle jak pakuje rozgrajdane rzeczy – wreszcie, starając się walizę zamknąć)
Nijak się, psiakrew, zamknąć nie da.

MATKA
(jak wyżej)
I cóże będzie.

OJCIEC
(odchodząc od nie domkniętej walizy i zdążając na rodzinne łóżko)
Mało to takik, za którymi sukajom? Onemu wolno było przez pozwolenstwa pchać się do nasy chaupy, to nam wolno robić rewizyjom. Mogło tam siedzieć Bóg wi co.

MATKA
(która usiadła na ławie pod piecem, głęboko zamyślona) Juści. – Juści. – A wreście... sprawiedliwy cłek. Zośce z litości dał... Żeby tak przed nim syrcie jak na spowiedzi ozwarła... żebym się tak do kolan rzuciła...
(Po chwili)
Ma na oblatywanie wokiel caluńskiego świata, to przecieby go nie ubyło, a otarby gorzkie łyzy cłowiece...

OJCIEC
Próbuj. – Dał Zośce za nasom bidę dolarów pienię, to ci drugie pienię dorzuci i pódzie.

MATKA
(która prawie nieprzytomnym wzrokiem patrzyła w Ojca, przesuając rękę po czole)
Tak ci się widzi?...

OJCIEC
A tak mi się widzi.

MATKA
(po chwili)
Lacego?

OJCIEC

A bo kuzdy ma rence do siebie.

MATKA

(niesamowita)

Może. *(po chwili)* Może. *(Po chwili, wstrząśnięta dreszczem)* Frybra mię trzensie.

OJCIEC

Legnij.

MATKA

(z groźbą w głosie)

Ja ci legnę! *(po pauzie, do Zośki, która, od chwili zapalenia lampy, siedziała – tragiczny świadek – na Frankowym łóżku)* Zośka. Wyźryj. no na pole.

ZOŚKA

(zdumiona spokojnym tonem Matki, spojrzała na nią przelotnie, po czym schodzi z łóżka).

MATKA

Abo wiś ty co? – idź do stajnie, bo już jezdeś za duża dzieucha na spanie z obcym chłopem w jednyj stancyji.

ZOŚKA

Mama...

MATKA

(ostro)

Scurów się bois? – Proś Pana Boga, zeby cię bez całe życie inco scury strasyły! *(Biorąc poduszkę z Frankowego łóżka)* Mas tu poduske. Należy ci się po Franku.

ZOŚKA

(bierze w milczeniu poduszkę).

MATKA

Hale! – Byłabym se zabacyła. Uozewrzyj skrzynie. Dobońdź jakie dwa fartuchy i przesłoń okna. Som ta wbite gwózdki.

ZOŚKA

(wykonuje rozkaz).

OJCIEC

(z drwiną w głosie)

Nowy uobycaj.

MATKA

(twardo)

A nowy uobycaj!

(Wskazując głową Antka)

Nie będzie nagościami na całom wieś świcił, kie do snu pocnie się uozdziwać. Bo tacy uoździwajom się do naga.

(Z rosnącą nienawiścią)

Im mało jednyj kosuli. – Majom ik dość. – Mogom se wedle woli uodnasać bez dzień insom, bez noc insom. – To nie tak, jak z tym łachem, com to musiała cyrować i cyrować...

(Wzruszając się)

...zeby chopak nie kład przecie tyj kurtecki na gołe ciało i nie musiał się wstydać przed równymi sobie kumpanami. A i z tego cyrowania nie było wielgiej pociechy! – Wcora – kie tu siedział w miesiencyj światłości – widziałam. – Widziałam! – Na pleckach cyrniło mu się takie uozdarcie, kieby mu ranę zadano!

(Znów z nienawiścią)

A bo mu ranę i zadano! – Uociec, Jantek... A jego miejsce zajął obcy!

(Coraz nienawistniej)

Rącki podłożył se pod głowę, twarzyckom uobrócił się ku stołowi... i co mu ta, ze wycira łokciami te lzy serdecne, co się tu wcora polały...

(Z łękiem)

O! – Znów mię wzieno. Znów mię trzensie.

(Ostro do Zośki, która skończyła przesłaniać okna i nie spuszcza z Matki przerażonego wzroku)

Nie gap się, Zośka! Skonczyłaś z przesłanianiem okien, to się z tom Franusiowom poduskom zabiraj...

(Prawie płacliwie)

Kciałam powiedzieć: „jak Franuś”. Słysane rzeczy? – Jak Franuś!

(Do Zośki)

Ozwaz sama! Miałabym to sumienie wyganiać cię z chaupy? – Nie, Zośka – nie!

(Robiąc gest jakby tuliła dziecko do piersi)

Mam cię! Mam! Mam! I nie pusce jaz do śmierci!

(po krótkiej chwili, prawie jak idiotka)

no dzisiak trza wedle przyzwoitości. Żebyś wiedziała Zośka, wedle przyzwoitości.

(Biorąc za rękę Zośkę, która powoli zbliżyła się do niej) Pocałujes mię w renke – o tak – bo cyściutka – ja ci nakryśle krzyzycek na cole – o tak – i pódzies sobie, lignies sobie, zamknies te twoje ślipka... i nawet nie bedzies wiedziała...

(Zrywając się z przerażeniem)

Jezus Maryjo! Co ja plotę?! Cego nie bedzies wiedziała?!

ZOŚKA

Wyście, Mama, chuerzy.

MATKA

(głaszcząc Zośkę po głowie)

Nie, córecko. Nie. Ino się casem przywidzi... *(Siadając na Frankowym łóżku i machając ręką – szeptem)*

Do stajnie. Gadam ci, do stajnie.

(Zośka z poduszką w ręku wychodzi).

OJCIEC

(bez ruchu)

Dzienkować Bogu. Juzem myślał, co kuńca temu bajaniu nie będzie.

MATKA

(szeroko otwartymi oczami wpatrzona w jeden punkt podłogi)

A tak – ci – spieszno?...

OJCIEC

(przeróżający bezczuciem)

Ha no... Kazałaś przesłaniać okna. – Zośkę wyгнаłaś do stajnie. – Frybra cię trzensee. – Frankowe łóżko próżne stoi. Zośki scury nie zjedzom, a krowa już nie ubodzie. – Ten tu śpi. – To chyba... byłaby pora na... spocynek.

(Pauza).

Można od budy pockać, jaz się obudzi. – Bo nie wiada, co z walizom będzie, i nie wiada, ka legnie. Cy w nasem łóżku, cy we Frankowem łóżku. – W nasem la takiego za kwardo. Niechże we Frankowe wlizie. – I trza będzie myślić o śniadaniu. – Coze mu das. – Mlika? – Mlika mu nie das. – Chyba ze przody pódzies po zakupy. – Ino z tyk Frankowyk piniendzy za krowę nie bier. To na ksiozki. – O, znów cię trzensee.

(Po chwili)

A te pienć dularów, co Zośce dał, to będzie na przyodziwek.

(Po chwili)

A te drugie pienć, co może dorzuci, kie syrce przed nim uozewrzes, to będzie znou na obiadu. Sprawiedliwie gadas. – Mamy cas.

(po chwili)

A ja co zmarnowałem, odrobię. – Krzepki jesce jezdem w sobie... Pode ka na robotę... za Frankiem... Doświarcenie przecie mam... to mu i radom posłużę... I kie się tak we dwók weźniemy, to... ho ho!... gospodarstwo będzie rosło jak na drozdzak.

(Po chwili)

Sprawiedliwie gadas. Możemy cekać do rana.

(po chwili wskazując Antka)

Równno dycha.

(Po chwili)

Chocia mi się coś tak widzi, ze trocha lzyj. – Może by tera spróbować?...

(po chwili, ale półgłosem)

Panie?...

(Po chwili)

Panie!...

MATKA

(która do tej chwili nie zmieniała pozy – jakby budząc się – chrapliwym szeptem)
Cichaj!!

OJCIEC

Dobra. – Mamy cas.

MATKA

(groźnie zacięta)

A mamy. Totyz i dobijemy – targu.

(Po chwili, wciąż zdławionym półgłosem)

Kciałbyś, coby to była – moja sprawa. – Ja leciałabym, coby to była – twoja sprawa! Mnie kces moim Frankiem pchnonć. – A ja ciebie kce pchnonć – wiś, cem?

(wskazując na walizę)

Tom walizom! – Juześ pocontek zrobił. – Dokończys. A jak nie dokończys, to cię... do kreminalu wsadzę! Bo ty na mojjj boleści zyrujes. Bo ty mojom boleś podpendzas. Bo ty myślis, że jageś się umiał bez całe nase pożycie wymigać z obowiozku krzesciJanina i Ojca, to tak samo i tera potrafis mi się wymignonć z obowiozku przodownika? – Niedocekanie twoje! – Dokoń-

cys. – Gadam ci: dokończys! – Nie la Franusia. Tegoś nie jes godzien! – Nie la mnie. Potrafiłabym sama! – Ale la twojego wiecystego gałgaństwa i wiecystego... potempienia!!

(oparta o poręcz łóżka, opuszcza głowę i prawie obłąkanym wzrokiem patrzy w jeden punkt podłogi).

OJCIEC

(który od dłuższej chwili kręci papierosa)

Dobra. – Dobra. – Ino kumyta se ukrence.

(po chwili, zlepiwszy śliną bibułkę)

Gotów. – Zapalam – idę.

(Wychodzi z papierosem w zębach).

MATKA

(nie zmienia pozy. – Jeden silny dreszcz, drugi dreszcz, trzeci dreszcz. – Wreszcie szept, potem półgłos:)

Chopaku moi... Chopaku... ni ma cię... wienc mienie uozgrzejes...

(Wchodzi Ojciec z płachtą na ramieniu i z siekierą w dłoni).

OJCIEC

(rzucając płachtę na Frankowe łóżko, a potem podając Matce siekierę)

Naści płachte i sikire.

MATKA

(zupełnie machinalnie bierze siekierę od Ojca).

OJCIEC

(sadzając Matkę na familijnym łóżku)

Siednies tu z niom i bedzies nad nim stróżować.

(Po chwili)

Ja pode po worki do Żyda.

(po chwili)

Zawrzes za mnom drzwi na klucz.

(po chwili)

A kie powrócę, zapukam w okno – wpuścis mię – i... dokońce.

(po chwili)

Uwazujes?

MATKA

(bez głosu – z siekierą na kolanach)

Uwazuje.

OJCIEC

Dobra.

(Kładąc kapelusz na głowę, wychodzi).

MATKA

(powoli podnosi głowę i wlepia wzrok w Antka. W oczach jej maluje się rosnące przerażenie.

Wreszcie – przez zupełnie zaciśnięte gardło, błagalnie)

Ino mi sie nie porus – ino mi sie nie porus... laboga!...

ZASŁONA

AKT TRZECI

W KARCZMIE

Lewa ściana (od strony widowni):

Dwa okna. Między oknami ława – przed ławą stół i druga ława ~ po bokach stołu stołki. Nad ławą kolorowy portret Piłsudskiego.

Środkowa ściana:

W środku ściany oszklony kredens – przed kredensem szynkwas, oddzielony od reszty izby drewnianą balustradą – z lewej drzwi.

Prawa ściana:

Drzwi wchodowe – na pierwszym planie mniejszy stół i cztery stołki. Na środku sufitu wisi zapalona lampa, z blaszaną płaską umbrą, lakierowaną od spodu na biało, od wierzchu brązowo.

Za stołem z lewej siedzą parobczaki, złota młodzież. Wśród nich:

FELEK, JASIEK, JĘDREK i STASZEK. Kurzą papierosy, popijają piwo i gwarzą w nieco wlokący się sposób, okraszając rozmowę „śpasami”.

ABRAMEK, widocznie rozbawiony i tajemniczo uśmiechnięty, obsługuje parobczaków lub krząta się za szynkwasem.

FELEK

(z pańska rozwalony na krześle)

On się dar, ona beczała i tyła było śmichu w narodzie...

JASIEK

(ruszając ramionami)

Bo kto by takom padlinę targował? – Strach na wróble, nie krowa.

A ino.

STASZEK

(wśród przyśmiechów)

JĘDREK

To chyba poprowadzą ją faktycznie z powrotem.

FELEK

(złośliwie)

Kie po długich breweryjach naleźli kupca – na skórę.

(Do Abramka)

Piwa!

(Przyśmiechy).

STASZEK

Byliby lepiej Zośkę pognali, a krowę ostawili w stajni.

JASIEK

(znawca)

Niczego będzie dzieucha.

FELEK

Tylko że grosza to nawet i tęgi chłop z niej nie wydoi.
(*Pełne powodzenie*).

JASIEK

(*do Abramka*)

Piwa!

STASZEK

I mnie!

ABBAMEK

(*obsługuje*).

JASIEK

Tak to się noga powija. Bo wicie, co wam powiem nowego? – Z Frankowych mondrości także guzik.

JĘDREK I STASZEK

(*z podskórną radością*)

Nie gadaj!...

JASIEK

Przecie widziałem go w mieście.

JĘDREK I STASZEK

No i co!

FELEK

(*bardzo nonszalancki*)

Szuka roboty.

JĘDREK I STASZEK

(*zabawieni*)

Jakij?

JASIEK

Powiada, że mu wszystko jedno. Akurat! Przecie we flaki nawet biczyska nie uchyci.

STASZEK

Toteż będzie mógł sobie rychło przyśpiewywać: „Kiedym był na roli, miałem bydło hojne: cztery koty do roboty i dwie myszy dojne”. Ha! Ha! Ha! Ha! Ha!

(*Parobczaki podchwycili śpiewkę*).

JĘDREK

Myszy jak myszy. Ale co gorsze, to to, że z nauczycielową córką faktycznie także się rozli-
zie!

FELEK

Byle tylko z nauczycielowej córki co nie „wylazło”.

PAROBCZAKI
(wśród śmiechud)

Właśnie! Właśnie! I popiskiwać nie zaczęło!

ABRAMEK

Chłopaki?... Jeżeliście sze już naszmiali, to wam cosz takiego powiem, że was od razu szlag trafi.

PAROBCZAKI

No cóż takiego, Abramek?

ABRAMEK

Słuchajcze.

(Po retorycznej pauzie)

Przed – może godziną – a może i nie – wchodzi tutaj goszcz.

FELEK

Bywa.

ABRAMEK

I jeszcze jak biwa... (Ciągnać dalej) Czapki podróżne, angielskie – palto podróżne angielskie z paskiem – trzewiki amerykańskie żółte – walizę także amerykańską, także żółtą i ze skóry – na prawym ręku szczyrołote eleganckie branzolete z zegarkiem – żebim tak zdrów był: cały hrabia. (Do Felka) Nu?

FELEK

(rusza ramionami).

RESZTA PAROBCZAKÓW

Cóż dalej?

ABRAMEK

Zaraz będzie i dalej. (po chwili) Kiwa mi głową, szada (pokazując stoi z prawej) przy tym stole i zaczyna patrzeć w te okno. – Patrzy tak jakosz dżywacznie, że ni mam szmałoszczy mu przeszkadzac. Nareszcie mówi niby z chłopska, niby z cudzożemska: „pszo krew chom”. Miszle sobie, zobaczył chomika na pole, niechaj mu będzie i chom. – Ale nagle zaczyna tak samo patrzeć we mnie. – Kłaniam sze raz, kłaniam sze drugi raz, a un wycząga rękę i woła „hau! do miser Abramek!”

PAROBCZAKI
(śmiejąc się)

Dobry kawał.

ABRAMEK

To mi sze przestało podobacz. Wolno mu potrzebować ser – dlaczego nie – jak chce, to mu go nawet dam – ale po co od razu szczeka?

Nie koniec na tym.

Kiedy zobaczył, że jestem w kłopotcie, co z nim robysz, podchodzi do mnie, wali mnie pięścią w plecy, krzyczy do mnie jak do telefon „halo” – i pita, czy go nie poznaje. Tym razem miszle sobie: wariat. Nic innego, tylko wariat. Więc dla szwenteo spokoju mówię, że poznaję.

I zaczynamy tak rozmawiacz.

– Pan dobrodziej z daleka?

– Z Amerika.

– Pan dobrodziej daleko?

– Do końca wszy.

– Do końca jakij wszy?

– Do końca naszymy wszy.

(Po pauzie)

A resztę sobie zgadujcze.

PAROBCZAKI

No, Abramek! Któż to taki?! – No!

ABRAMEK

Któż to taki? – A szlag was na pewno nie trafi?

PAROBCZAKI

Nie róbcie kawałów, Abramek!

ABRAMEK

Tam dobry kawał, tu głupi kawał, niech będzie na trzeciego i żaden kawał.

(Po pauzie)

Antek Sziwałka.

PAROBCZAKI

(aż przerażeni, zrywając się)

Co?!!

ABRAMEK

Antek Sziwałka.

PAROBCZAKI

(opadając na ławy – grobowo)

Psiakrew dopiro!

ABRAMEK

A pszakrew. Pszakrew. *(Do Felka)* Radzę kupowacz Zoszke. Kto ją kupi, ten wydoi z niej gruby dolar... Widziałem przy płaceniu. *(Ilustrując gestem jakby pakę książek)* Tyle.

FELEK

(tragiczny)

Psiakrew dopiro!

JASIEK

(również tragiczny)

Patrzcie państwo! – Antek.

STASZEK

(z błyskiem nadziei)

Jakże! Przecie od roku ani słyhu, ani dychu!

ABRAMEK

A po co ma bicz słyh albo dych? – Daleko lepij zobaczicz i... *(robiąc palcami ruch liczenia pieniędzy)* dotknącz.

JĘDREK

(zapominając o faktycznościach)

A gadał wam ta jeszcze co wiency?

ABRAMEK

Dlaczego nie miał gadacz? – Gadał. – Gadał, że wibuduje murowany dwór – że kupi... kiedy sze boje.

PAROBCZAKI

(rozgorączkowani)

...że kupi co!

ABRAMEK

Piendżeszont morgi żemie. –

JĘDREK, JASIEK I STASZEK

(zrywając się jednocześnie)

Rany Boskie!
Jezu Maryja!
Chryste Panie!

FELEK

(wściekły)

E! – wy nas nabiracie, Abramek!

ABRAMEK

Jak własnim dzieczom zdrowia zicze.

PAROBCZAKI

(opadli na ławy).

(Pauza).

JASIEK

(zupłny grób)

To starym urządził niespodziankę!

ABRAMEK

A właśnie. Dlatego tych dychów od roku nie puszczał.

(Pauza).

STASZEK

(żałobnik)

Ale też to będą tera dęli.

ABRAMEK

Jeszcze bi nie?

(Pauza).

PAROBCZAKI

(razem jak na komendę)

Piwa!!!

ABRAMEK

(biorąc kufle)

Tak, tak. Najlepiej na poczekaniu zapicz.

FELEK

Bez przymówek, Abramek! – Niech sobie siedzą na stu morgach, na dwustu morgach... Cóż nas to może obchodzić!

JASIEK

Jak nam wlizie w drogę, to i tak nauczymy go rozumu.

ABRAMEK

(za ladą napełniając kufle)

Chłopaki?... Radzę z tymi rozumami ostrożnie. Tutaj już była awantura. Zaczepiło go dwóch. Kubusz Czajka i Kasperek Gwóźdź. Powiadam wam żaden geszef. Tylko podwinął rękawy – cosz tam po angielsku krzyknął i tak sztucznie huknął w szczęki, że obaj przez te całe izbę poleczieli jak auroplan.

(Stawia piwo przed Parobczakami).

STASZEK

(fachowo)

Bo na takiego trza od tyłu.

JĘDREK

Kiedy się najmnij spodziwa.

FELEK

I kupą.

(W drzwiach z lewej staje Ojciec).

JASIEK

Cicho, cicho! Stary idzie!

(Wszystkie oczy zwróciły się w stronę Ojca. Oczekiwano pysznego nuworysza, tymczasem zjawiała się postać patrząca spode łba, ponura, tępa, drewniana).

ABRAMEK

(pełen domyślników, znacząco uśmiechnięty)

Witamy! Witamy! Witamy!...

OJCIEC

(który wodził po obecnych wzrokiem pełnym niepokoju – twardo i ponuro do Abramka)
Cóż to za takie! *(Do Parobczaków)* A wy cóże się tak wygapiacie!

FELEK
(drwiąco)

Widocznie mamy powody.

OJCIEC
(nie mogąc ukryć lęku)

Jakie.

JASIEK

Papirkowe!!!

OJCIEC
(który drgnął, prawie groźnie)

Przekpiwajcie se dalej, Przekpiwajcie se dalej. Potrafiłem ścirpieć w mieście, potrafię ścirpieć i tutaj.

STASZEK

Szczęść Boże!

ABRAMEK

(który od pierwszych słów Ojca zaczął mu się bacznie przypatrywać – na stronie)
Dżywne.

OJCIEC

(Podszedł do stołu z prawej i usiadł zwrócony plecami do Parobczaków. Ale grobowa cisza na scenie zaczyna działać. Niepokój zamienia się w przerażenie. Dolna szczęka opada – ręce zaczynają drżeć. Trzeba koniecznie zobaczyć, co oni tam robią. Trzeba się powoli, ze zło-dziejską ostrożnością odwrócić. Żle! – Abramek, który nie miał czasu oddalić się od Parobczaków, stoi z głową na bakier, wykrzywia się, jakby go słońce raziło – nerwowymi palcami skubie brodę i chociaż przymknął jedno oko, wkręca aż do wnętrza dwa ślepie jak dwa stalowe świderki! – Brrr! – A Parobczaki? – Nie lepiej! Ręce w kieszeniach – bazyliškowe spoj-rzenia – jakieś paskudne, wrogie uśmiechy – coś wiedzą! Czegoś się domyślają! – Trzeba zakończyć badania, patrzeć w stół, przy którym się siedzi, i byle co powiedzieć. Ale co?! – Aha).

Cystom z kroplami.

(Ponowne, tym razem błyskawiczne badanie. Parobczaki mrugnęli na siebie porozumiewawczo. Abramek widocznie nie słyszał, – Nagły strach przepędza Ojcowe ręce przez wszystkie kieszenie. Tępa konsternacja, na stronie)

Psiakrew, zabacyłem se piniondze! (Głośno a nieśmiało) Jabramek?... Zabacyłem se piniondze.

ABRAMEK

(bez zmiany pozy)

Nie szkodzy, gospodarzu. Od dzyszaj możecie bracz na kredyt.

OJCIEC
(z dreszczem w głosie)

Uod dzisiaj?!... (Zamaskowany) Pewno, ze mogę. Przedałem krowę, to piniondze mam. (Po chwili) Cystom z kroplami.

ABRAMEK

(jak wyżej)

No a... do domu... niby... nic?...

OJCIEC

(z ponownym niepokojem)

Do domu?... *(Znów zamaskowany)* Pewno, że nic.

ABRAMEK

(półgłosem)

Dżywne.

OJCIEC

(podejrzliwie)

Coze was tak dziwi?

ABRAMEK

To, że do domu nic.

OJCIEC

(ruszając ramionami)

Po co i la kogo??

FELEK

(drwiąco)

La Zośki!!

OJCIEC

(którym lekko szarpnęło, udając, że nie słyszał, do Abramka, ostro)

Dajecie te cystom cy nie dajecie!

ABRAMEK

(jakby budząc się)

Daje, daje. *(Idzie za ladę, nalewa kieliszek wódki, z małej flaszeczki dodaje parę kropel anodyny),*

OJCIEC

Chocia... po namyśle... toby się może... i co... znalazło. Już wim. Ni macie ta ka pod renkom... dwók takik... sporyk... worków?

ABRAMEK

(który podszedł z wódką, stawiając przed Ojcem kieliszek)

Worków? A na cóż wam po nocy worki, gospodarzu?

JASIEK

(drwiąco)

Na dulary!!!

OJCIEC

(zrywając się i podnosząc zaciśniętą pięść, ryczy)

Stulić mordy!!! *(Z oczami wysadzonymi na wierzch, zdławionym głosem)* Stulić mordy!!! *(Opadając na krzesło, jakby rażony apopleksją – prawie szeptem, krótko)* Stulić mordy.

PAROBCZAKI
(którzy zerwali się na równe nogi)

Laboga!

FELEK
(bardzo poważnie)

Chyba mu rozum odjęło.

OJCIEC
(potrzęsając wskazującym palcem, a wciąż chrapliwym półszepcetem, jak człowiek duszony)
Nie... Nie... Nie odjeno!

ABRAMEK
(który skoczył za balustradę)
Gospodarzu! Uspokójcze sze! Na myły Bóg uspokójcze sze!

OJCIEC
(jak wyżej)
Wy... na targu... z mojej krowy... wasa wola! – Wy na targu... z mojego Franka... wasa wola! –
Wy... tutaj... z mojej Zośki... wasa wola! – Ze wsiężkiego śmichy... ale z dularów... wara!!...
Bo... bo... *(Bez tchu)* Jabramek!... Cystom... z kroplami.

ABRAMEK
(przypadając z butelką w rękę, stawiając ją na stole, chwytając nalany kieliszek i przykładając do ust Ojca)
Macze, macze, macze, macze! – Pijcze. – No pijcze!

OJCIEC
(po wypiciu – zupełnym szepcetem)
Bóg wam zapłać. *(Wyciągając rękę)* Jesce.

ABRAMEK
(roztrzęsiony, nie nalewając, ale przelewając kieliszek)
Ile tylko chcecie! Ile tylko chcecie!

OJCIEC
(biorąc kieliszek jak wyżej)
Bóg wam zapłać. – Jesce.

ABRAMEK
(jak wyżej)
Tak, tak. Najlepsi do czech razy. Do czech razy, gospodarzu.

OJCIEC
Juści *(wypił, wysapał się)*.
Ulżyło.

(Po chwili)
Trocha ulżyło.
(Po dłuższej chwili)
Bo mię tak... ożełlili.

(Po chwili)

Bo w chaupie ino ciengiem... a taki, a owaki...

(po chwili)

Wsyćko zawdy moja wina.

(Po chwili)

I Franek moja wina – i Jantek moja wina – i wsyćko moja wina.

(Po chwili)

To się na koniec uprzyksy.

(Po chwili)

Nawet obity koń, kie weznom na niego kłonice...

(Po chwili)

A cóż dopiro cłowiek.

STASZEK

Żebyśmy byli przewidzieli, że wam takom krzywde
wyrządzimy...

JĘDREK

Ale my faktycznie nie przewidzieli.

OJCIEC

(zupełnie opanowany gracz)

Ja wim, chopaki. Ja wim. – Kuždy musi sam doświarcyć. – Na bidę patrzyć nie wystarca. –
Trza z niom jak z własnom babom. – W łózk, za stołem – wsendy. Dopiro woncas się wi, co
ona jes i być potrafi.

ABRAMEK

Słuchajcze no. – Ja chczałbim postawicz wam pitanie... ale takie pitanie, jakże to powie-
dżecz... dyłykatne nature.

OJCIEC

(który badawczo spojrział na Abramka)

Pytajcie.

ABRAMEK

Czi... czi... nie zastaliszcz... w domu... jakiego... (szybko)
goszcza?

OJCIEC

(któremu oczy wylazły ponownie na wierzch – po opanowaniu się, załgany)

Nie.

ABRAMEK

Jak to!! (siląc się na spokój, ale wciąż przyspieszając tempo) Nie zastaliszcz... goszczą w an-
gielskie czapki, angielskie palto z paskiem, amerykańskie trzewiki, amerykańskie walizę i
złote branzolete na prawe renke?

OJCIEC

(najzupełniej opanowany)

Nie.

ABRAMEK

(w gorączce do Parobczaków)

Chłopaki! Macze dwa kroki! Niech jeden skacze po Kubusza Czajkę, a drugi po Kasperka Gwoźdź! Ale duchem chłopaki! I czycho sza!

STASZEK I JASIEK

(wstając)

Dobra. *(Wychodzą)*.

ABRAMEK

(goniąc po scenie)

To sze musi dojszcz! – To sze musi dojszcz!! To sze za kaźdi ceny musi dojszcz!!!

OJCIEC

(który z rosnącym niepokojem patrzył w Abramka – niby od niechcenia)

Cóż wara się takiego wydarzyło.

ABRAMEK

(wyprowadzony z równowagi)

Co mi sze takiego widarziło? Może okropne rzeczy mi sze widarziło! Un tutaj u mnie jadł! Un tutaj miał gruby dolar w kieszeni! Uni sze tutaj potrzebowali pobicz! A jak uni sze tutaj potrzebowali pobicz, to i na goszczyńcu mogło wibuchnąć katastrofę, bo oni dzyszaj nie tylko żgacz, ale i szczelacz potrafią!

FELEK

(pukając się w głowę)

Gdzie by kto na gościńcu w biały dzień...

ABRAMEK

Tu ni ma żaden goszczynek ani biały dzień! Tu jest gruby dolar! A gdzie jest gruby dolar, tam może bicz nawet biały dzień, bo dolar nie jest żadne sowe!

OJCIEC

Pewno. Wedle figury majom dobry plac. Wokiel ino las. Kto ik ta wi. Mogli go dopaść od tyłu – a choiaby i sielny chłop był, to dwom rady nie da, kie się napadu nie spodziwa.

ABRAMEK

Własnie! Własnie! Tak biło z Wicuszem Bombą, tak biło z Władkiem Feluszem...

FELEK

(wpadając w słowo)

Gadacie, a nie rozumiecie się na rzeczy. Plac dobry. Ni ma co. Ale sprawa musi się zawdy odleżeć, bo inaczy taki będzie strzyg uszami i żaden furtel się nie uda.

ABRAMEK

(w szale)

Na dolar ni ma żaden fortel! Na dolar ni ma żadne odkładanie! Dolar czągnie gorzy jak dżywke! Dolar czągnie jak maszine parowe! Kto go zobaczi, temu od razu namientnoszcze buchną do głowę i czy dobry plac, czy niedobry plac... *(Spostrzegając Kasperka i Kubusia z*

napuchniętymi gębami, za którymi weszli Staszek i Jasiek) Idą! (Rzucając się ku przybyłym)
Kubusz! Kasperek! – Gdzie un jest!

KASPEREK I KUBUŚ

Kto taki.

ABRAMEK

Co znaczy „kto taki”? Un!

KASPEREK I KUBUŚ

(już źli)

Jaki on?!

ABRAMEK

No un! Ten goszcz w angielskie czapkę, angielsko palto...

KUBUŚ

Abo my ta wimy?

ABRAMEK

Wiecze! Wiecze! Wy muszycze wiedziecz! Wybił wam przecie zęby...

KASPEREK

(oburzony, wpadając w słowo) Żadnych nam zębów nie wybił, ino nam gęby...

ABRAMEK

(w szalonym tempie, przerywając)

Czi zęby, czi gęby...

KUBUŚ

(przerywając, ryczy)

Nieprawda! Krwi nie było!

ABRAMEK

Słuchajcze, chłopaki! Un przepad! Czy wy mię rozumicze?! Un przepadł A wiszed przed wami! A wyszcze wiszli po nim! A wiadomo, że jesteszcze – za przeproszeniem – zbijaki i że tam, pod figurę, jest dobri plac na takie robotę nawet w biały dzień! Pamiętacze, jak biło z Wicuszem Bombą, z Władkiem Feluszem...

KASPEREK

(przerywając)

Z Władkiem Felusiem było...

ABRAMEK

Tu nie o Władka Felusza chodzi! Tu nie o Władka...

KUBUŚ

(wściekły, przerywając)

Dajcież nam się wygadać do stu diabłów!!...

ABRAMEK

(składając ręce i wciąż przerywając)

Chłopaki! Chłopaki! Zakłynam was na wasze matki, na wasze ojce, na wasze dzieci!...

KASPEREK I KUBUŚ

(w pasji)

Jakie dzieci!!!?

ABRAMEK

(robiąc przeczące ruchy ręką)

Żadne dzieci! Żadne dzieci!...

KUBUŚ

(przerywając)

Psiakrew! Jak nam gadać nie dacie, to się wyniesiemy.

ABRAMEK

No to gadajcze! Gadajcze!

KASPEREK

(uspokojony)

Z Władkiem Felusiem były porachunki we dwa tygodnie po bitce.

ABRAMEK.

(nie mogąc dłużej wytrzymać)

Już wiem! Już wiem! Na myłuszcz boski, już wiem!

KASPEREK

(przerywając)

Kiedy nie dopuścicie do słowa!

ABRAMEK

Dopuszczę do słowa! Już dopuszczyłem do słowa! Ale tu o krymynał chodzi! Tu o gruby dolar chodzi! A wyszcze tutaj byli, i un tutaj był, i ja tutaj był, i gruby dolar tutaj był, i wszyscy tutaj byli, i awanture tutaj byli, i wiszed przed wami, i wiszcze wiszli po nim...

FELUŚ I KASPEREK

(razem)

Skończycie czy nie skończycie do pioruna!!!

ABRAMEK

(rzucając się w stronę stołu i chwytając butelkę)

Skończyłem! Skończyłem! Macze, chłopaki! Poszylcze sze, pokrzcpcze sze i z całe sumienoszcze...

KASPEREK

(który nagle spowaźniał i przetał palcem otwór butelki, przepijając do Abramka)

Wasze zdrowie. *(Gdy dobrze, z dwoma odpoczynkami pociągnął, podając flaszkę Kubusiowi)*
Bier *(ociera gębę rękawem)*.

KUBUŚ

(zachowując identyczny rytuał)

Wasze zdrowie. *(Oddając flaszkę Abramkowi) Bierzcie.*

ABRAMEK

(który ani na chwilę nie przestał mówić, wtrącając po przepłajaniach Parobczaków błyskawiczne i odruchowe „dziękuję”)

...całe katolickie sumiennoszcze – dzenkuje – na jakie was stacz, powiedzcie nagie prawdę, caluszeńkie nagie prawdę, co sze działo na goszczyńcu, co sze działo przed figurę, co sze działo pod figurę, co sze działo za figurę, coszcze widźeli, coszcze widźiecz mogli, czegoszczę nawet widźiecz nie mogli – dzenkuje – a czego domiszlacz sze możecie – bo w tak poważne sprawę ni ma jeden szczegół, jeden taki drobnostki, który w razie dochodzenia sondowego nie poszadaby ogromne, pierwszorzędne znaczenie...

KUBUŚ

(po otarciu gęby dłonią)

No to wam tera powimy.

ABRAMEK

(zupełnie wyczerpany, trzymając butelkę w Stoni)

Mówcze, chłopaki. Mówcze.

KUBUŚ

Z Władkiem Felusiem...

ABRAMEK

(podskakując)

Znowu Władek Felusz! Znowu Władek Felusz!!

KUBUŚ

(który poczekał cierpliwie, w zamian za poczęstunek)

Z Władkiem Felusiem były porachunki we dwa tygodnie...

ABRAMEK

...po bitce. Tak tak tak!

KUBUŚ

(już zły)

...po bitce! Z nim będą porachunki także we dwa tygodnie po bitce, bo przody by się spodziwał, a jakby się spodziwał, tobymy mu rady nie dali. Zmówimy Felka, Jędrka, Staszka...

ABRAMEK

(przeżony)

Więc przepad?!!!

KASPEREK

Któż wam powiedział, że przepad? Nie przepad, bom widział, jak wchodził do... *(wskazując Ojca) Szywałowej chałupy.*

ABRAMEK
(jakby go piorun strzelił)

Do Szywa...

OJCIEC
(który z zapartym oddechem śledził przebieg sprawy, gwałtownie)
Łgarstwo!!

ABRAMEK
(do Ojca, jednym tchem)
Czycho, czycho, czycho, czycho! *(Do Kasperka)* Powiada, że łgarstwo.

KASPEREK
Jakże łgarstwo, kle na żywe oczy widziałem. *(Do Ojca)*
Może was w chałupie nie było.

OJCIEC
(opanowany)
Łgarstwo. Na pocontku, kie was pytano, gadaliście, że nie wicie. A tera gadacie, że wicie.

KUBUŚ
Ja gadałem, a nie Kasperek gadał. To raz. A co gadałem? – Gadałem, że nie wima, ka tera siedzi. Bo i nie wima. To dwa.

OJCIEC
Wsyćko łgarstwo.

KASPEREK
No to przywołajcie Zośkę, a obaczymy, czy łgarstwo!

OJCIEC
(uderzając się w głowę)
Dzicie! Do krzty byłbym se Zośkę zabacył! – Sprawiedliwie gada. Beło tak:

ABRAMEK
(jednm tchem)
No, no, no, no, no!

OJCIEC
(załgany) Kie powrócilimy z miasta...

ABRAMEK
No...

OJCIEC
Zośka – jak to gupia Zośka – jena coś wypłatać mojj kobicie –

ABRAMEK
No no...

OJCIEC

...ze przysłał jakiś ta Miemiec cy nie Miemiec, bo żadnym ludzkim językiem nie gadał...

ABRAMEK

Dalej...

OJCIEC

...nasłany od was –

ABRAMEK

żebim tak zdrów był...

OJCIEC

...prosić o noclig.

ABRAMEK

(w siódmym niebie)

Jak w pudełeczko. Jak w pudełeczko.

OJCIEC

Tłumaczył się niby, że to w kilku założyły się o dulary, który którego przegoni...

ABRAMEK

(przerywając)

...i że przegonił, i że robi niespodziankę, jak żabę z diszczem, i że potrzebuje położyć się na bardzo wigodne łóżko...

OJCIEC

Juści – ale co ta miał za przydzwiek, to nie powiem, bo Zośka wygnała go prec.

ABRAMEK

(drugi piorun)

Precz?!!

OJCIEC

A prec.

ABKAMEK

I poszedł sobie?!!

OJCIEC

A poszedł.

FELEK

Toście nas nabrali Abramek!

ABRAMEK

(gwałtownie do Parobczaków)

Czycho!! *(Z błyskawiczną szybkością wpadając w żartobliwy ton)* Wiszcie się szmiali, to i ja się szmiał. *(Podając Felkowi butelkę)* Wypijcie za te piędzeszczomorgowe boleszcz, chłopaki.

PAROBCZAK!

(śmiejąc się)

To ci jucha! To ci jucha!

FELEK

(jednocześnie biorąc butelkę)

Hycel z was! *(Przepijając do Jaśka)* W twoje ręce.

JASIEK

Najlepszego. *(Przepijając do Staszka)* W twoje ręce.

STASZEK

Najlepszego. *(Przepijając do Jędrka)* W twoje ręce.

JĘDREK

Najlepszego *(ciągnie z butelki do dna).*

(Jednocześnie z przepijaniem toczy się następująca sprawa:)

KASPEREK

(bezpośrednio po słowach Abramka)

A za nasze gemby kto nam zwróci!

KUBUŚ

Trza się od razu brać do rzeczy.

JASIEK

Ino przepijemy.

STASZEK

Cała stuka w tem, żeby go odnaleźć.

JĘDREK

Mucha! – Nie mógł iść ka indziej, jak w stronę miasta.

FELEK

Dopadniemy go za figurom.

KUBUŚ

Spieszcie się!

JASIEK

Ni ma gwałtu. Zdrożony.

JĘDREK

(stawiając flaszkę na stole)

Pusta.

PAROBCZAKI

(podciągając w pasie portki: czynność niezbędna przed każdym ważnym przedsięwzięciem)
To idziemy.

FELEK

Idziemy. *(Do Abramka)* A za poczęstunek Bóg zapłać! *(wychodzi)*.

PAROBCZAKI

(ruszając w bój za Folkiem)

Bóg zapłać *(wyszli)*.

OJCIEC

Tera dawajcie te worki.

ABRAMEK

Gospodarzu. Ja musze z wami na osobnoszczy.

OJCIEC

Ni mam casu.

ABRAMEK

Muszyce miecz czas. Ja tych chłopaków nie nabirał. Ja bim tych chłopaków stąd nie wypusz-
czał, gdibym ja nie wiedział, że un jest – u was.

OJCIEC

(bardzo spokojny, bo gotów w danym razie i zabić)

Skondze tak wicie.

ABRAMEK

Wy sze przed nimi kryjcie. Szczeżonego Pan Bóg szczeże. Ale wy sze przede mną kricz nie
potrzebujecie, bo ja... wszistko wim.

OJCIEC

(jak wyżej)

Wsyćko?

ABRAMEK

Gadaliszcze z nim?

OJCIEC

(przymknął oczy i milczy).

ABRAMEK

No mówcze. Gadaliszcze z nim, cziszcze z nim nie gadali.

OJCIEC

(jak wyżej).

ABRAMEK

Ja was nie zdradzę, gospodarzu.

OJCIEC

(jak wyżej).

ABRAMEK

Ja wam prziszengam na głowę moje dziecny, że o tych pietnaszcze tysieny dolary ani słoweczka nie pisnę.

OJCIEC

Kcielibyście do spółki?

ABRAMEK

Do jakie spółki?

OJCIEC

A cóże wy przypuscacie?

ABRAMEK

A o co wy sze pitacze?

OJCIEC

Ja się nie pytam. Ja się ino dziwuje.

ABRAMEK

Słuchajcze mię. Gdybyszczce byli z nim gadali, tobyszczce nie byli weszli tu tak, jakeszczce weszli, i nie bylibyszczce skoczeni na te dolary tak, jakeszczce skoczeni. Alboszczce z nim nie gadali, albo...

OJCIEC

Jabramek... Radzę wam... (*Uderzając się pięścią w piersi*) Tak uod syrca wam radzę... dajcie te worki i w policyjom się nie bawcie. Bo za takom zabawę można casami drogo zapłacić.

ABRAMEK

Tak mówycze? – To ja wam odpowiem tilko tile:

Nie jest żaden Niemiec – z nikim sze o nic nie zakładał – nikogo nie przeganiał – o żaden nocleg proszicz sze nie potrzebował – a szedł piechotą, bo w dzień targowy nie dostał furmankę na stacje.

OJCIEC

To czemu... (*urywa*).

ABRAMEK
(*skwapliwie*)

Co czemu?

OJCIEC
(*po chwili*)

Ile kcecie.

ABRAMEK
(*przykładając dłoń do ucha*)

Jak?

OJCIEC
(*gwałtownie*)

No ile kcecie!

ABRAMEK

Za co.

OJCIEC

Kie wszycko wicie, toście powinni i to wiedzieć.

ABRAMEK

Tego nie wim.

OJCIEC

W zydoskie przysiengi nie wierze.

ABRAMEK

Szkoda.

OJCIEC
(*bardzo gwałtownie*)

Nie wierze!! (*Spokojnie*) Latego po raz ostatni was pytam: ile kcecie.

ABRAMEK

Za worki tile, ile sze nalezi.

OJCIEC
(*waląc pięścią w stół*)

Nie za worki!!!

ABRAMEK

A nie za worki, to ja wam jeszcze dopłacę. (*Po chwili*) Dlaczego szcze z nim nie gadali?

OJCIEC
(*milczy*).

ABRAMEK
(*prawie ostro*)

Dlaczego szcze z nim nie gadali?! (*Po chwili*) Jeżeliszcze z nim nie gadali, to chyba że zasnął, a że był umordowany i po kielyszku, więc nie mogli szcze go dobudzicz.

OJCIEC
(*kryjąc zmieszanie*)

Ani nie zasnął, ani my go nie budzili, bo go ni ma.

ABRAMEK

To w takim razie... (*wskazując na Ojca palcem – ostro*) nie żyje!!

OJCIEC
(który drgnął, maskując się) .

Opendało was?

ABRAMEK
(krzycząc)

Nie opendało mię! Un jest u was! Un u was nie może nie bicz! Jego Zoszke nie mogła wygonicz! *(Półgłosem, jakby poufnie)* Powiczcze, dla wasz własny interes powiczcze, że bim wam dalij mógł całe prawdę wyjawicz, a że bi z was tu na miejscu nie był nieboszczik... *(Prawie krzycząc)* żyje czy nie żyje!

OJCIEC
(którym zachowanie się Abramka wstrząsnęło)

Śpi.

ABRAMEK
(opadając na krzesło)

Dzenkowacz Bogu. Dzenkowacz Bogu Najwiższemu. Aż mi sze słabo robyło. – No to wipijcze za jego i za wasze zdrowie. *(po chwili)* Będzecze miecz murowany dwór – będzecze miecz piendzeszont morgi żemie – będzecze miecz wyedukowany Franek – będzecze miecz posag Zoszke – i niech was najjasniejszy szlag trafi za całe moje zmartwię... Co sze z wami dzeje?!!

OJCIEC
(który słuchał z rosnącym przerażeniem i który mienił się na twarzy – waląc się na ławę – strasznym głosem)

Rety!!!

ABRAMEK
(oszałały)

Ryfke!! Ryfke!!

RYFKA
(stając w drzwiach w głębi)

Co jest?

OJCIEC
(wijąc się i trzymając za głowę)

Rety!

ABRAMEK
(nagle chwytając Ojca za ramię i potrząsając nim – natarczywie)
Prędko! – Prędko, gospodarzu!! – Jak najprędzyj!! Ile nóg starczy!! Ile nóg starcz!!!

OJCIEC
(zrywając się jak szalony i wypadając przez drzwi z prawej)
Rety!!!

Co jest?

RYFKA

ABRAMEK

Co jest? *(Po chwili opanowując się i pokazując lewe drzwi)* Uh – zwariował – ze szczęścia.

ZASŁONA

AKT CZWARTY

IZBA W DOMU SZYWAŁÓW

Dekoracja jak w drugiej odsłonie. Z tą różnicą, że koło ławy zewnętrznej stoi wiadro z wodą. Spod paradnego łóżka wystają nogi Antka. Na ziemi leży porzucona siekiera. Waliza na tym samym miejscu, lecz zupełnie otwarta.

MATKA

(z podwiniętymi po łokcie rękawami od koszuli i z podkasaną spódnicą, szoruje ryżową szczotką stół, po czym wyciera go ścierką, poplukiwaną i wykręcaną w wiaderku. Pracy tej towarzyszy zacięcie ust, zmarszczka na czole i przerażająco oschła precyzja ruchów. Po długiej pauzie, zapelnionej grą Matki, słychać za sceną gwałtowne dobijanie się do drzwi z lewej, ale do dalszych, wchodowych)

GŁOS OJCA

(przytłumiony, dolatujący z dworu)

Puscąj!! Puscąj!!

MATKA

(nie przerywa zajęcia. Ani nie drgnęła, ani nie zmieniła wyrazu twarzy).

GŁOS OJCA

(po chwili zupełnej ciszy, przy ponownym dobijaniu się do drzwi)

Puscąj!! Puscąj!!

(Gwałtowny trzask, jakby wywalonych drzwi, i ciężkie, szybkie kroki).

GŁOS OJCA

(i walenie pięścią, tym razem w drzwi z lewej)

Na rany Boskie puscąj!!

MATKA

(jak wyżej, suchym, donośnym głosem)

Ozwarte!

(Łomot – drzwi otwierają się z trzaskiem, na progu stoi Ojciec, nie do człowieka podobny: goła głowa, oczy na wierzch wysadzone, włosy i twarz złane potem, jakby je co dopiero wyciągnięto z wody – świszczący, dychawiczny oddech – trupia błądź).

OJCIEC

(po chwili prawie że obłąkanego rozglądania się po scenie)

Ka on!!!

MATKA

(nie przerywając zajęcia, tylko pokazując głową na Frankowe łóżko)

Haw.

OJCIEC

Ka!!!

MATKA
(jak wyżej)

Pod Frankowem łóżkiem.

OJCIEC
*(sposstrzegając nogi Antka, łapiąc się za głowę i zataczając się na ławę pod piecem)
Jezu!!! (wali się na ławę).*

MATKA
(kończąc wykręcanie ścierki nad wiaderkiem)
Poruszył się. *(Rzucając ścierkę na stół i biorąc wiaderko) Idę zmienić wodę (wychodzi).*

OJCIEC
*(wciąż trzymając się oburącz za głowę, chwije się wahadłowym ruchem na boki i najwi-
doczniej robi nadludzkie wysiłki, ażeby móc krzyczeć, mówić – na próżno. Wargi się tylko
poruszają, ale poza świszczącym oddechem żaden dźwięk z ust jego nie wychodzi).*

MATKA
(wraca z wiadrem świeżej wody).

OJCIEC
*(zrywa się, chwyta Matkę za ramię i, wciąż bezgłośnie ruszając wargami, wskazuje rozpacz-
liwie na Antkowe nogi).*

MATKA
(która przystanęła i ze wstrętem spojrziała na Ojca – otrząsając się – sucho)
Mowę ci odjeno? – Niewielka strata. Nagadałeś się dość. Tera trza robić, nie gadać.
*(Idzie w stronę stołu – stawia wiaderko na ziemi – bierze ze stołu ścierkę – i, co chwila zanu-
rzając ją w wodzie lub wykręcając nad wiaderkiem, zaczyna myć ławę).*

OJCIEC
*(przez chwilę potrząsa rękami, wreszcie wydobywa się z jego gardła, podobne do ryku nie-
mowy)*
Uaaaaa!!

MATKA
(myjąc ławę)
Nie drzyj się.

OJCIEC
(po chwili nadludzkich wysiłków)
Żyd...

MATKA
(jak wyżej)
Ni ma worków? Wsyćko jedno.

OJCIEC
(przypada do Matki i ponownie chwyta ją za ramię).

MATKA
(otrząsając się – groźnie)

Ostaw!!

OJCIEC
(który puścił Matkę, obchodzi stół – staje naprzeciw Matki i po mozolnym wykrztuszeniu)
Ty... (wskazuje kolejno na Antkowe nogi, na Matkę i na siebie).

MATKA
(która przerwała mycie ławy i patrzyła w Ojca z pogardliwym półuśmiechem – twardo)
Nieprawda! Nie razem. – Ja sama (myje podłogę).

OJCIEC
(przez chwilę robi przeczące ruchy rękami i głową, wreszcie z ponownym)
Jezu!!! (opada na ławę pod ścianą i tłukąc głową o stół zaczyna jęczeć jak człowiek wijący się z bólu).

MATKA
(zajęta szorowaniem podłogi szczotką)
Wiedziałam, że tak będzie.
(po chwili, z pauzami wypełnionymi szorowaniem podłogi)

Piniondze odlicone.

La Franka w skrzyni – la ciebie w walizie – la mnie krwawą robota,
(Po chwili)

Bedzies móg hulać całe życie.

(Po chwili)

Franek dostanie ino na dwa roki. – Zośka nie dostanie nic. – Wsyćko ty.

(Po chwili)

A jak się wyjencys – to wyniesiemy go w pole – i porzucimy na gościniec.

(Po chwili)

Niek sukajom.

(Po chwili)

Znajdom dopiro, kie Franek postawi na swoim.

(Po chwili)

Pirwy nie.

(Po chwili)

Ty z dularami w świat. – Ja z Zośkom tu. – Razem już... (nagle przerywając robotę z wybuchem) ...nigdy!!! – Słyszys mię? – nigdy!!!

(Myjąc ławę – po chwili – niesamowitym szeptem) Chyba za karę Bozom w piekle.

(Po chwili)

Tam ci nie umknę. – Tam mnie dopadnies.

(po chwili)

Za to nie dopadnies twoik dziecek.

(Po chwili)

Bo jakbyś posed do nieba, tobyś im nawet...

(z ponownym wybuchem)

...niebo zatru!!!

(Chwytając wiadro)

Idę zmienić wodę (wychodzi).

OJCIEC

(po chwili dalszego jęczenia dźwiga głowę – podchodzi do Frankowego łóżka – klęka – próbuje ostrożnie wyciągnąć ciało Antka spod łóżka – nagle pochyla się i zaczyna całować martwe stopy).

MATKA

(wracając z wiadrem wody)

Daj mu spokój! – Ni mas go za co przepraszać. On do mnie należy i tylko ze mnom rachować się będzie!

OJCIEC

(z trudem wymawiając każde słowo)

Na... łózko...

MATKA

Ja ci dam na łózko! – Litośnik poniewcasie! – A kto mnie tym Frankowem łózkiem podjudzał?! A kto mi w renke sikire kład?! Wydarłam ze siebie duse, to mi jej tera nie przywracaj!
(zawzięcie myje ławę).

OJCIEC

(wciąż na kolanach)

Był... u... Jabramka...

MATKA

(myjąc ławę)

Wiadomo, ze był.

(Po chwili)

Wiadomo nawet, ze tam jad.

(po chwili)

Wiadomo nawet, ze Jabramek go nasłał.

(Przerywając zajęcie)

Wielkie rzeczy! – Wyda, to wyda! – Odkond się Boga bać przestałam, to się i ludzi bać nie będę!

Ty strachaku ty! – Zamas podeprzyć, zamas się nad żywym ulitować, to ty bedzies jesse podgryzał?! Prec stond! Abo na ławę, abo bier ścirke i pomagaj!!

OJCIEC

(wstaje – chwiejnym krokiem idzie pod piec i wali się na ławę).

MATKA

(myjąc ławę)

Bo cóze ty se myślis? – Ty myślis, ze zeby Franek od takij, jak ja, takie piniondze przyjon, to myłabym ten stół i te ławę? – A jakże! – Posłałym – dopadłabym go – oddałabym mu –

(prawie krzycząc)

i na policyje.!!

Niek mię biorom! – Niek mię sondzom! – Niek mię końcom!!

(Myjąc ławę – złamanym głosem)

Ale ja wim, ze Franuś by nie przyjon.

Wienc muse kłamać – posełać dulary po trosecce... ze to niby od Jantka...

OJCIEC

Od... Jantka!...

MATKA

(gwałtownie)

A od kogóż by?! Od ciebie?! Ode mnie?! – Od Zośki?!

OJCIEC

(wciąż chrypem niemowy)

Od Jantka... murowany... dwór... pięćdziesion... morgów... grontu...

MATKA

(myjąc ławę)

No widzisz, jak to piknie będzie!

(Grożąc pięścią)

Ino ci radzę nie tutaj! – Tutaj ci w Jantka nie uwierzom! *(myje ławę)*.

OJCIEC

(jak wyżej)

Ja tyż... nie u... wierzył... ja... długo... za długo... nie... uwierzył... bo do... Miemieć... wokieł... świata... zało... żyły się... o... dulary... wszyscy... Tak... Zośka... tak... Jabramek... tak... i ja... uwierzył... w Miemca... zaś... nie uwierzył... w Jantka... Jezu... Chryste... w Jantka... bo i... skond... umyśnie... Zośce... ze... do Miemieć... skroś... niespodzianki... a my... długo... ceka-
li... a my... już cekać... przestali... i my się... docekali... Jezu... Chryste... my się... tak... doce-
kali... *(przy ostatnim słowie ukrył twarz w dłonie i zaczął gorzko płakać)*.

MATKA

(której ruchy – w miarę słów Ojca, powoli zamierały, której oczy powoli się zamknęły i którą od czasu do czasu wstrząsały krótkie dreszcze, oparta obiema rękami o stół – głosem jakby zasypiającego człowieka)

Już nie mów wiency... Już nie mów wiency...

(Czepiając się sprzętów i idąc w stronę Frankowego łóżka)

Już wiem... wszystko wiem...

(Siadając na podłodze obok Antkowych nóg – opierając głowę o łóżko i zamykając oczy)

Tamci het w tyle ostali... zrobił swoim niespodziankę...

(Po chwili do Ojca)

Wypląć się... potem weź nasom poduske... połóż na Fransiowem łóżku... nakryj mu płach-
tom głowine... Ino to jesce zrób la mnie... ino to... choć kwardam była... kwarda...

Ale żeby te ocy moje nie widziały...

(Po chwili)

Potem... pomożes mi... dźwignonć go... bo sama nie
wydole...

(Po chwili)

Świcki to ani jedny ni mamy.

(po chwili)

Jak to powiedział?... Aha. Boże, mój Boże, cemuś mnie opuścił... cemuś mnie nie oświcił...
Tak powiedział.

(Głaszcząc nogi Antka)

O. – Te nozki.

Schodziły się. – Tyła kurzu... tyła kurzu... Bo gnały. – Bo one się tak założyły. – Które którego przegoni. – Bez one dulary.

(Dźwigając się z trudem i wlokąc się w stronę skrzyni)

Pockaj Jantoś. – Pockaj. – Cobyś miał dowód, że nie bez kciwość... że nie la mnie.

(Otwierając skrzynię i wyjmując dolary)

Zawdy trza mieć dowód. – Miały być Frankowe. – Bedom twoje. *(Drąc banknoty na kawałki i upuszczając strzępy na podłogę)*

Już som twoje.

(Wlokąc się w stronę walizy, klękając i tak samo niszcząc banknoty)

A te miały być ojcowe. – Także bedom twoje. – Już som twoje. – Ostanie la resty ino ociec. Ino ociec.

(Patrząc w Ojca)

Cóż?... Kie płace. – Może i lepij, ze płace...

(Podchodząc w stronę Ojca)

Może wsyćka złość z płakaniem odejdzie i wskrzyśnie dusa obmyta...

(Głaszcząc ojca po głowie)

Płac, bidaku. Płac – I odpuść nam nase winy, jako i my uodpuscamy naszym winowajcom...

Także tak powiedział. – On dużo rzeczy powiedział. – Ino ze my go nie słuchali.

(Przykładając rękę do czoła)

Zara.

(Po chwili)

Dulary już...

(Po chwili)

Aha. – Poduska.

(Biorąc poduszkę z familijnego łóżka i niosąc ją w stronę Frankowego łóżka)

Przez posywki.

(Z okropnym dreszczem, a wciąż łagodnie)

Cyrwona.

(Gdy podeszła do Frankowego łóżka)

Kołdra tyz cyrwona. Wsyćko cyrwone!

(Kładąc poduszkę na Frankowym łóżku)

Spokojnie. – Spokojnie.

(Znów przykładając rękę do czoła)

Zara.

(Po chwili)

No to już chyba gotowe.

(po chwili patrzenia w łóżko)

Juści, ze gotowe.

(Kłęk, zagląda pod łóżko. Po chwili bardzo cicho)

Jantoś?...

(po chwili zupełnego bezruchu)

Już gotowe.

(Po chwili jak wyżej)

Jantoś?...

(Po chwili bardzo spokojnie)

Nie słysy.

(po chwili z przerażeniem, a półgłosem)

Nie słysy!

(Nagle zrywając się)

Nie słysy!!!

(Rzucając się do okien i rozwalając je pięścią – strasznym głosem)
Ludzie! Ludzie!! Ratunku!! Ludzie!! Ratunku!! Ratunku!! Ratunku!! Ludzie!! Ludzie!! *(pada zemdlona)*.

GLOSZY
(za oknami)

- Ka wołajom?!
- Tu tu tu!
- U Sywałów!
- U Sywałów!
- Jego baba!
- Jego kobita!
- Po policyje!
- Po ksiendza!
- Po dochtora!

LUDZIE WSIOWI
(w drzwiach)

Co się stało!!!

OJCIEC

(podnosząc rękę i odzyskując mowę, z jakąś majestatyczną powagą)
Cichajcie. Zabiliśwa chopaka. *(Wskazując Matkę)* Una leży.

LUDZIE WSIOWI
(półgłosem – krótko)

Rety!

OJCIEC
(jak wyżej)

Cichajcie. *(Wskazując nogi Antka)* Jego na łóżko – jom ratować.
(Jedni pod przewodem Felka i Jaśka rzucają się na zwłoki Antka i wyciągają je spod łóżka. – drudzy pod przewodem Jędrka, Kasperka i Kubusia rzucają się na Matkę, ażeby ją cucić).

MIESZANE GLOSZY

I
(przy Matce)

Wody!
Jest!
Krwawa!
Pryśkać na twarz! Pryśkać na twarz!
Dycha!
Będzie żyć!
Ozcirać rence i nogi!
Porusać jom! Porusać!

(Robiąc Matce sztuczne oddechanie)

- O tak tak tak tak!
- Byle syrcie nie ustało!
- Będzie żyć! Będzie! Będzie!
- Ozwira oczy!

- Znów zamknena!
- Nie szkodzi. Zwyczajne zemglenie!
- Ino nie ustawać! Ino nie ustawać!

II

(przy Antkowych zwłokach jednocześnie)

- Ostrożnie, ostrożnie, ostrożnie chopaki!
- Bo zawadzi o łóżko!
- Jezu! Głowa!
- Nakryć płachtom! Nakryć płachtom!
- Ka jes?!
- Na łóżku!
- Nie widzita, ze na łóżku?
- Dobra!
- Już!
- Ozstąpić się! Ozstąpić się!
- Dźwigamy!

(Dopiero w tej chwili ukazują się zwłoki Antka, składane na łóżku, a poprzednio przesłonięte przez ludzi. Głowa i połowa piersi nakryte płachtą).

STARY CHŁOP

(gdy zwłoki spoczęły na łóżku)

Tera rynce mu złożyć jak do pacirza.

(po chwili)

A tera capki z głowy i klenkać.

(Gdy wszyscy uklękli)

W imię Ojca...

CHÓR

(podchwytując)

...i Syna, i Ducha świętego. Amen. Anioł Pański zwiastował Pannie Maryji...

(po każdym „Zdrowaś Maria” odmawiają „Wieczne odpoczywanie”. W razie potrzeby, gdyby „Anioł Pański” trwał za krótko, mają odmawiać „Witaj Królowo”)

(Na tle modlitwy):

GŁOSY

(ratujących Matkę)

- Wstaje!
- Niech usiendzie na ziemi!
- Ale ją podtrzymywać!
- Lepij wam?
- Nie słysy.
- Kobito! Lepij, wam?
- Nie słysy.
- Może byćście się co napili.
- Kie nic nie słysy.
- Cekajcie! Zacyna gadać!

MATKA

(która usiadła, zrazu cicho, potem coraz głośniej)

Pasałbyś se bydelko – chadzałbyś se do skółki –

GŁOSY
(przy Matce)

- Pomieszana.
- Pilnować jom.
- Juści.

MATKA

(wstając i krążąc pomiędzy klęczącymi, ciągnie dalej)

- wzionbyś sobie dzieuuuuche – miałbyś pasownom matuuusie –
(udając, że klęka do modlitwy, rozglądając się podejrzliwie po obecnych i ukradkiem sięgając po siekiere leżącą na ziemi)
 - a niiii mas – a niiii mas – bo una wziena...
(zrywając się, podnosząc w górę siekiere – dziko a krótko)
- sikire!!!

(Wszystkie głowy zwracają się w stronę Matki).

LUDZIE

(pilnujący Matki, chcąc ją chwycić za rękę)

Trzymaj!

MATKA

(oddając siekiere bardzo łagodnie)

- Ja nie uderzę. – Nie. – Ja przecie ino ze strachu. – Cekaaaałam – cekaaaałam – cekaaaałam
(Przykucając i pokazując zwłoki Antka, znów okropnie szybko, a prawie szeptem)
- a on się ruszył!!!

(Tonem zwierzzenia do tych, którzy jej pilnują)

- I posło. – Sama renka. Sama renka. – Ona tyz ma swój rozum. – Ani kopacki się nie nastrasy
– ani sikiry się nie nastrasy...

(Znów chodząc)

Et... Jemu sikira niepotrzebna. – Ino dulary.

(Przystając i podnosząc w górę palec)

Dulary.

(wskazując podarte banknoty)

Jantkowe dulary.

LUDZIE

(którzy pilnują Matki, spostrzegając banknoty)

Rany Boskie!

MATKA

(przykładając palec do ust)

Ciiiiicho!

(Szeptem budzącym umarłych)

Ja także tak mówiła.

(Pokazując na Antka)

I patrzcie. Patrzcie, co się stało. – Zaniós je ze sobom Panu Bogu.

(Klękając i żegnając się)

W imię Ojca i Syna...

(Zrywając się – strasznym krzykiem)

Ni mam syna!!! Ni mam syna!!!

(Wszystkie głowy zwróciły się ponownie w stronę Matki i modlitwa urwała się nagle).

STARY CHŁOP

Modlić się. Tutak trza się modlić.

MATKA

(klękając)

Juści... juści... trza się modlić.

(Składając ręce i modląc się, ale do Ojca)

Ojce nas... Biiiida... Biiiida była...

(po chwili)

Dał Zośce za niom dularów pienć – drugie pienć dorzuci i pójdzie – bo kuzdy ma rence do siebie... I nie wódź nas na pokusenie... I nie wódź nas na pokusenie... Ojce nas... Ojce Jantkowy, Franusiowy, Zoścyny...

OJCIEC

(który wciąż siedział z twarzą ukrytą w dłoniach)

Po policyjom!!! Po policyjom!!!

(Walc się z całych sił w piersi i przy ostatnim słowie opadając na ławę)

Ja zabił!! – Ja zabił!!! – Ja zabił!!!

ABRAMEK

(który od chwili pojawił się w drzwiach – kiwając boleśnie głową)

A chciał im zrobić niespodzankę.

KONIEC

PRZEPROWADZKA

sztuka w 4 aktach

VLASTIMIŁOWI HOFMANOWI
poświęcam

O S O B Y

FRANEK, lat 26 – wyszarzała marynarka, włożona na gołe ciało – spodnie wytarte i obstrzępione, z widoczną łąką na kolanie – trzewiki dziurawe – stara trenerska czapka

ZOŚKA, lat 16 – olśniewająco piękna. Jakaś „przyodziewa”.

FELEK, lat 23 – przystojny, doskonale zbudowany – spodnie „do roboty”, przepasane rzemykiem – koszulka sportowa, głęboko wycięta i bez rękawów – czapka trenerska – trzewiki płócienne

STARSZY PAN, lat 68 – doskonale ubrany – twarz zwiędła – oczy wypłowiałe o dobrotliwym wyrazie „przeszłościowym” – wspaniała laska

CIEPIEL, lat 55 – okropnie gruby, typ apoplektyka – zalana tłuszczem łagodność

CIEPIELOWA, lat 34 – trzy kwadranse na urodę – ale raczej pospolita

ELEGANT, lat około 40 – postać najzupełniej podejrzana. Żakiet wyświechtany – lakierki – krawat bardzo kolorowy – wszystko razem powinno nasuwać na myśl unikanie wody i mydła

ŚLUSARZ, lat około 50

NUREK

NURKOWA (*oboje w sile wieku*)

PANIUSIA, lat 50

DAMA, lat 30

RYSIUNIO, lat 6

GŁOS JÓZIA

PRZECHODNIE, GAPIE, KLUBOWCY W OKNIE

AKT PIERWSZY

ULICA ŚW. JANA W KRAKOWIE

Na pierwszym planie chodnik. Wzdłuż chodnika, prawie przez całą szerokość sceny, ciągnie się wał cegieł, przygotowanych do budowy. Z prawej – od strony widowni – rodzaj olbrzymiej paki na piasek. Paka ta graniczy z ceglami. W pobliżu paki stoi kilka drewnianych zydl, na których złożono puste nosze. Dwa zydle są próżne. – W głębi kamienica Nr 11 – Nad bramą odznaka Krakowskiego Klubu Automobilowego. Słaby ruch pieszy – od czasu do czasu widać zza cegieł dachy przejeżdżających samochodów i głowy dorożkarzy.

Po chodniku tam i nazad przechadza się STARSZY PAN z założonymi w tył rękami. Trzyma w nich laskę, z jego zachowania się można od razu wywnioskować, że oczekuje na czyjeś przybycie. Nagle przystaje – patrzy z napięciem w lewo – zawód!

STARSZY PAN

(patrzac na złoty, dwukopertowy zegarek – półgłosem) Pięć minut po dwunastej... (chowa zegarek – przybiera poprzednią pozę i krąży dalej) Nareszcie! – (Rozpromienienie – ale natychmiast maska, że niby nigdy nic).

Po krótkiej chwili wchodzi ZOŚKA z menażkami i dużym kawałkiem chleba w dłoniach. – Nie zwracając na nikogo uwagi, siada w miejscu, gdzie częściowo wybrane cegły utworzyły rodzaj ławki, stawia menażkę obok siebie i czeka w sposób właściwy ludziom, przyzwyczajonym do tej czynności.

STARSZY PAN

(nadal udaje, że nigdy nic, ale ukradkiem spogląda na Zośkę okiem znawcy. Wreszcie niby to na stronie:) Ta niepunktualność... (Po chwili patrząc ponownie na zegarek) Chyba się śpieszy. (Po chwili, świecąc zegarkiem w dłoni) Przepraszam panienkę. Nie słyszała panienka... czy dwunasta już dawno wybiła?

ZOŚKA

Przed chwileczką, proszę pana.

STARSZY PAN

(wciąż świecąc zegarkiem)

Bo u mnie wpół do pierwszej.

ZOŚKA

Nie będzie tyle.

STARSZY PAN

(jak wyżej)

A jak panienka sądzi. Ile tak mniej więcej może być.

ZOŚKA

Z parę minut po dwunastej.

STARSZY PAN

Dziękuję panience (*niby to regulując zegarek*). Bo czekam tutaj na szofera... miał zajechać (*wskazując zegarkiem dom w głębi*) przed klub...

ZOŚKA
(*nie reaguje*).

STARSZY PAN

(*po chwili patrzenia w Zośkę, chowając zegarek*)
Nieznośne. (*Po chwili chodzenia*) Panienska pewno także nie lubi czekać.

ZOŚKA

Kto by lubił.

STARSZY PAN
(*po chwili chodzenia*)

Panienska pracuje w fabryce?

ZOŚKA

Nie.

STARSZY PAN

Przy rodzicach?

ZOŚKA

Nie.

STARSZY PAN

Sama?

ZOŚKA

Przy bracie.

STARSZY PAN

Zapewne murarz.

ZOŚKA

Koźlarz.

STARSZY PAN
(*nie rozumiejąc*)

Koźlarz?

ZOŚKA

Nosi cegły.

(*Z lewej weszli dwaj przechodnie*).

PIERWSZY PRZECHODZIEN

Patrz no, jak się ten stary przystawia.

DRUGI PRZECHODZIEN

Ale bo też i śliczna dziewczyna. Oczy, usta, linia...

PIERWSZY PRZECHODZIEN

Jeszcze dać jej odpowiednią oprawę...

DRUGI PRZECHODZIEN

Zgodziłbym się nawet bez żadnej oprawy...

(przeszli w lewo).

STARSZY PAN

(który zauważył, że o nim mowa, i natychmiast zaczął z przejściem badać cegły, gdy Przechodnie zniknęli z oczu)

A taka cegła będzie ważyć z jakie... trzy kilo...

ZOŚKA

(z nagłą goryczą)

Bez mała pięć...

STARSZY PAN

I na raz biorą sztuk?...

ZOŚKA

Czterdzieści.

STARSZY PAN

Ciężki chleb...

ZOŚKA

A ciężki.

STARSZY PAN

Trzeba mieć zdrowie...

ZOŚKA

(milczy).

STARSZY PAN

Oczywiście brat panienki ma zdrowie.

ZOŚKA

Tak tam.

STARSZY PAN

Nie bardzo?...

ZOŚKA

No.

A panienka może... bezrobotna... STARSZY PAN

ZOŚKA
(*milczy*).

Bezrobotna? STARSZY PAN

No. ZOŚKA

A co by tak panienka chciała. STARSZY PAN

Byle co. – ZOŚKA

Na przykład... za pokojówkę... STARSZY PAN

Niechby i za pokojówkę. ZOŚKA

A służyła już gdzie panienka? STARSZY PAN

Nie. ZOŚKA

A gdyby tak... do mnie na... naukę... STARSZY PAN

Przecie mię pan nie zna. ZOŚKA

Panienka wygląda sprytnie, uczciwie... STARSZY PAN

To niech pan pomówi z bratem. ZOŚKA

Kiedy go nie ma. STARSZY PAN

Zaraz nadejdzie. ZOŚKA

STARSZY PAN

(nagle spoglądając w prawo i pokazując palcem Felka, który od dłuższej chwili stoi z pustymi noszami na grzbiecie i z niesamowitym, żbikowatym wyrazem twarzy przysłuchuje się rozmowie)

To ten?

ZOŚKA

(po szybkim spojrzeniu na Felka, spuszczać oczy)

To Felek.

STARSZY PAN

Krewny?

ZOŚKA

(z nagłym zniecierpliwieniem)

A cóż się pan tak wypytuje?

STARSZY PAN

Nie chciałem panienki urazić.

FELEK

(nie spuszczać oka ze Starszego Pana, stawia nosze na ziemi – wyjmując z kieszeni paczuszkę tytoniu i bibułki i zaczyna kręcić papierosa).

ZOŚKA

(ruszając ramionami)

Przecie mnie pan nie uraził.

STARSZY PAN

(po wpatrywaniu się w Felka, kwaśno do Zośki)

Bardzo przystojny chłopak.

ZOŚKA

(zatrzepotała powiekami).

STARSZY PAN

(po chwili)

No więc w zasadzie zgodziłaby się panienka?

FELEK

(nagle pakując do kieszeni i tytoń, i bibułki, i nie dokończony papierosa – ruszając z kopyta, potrącając Starszego Pana i podchodząc do Zośki z wyciągniętą ręką)

Dzień dobry, panno Zosiu! *(Siadając koło Zośki i niby to ignorując Starszego Pana – który się cofnął, wzburzony potrąceniem – ale tak głośno, żeby każde słowo dotarło do jego uszu)* Miejsce się pannie Zosi szykuje. Z pewnością takie... „do wszystkiego”. Ciężkie czasy, to „wszystko” trzeba mieć w domu. Tym bardziej, że panna Zosia...

ZOŚKA

Niechże pan Felek da spokój...

FELEK

(coraz głośniej)

A starsi panowie... Ho, ho, ho!... starsi panowie mają nos!

ZOŚKA

Panie Felek!...

FELEK

(jak wyżej)

Na szczęście i Franek ma nos. Od razu bestyja wyniucha: kawaler czy żonaty. Jak żonaty, to wyśle pannę Zosię umawiać się z żoną. A jak nieżonaty, to wyśle kawalera umawiać się z takimi, którym... *(już wprost do Starszego Pana – z wybuchem)* kawalerów potrzeba!

STARSZY PAN

(który z widoczną irytacją krążył po chodniku, rusza ramionami i wychodzi na lewo).

FELEK

Ha! ha! ha! Na zamówienie kawaler!

ZOŚKA

(z miękkim wyrzutem, ale rada)

Pan Felek musi zawsze wyrabiać awantury...

FELEK

A cóż to pannie Zosi szkodzi? – On tu wróci. Zobaczy panna Zosia, że wróci. Starej muchy od miodu nie odegna.

ZOŚKA

(z cieniem gorzkości)

Piękny mi miód.

FELEK

(nagle jakby onieśmielony)

Niech panna Zosia nie udaje.

ZOŚKA

(zmieszana)

Nic nie udaję.

FELEK

A jakże *(Co chwila spogląda ukradkiem na Zośkę).*

(Pauza).

ZOŚKA

(coraz bardziej zmieszana)

Franusia jakoś nie widać...

(Pauza).

FELEK

(trochę nienaturalnym głosem)

Panno Zosiu?...

ZOŚKA
(*jak wyżej*)

Co, panie Felek.

(*Pauza*).

FELEK
Ja bym się panny Zosi o coś spytał... ale cóż, kiedy się panny Zosi... boję.

ZOŚKA
(*szybko spojrzała na Felka i jeszcze szybciej spuściła oczy*).

FELEK
O. Tylko panna Zosia tymi ślepkami strzeliła i... i nic.

ZOŚKA
(*ruszyła lekko ramionami i widocznie zakłopotana, skubie nerwowo spódnice*).

FELEK
(*po krótkiej chwili*)
A przecie... odkąd my się poznali... już będzie ze dwa tygodnie... próbuję z wami i tędy, i owędy...

ZOŚKA
Bośmy już tacy, panie Felek.

FELEK
(*niecierpliwie*)
Gadanie! – (*po chwili*) Ja przecie do was z sercem. – (*Po chwili*) Wam bieda czy co?...

ZOŚKA
Co ma być bieda.

FELEK
Gadanie! (*Po chwili*) Panna Zosia myśli, że ja taki głupi. (*Po chwili*) Jak tu braciszek panny Zosi nastał, to łaska Boska, że go nie przywaliło. Brał się do rzeczy, jakby nigdy niczego na grzbiecie nie nosił. Dopiero musiałem go uczyć... Inni się tylko naśmiewali...

ZOŚKA
Wiem, panie Felek. Wiem.

(*Pauza*).

FELEK
A co on przedtem robił?

ZOŚKA
(*milczy*).

FELEK
Przecie ani nie kradł, ani nie zabijał...

ZOŚKA

Przecie, że nie zabijał.

FELEK

No więc cóż robił? – Rękami nie pracował. Jakby rękami pracował, to nie byłyby takie delikatne, takie miętkie... Więc czym pracował?

ZOŚKA

Czym ta mógł.

FELEK

(zły)

Widzi panna Zosia. Żeby się człowiek na głowie postawił, niczego z was nie wydusi. Ani skąd jesteście, ani dlaczego tutaj jesteście... Chociaż powinniście zmiarkować...

ZOŚKA

Nie trzeba, panie Felek! Nie trzeba!

FELEK

Więc panna Zosia myśli, że chcę po świńsku? Jak inni? To mnie panna Zosia nie zna. Ja chcę po Bożemu. Uczciwie.

ZOŚKA

(wybucha płaczem)

FELEK

Masz tobie!

TRZECI PRZECHODZIENÍ

(stateczny i współczujący, przypatruje się Zośce).

FELEK

(zniżając głos)

Niechże panna Zosia da spokój. Ludzie patrzą.

ZOŚKA

(szybko ociera łzy).

FELEK

(widząc, że Przechodzień wciąż współczuje – ostro)

Panie ładny! Idź pan swoją drogą!

TRZECI PRZECHODZIENÍ

(obruszony, przez zęby)

Bolszewik! *(wychodzi).*

FELEK

Cholera, psiakrew! Będzie się wygapiał!

ZOŚKA

Bóg zapłać, panie Felek.

FELEK

Nie ma za co. *(Po chwili)* A choćby i kradł... choćby i zabijał... Wielkie rzeczy! Z nim ślubu nie będę brał ani go nie będę potrzebował. – Plecy mam jak byk... Jeżeli bez niczyjej pomocy potrafiłem udźwignąć z parę sześciopiętrowych kamienic, to i bez niczyjej pomocy potrafię udźwignąć pannę Zosię. Chyba, że mnie panna Zosia... nie lubi.

ZOŚKA

(ponownie płacze).

FELEK

Znowu! *(Nagle do Paniusi, która przystanąła i litośnie kiwając głową, patrzy w Zośkę)* Paniusiu! Jak będziecie tu wszyscy przystawać...

PANIUSIA

(troskliwie)

A czemu ona tak płacze?

FELEK

(wściekły)

Bo jej się tak podoba!!!

PANIUSIA

(żegnając się zgorszona i odchodząc)

W imię Ojca i Syna...

FELEK

(wołając za paniusią)

Amen, Paniusiu! Amen! *(Do Zośki)* Ale ja wiem, że mnie panna Zosia lubi. Tylko panna Zosia coś ukrywa. I Franek coś ukrywa. – Zresztą jak nie, to nie!

ZOŚKA

(szlochając)

Ja bym... z panem Felkiem... prędzej... po świńsku...

FELEK

Rany boskie, co też panna Zosia wygaduje!...

ZOŚKA

Ja bym z panem Folkiem... na koniec świata... ale ja... nie mogę... na żaden sposób nie mogę... bo... bo... bo nie mogę...

FELEK

(nagle jakby zamarły)

Aha! *(Po chwili medytowania)* Panno Zosiu. Jak się kto... ma do kogo... tak jak ja się mam do panny Zosi...

ZOŚKA

Nie, panie Felek – Nie!

FELEK

(niecierpliwie)

Niechże panna Zosia poczeka! – *(Po chwili szorstko)* Prawdziwe kochanie nie przebiera! *(Po chwili)* Bo gdyby przebierało, to... nie byłaby żadna sztuka.

ZOŚKA

(bardzo cicho)

Nie, panie Felek... nie...

FELEK

Uwaga! – Franek idzie!

(Zośka szybko ociera łzy – Felek wstaje – opiera się o cegły i kręcąc papierosa, zaczyna pogwizdywać). (Z prawej wszedł Franek z pustymi noszami na grzbiecie. Postawił nosze na zydłu – przetarł rękawem czoło – wolnym, zmęczonym krokiem wlecze się w stronę obecnych – wreszcie siada obok Zośki. Przez chwilę panuje ciężkie milczenie. Felek od czasu do czasu spogląda ukradkiem na Franka, ZOŚKA, bardzo zmieszana, również podpatruje brata).

FRANEK

(z wyczerpaniem w głosie)

Jest tam co?

ZOŚKA

(szybko podając menażkę)

Jest cały obiad, Franuś.

FRANEK

(biorąc menażkę)

Dziękuję. *(Po chwili trzymania menażki na kolanach, ocierając rękawem czoło)* Ale war *(widocznie bez ochoty zabiera się do jedzenia).*

FELEK

(trochę nienaturalnym głosem, wciąż kręcąc papierosa)

Bo zrzuciłbyś tę marynarkę i pracowałbyś w koszuli.

FRANEK

(pojadając – z tajoną goryczą)

W koszuli. Świetna rada. Po dwóch tygodniach chuderlawej kozłarki w koszuli. A od wielkiego dzwonu co... jeśli łaska.

FELEK

(sztuczny, zalepiając bibułkę)

To pracowałbyś nago.

FRANEK

Za zezwoleniem twoim i... policji.

FELEK

No to ja ci... *(wskazując na swoją koszulkę)* taką szportówkę dam.

FRANEK

(ostro)

Nie będę niczym utrzymankiem.

FELEK

Ty! Idź z tym do Ciepiałowej! Nie kuszę cię lepszym mieszkaniem, żebyś ze mną spał, ale szportówką, żebyś się przy robocie nie pocił. *(po chwili, jakby zmieszany)* Wreszcie... jak gardzisz podarunkiem od obcego, to mógłbyś przyjąć od... *(urywa)*,

FRANEK

(przystając jeść – sucho)

Od kogo.

FELEK

Z tobą się dzisiaj nie dogada! Co człowiek gębę otworzy, od razu wszystko „źle”! *(Po chwili)* Koszula źle, nago źle, szportówka źle...

FRANEK

Bo chciałbym wiedzieć, od kogo mam ją... przyjmować.

FELEK

(pałac za sobą mosty, ostro)

Od szwagra!

ZOŚKA

(kamienieje).

FRANEK

Jak?

FELEK

(już zmieszany)

Zwyczajnie. Od szwagra.

FRANEK

Od... szwagra?

FELEK

(spuszczając oczy, po pociągnięciu nosem)

Ano od szwagra.

FRANEK

(po chwili wpatrywania się w Felka – zabierając się do jedzenia – sucho)

Nie!

FELEK

(zły)

To się poć! – *(Po chwili)* Za wysokie progi. He?!

FRANEK

(jedząc)

Raczej za niskie nogi.

FELEK

(prawie groźnie)

Niby moje?

FRANEK

Zończyne.

FELEK

(który zgłupiał)

Jak?

FRANEK

Zończyne.

FELEK

Franek?... *(pukając się palcem w czoło)* Puknij się. Przecie ja wszystko wiem.

FRANEK

(przystając jeść – przez zaciśnięte gardło)

Co wiesz!

FELEK

Przecie takie rzeczy... bywają.

FRANEK

Jakie rzeczy.

FELEK

(zły)

Gdzieżeś się chował! W wacie?! Trzeba ją było lepiej ochraniać! Od małości wiedziałeś, jak to u nas bywa! Nas nie stać na gubernantki! *(Po chwili zmieniając ton)* Więc jak nie będę pierwszy, to będę... ostatni.

ZOŚKA

(która siedziała jak słup soli – gorączkowo)

Jezus Maria!...

FRANEK

(do Zośki ostro)

Zostaw! – *(Podchodząc do Felka)* Słuchaj no Felek. Właśnie że byłbyś pierwszy. Rozumiesz? *(Z lekkim wybuchem w głosie)* Ale nim nigdy nie będziesz! – Ani ty, ani żaden porządny

człowiek! – *(Spokojnie)* Chyba drań. *(Siadając i zabierając się do jedzenia)* A drania do niej nie dopuszczę.

FELEK

Coś podobnego... *(Patrzy zupełnie ogłupiały to na Franka, to na Zośkę – wreszcie zdławionym głosem)* I panna Zosia... przyzwala?

ZOŚKA

(drży na całym ciele).

FELEK

(po pauzie)

Dobrze... poczekam *(zapala papierosa).*

FRANEK

(jedząc – sucho)

Szkoda czasu.

FELEK

I tak poczekam. Jak ty nie zmądrzejesz, to panna Zosia zmądrzeje. A jak panna Zosia nie zmądrzeje... *(Ostro)* Bobyście raz wyrzucili ze siebie!... *(Po chwili)* Przecie i ja nie święty... *(Po chwili, widocznie zakłamanym)* Nawet w kryminale siedziałem... *(Z bajeczną prostotą)* Pobitem się na zabawie z jednym, co się podbierał do mojej kochanki. Byliśmy obaj opici... No i jakim wyrznął żelaznym drągiem przez łeb... Ledwo go odratowali. *(To chwili)* A myślicie, żem nikomu nigdy nic nie ściągnął? *(Siadając na pustym zydłu)* Akurat. – Taki, co się chowa na bruku, a nocuje pod mostami, zupełnie inaczej na świat patrzy. Mosty jego, bruki jego, ci, co po brukach chodzą, także jego... a cóż dopiero ich kieszenie! – I jak przypadkiem wyjdzie na ludzi, to nie żadna zasługa, ale cud. – Toteż choćbyście mieli za sobą Bóg wie co... nie moja rzecz sądzić.

FRANEK

(podchodząc do Felka i wyciągając rękę)

Daj rękę Felek...

FELEK

(ruszając ramionami)

Niech ci będzie *(uściska Frankową dłoń).*

FRANEK

...i staraj się bez urazy... *(po chwili)* Bo widzisz... może po namyśle byłbym ci Zośkę i dał... ale teraz... po tej twojej żelganej spowiedzi...

FELEK

(zrywając się z zydła)

Co żelgane! Gdzie żelgane!

FRANEK

(gwałtownie)

Wszystko żelgano!

FELEK

(zły)

Nieprawda! I kochankę miałem, i opilem się, i była krew...

FRANEK

(z tragicznym wybuchem)

Ale kradzieży nie było, i żelaznego draga nie było, i kryminału nie było!

FELEK

(który z nagłym skupieniem spojrzał na Franka – nadrabiając miną)

Świadka ci nie dostawię.

FRANEK

(zupełnie tragiczny)

Za to ja ci dostawię! – Całą wieś!

FELEK

(jak wyżej, ruszając ramionami)

Do ślubu wystarczy dwóch.

FRANEK

(jak wyżej)

Nie wystarczy! – *(Po chwili jakby ze łzami w głosie)* Trzeba jeszcze wiedzieć, co się bierze. *(Nagle bijąc się pięścią w piersi)* A my się spowiadać nie możemy! Nam się spowiadać nie wolno! *(Po chwili tępo)* Dlatego... zapomnij o Zośce – zapomnij o tym, co ci w tej chwili powiedziałem – noś razem ze mną cegły – i dziękuj Panu Bogu, że ci nie pozwałam nosić... hańby! *(siada obok Zośki i zabiera się do jedzenia).*

FELEK

Gadasz po pańsku, Franek. Na hańbowanie jest sposób. *(Ilustrując gestem)* Zakasać rękawy *(patrzac nienawistnie na kilku gapiów, którzy przystanęli z prawej)* i tak skuć mordy, żeby się raz na zawsze odechciało!!

(gapie znikają),

FRANEK

(zrywając się i odrzucając menażkę, zupełnie wyprowadzony z równowagi)

Własnej mordy nie skujesz!! A choćbyś ją skuł, to i tak postawi na swoim!! Będzie pyskowała nawet skuta!! *(Pędzi w stronę noszów i zaczyna gorączkowo ładować cegły).*

ZOŚKA

(bez ruchu)

FELEK

(wodząc wzrokiem za Frankiem, jakby na stronie) Opętało go. Chyba go do krzty opętało. *(Kręcąc głową)* Psiakrew...

ZOŚKA

(nagle wstaje).

FELEK
(*chwytając Zośkę za rękę*)

Niech panna Zosia siedzi!

ZOŚKA
(*potulnie siada*).

FELEK
(*po kilkakrotnym spojrzeniu na Zośkę – zamyślony – bardzo wolno*)
Niech panna Zosia siedzi. (*Po chwili skrobania się w kark głęboko zamyślony*) No to nie będzie innej rady. (*Po pauzie*) Trudno.

FRANEK
(*który tymczasem naładował nosze, bierze je nerwowo na plecy, ale ciężar porywa go w tył i nosze spadają z głośnym stukiem na zydel*).

FELEK
(*zrywając się*)
Ostrożnie Franek!! Przecież ci tyle razy gadał, że trzeba wymiarkować w sobie!! (*pomagając Frankowi do schwycenia równowagi*) Dobra?

FRANEK
(*prawie bez głosu*)
Dobra.

To wal!

FRANEK
(*objuczony, ostrożnym krokiem wychodzi w prawo*).

FELEK
(*ruszając ramionami*)
I po co się toto bierze do nie swoich rzeczy. (*Chwilę medytuje – podchodzi w stronę Zośki – wreszcie schylając się i podnosząc menażkę, mruczy, widocznie byle coś powiedzieć*) Nawet menażki nie uszanował...

ZOŚKA
(*jakby budząc się*)
Ja podnio...

FELEK
(*stawiając menażkę na ceglach, sztucznie, a niby szorstko*)
Zrobione! (*Siada koło Zośki jakby znużony. Po chwili*) Ha no tak.

ZOŚKA
Bo pan Felek myślał, że ja...

FELEK
(*wyjmując z kieszeni tytoń i bibułki, ostro*)
Zrobione! –

ZOŚKA
(zamarła).

FELEK

(kręcąc papierosa, po chwili)

Niech będzie po świńsku. *(Zalepiając bibułkę i widocznie strasząc Zośkę)* Jak panna Zosia chce, żebym diabłu sprzedał duszę... *(chowając tytoń do kieszeni)* to ją sprzedam. *(Wyciągając z kieszeni zapalnik)* Co mi tam. Nie nowina. *(Po zapaleniu papierosa i schowaniu zapalnika)* Tylko, że przody można się było poprawić, a teraz nie będzie się można poprawić, bo panny Zosi nie opuszczę – chociaż tu nie ma ołtarza ani świec – aż do śmierci. – W grzechu będę żył i w grzechu będę umierał. – *(Po pociągnięciu nosem)* Pójdziemy razem do piekła. Tylko szkoda, że nadaremno. *(Po kłębieniu dymu)* Przecie i tak się dowiem na sądzie ostatecznym, dlaczego panna Zosia nie chciała po Bożemu... *(Po pociągnięciu nosem)* Czy wcześniej, czy później wyjdzie szydło z worka. *(Po strzyknięciu śliną przed siebie)* Za to Franusiowi będzie lżej. – Nie będzie miał panny Zosi na głowie... A on tu długo nie wytrzyma. – Do takiej roboty trzeba się zaprawiać od dziecka. – Tymczasem wystarczy popatrzeć na niego, żeby od razu wymiarkować, co się święci. – W najlepszym razie szpital. – A dla panny Zosi, jak panna Zosia za mną nie pójdzie, ten starszy pan, który tu ciągiem załazi! – A potem?... potem także szpital.

ZOŚKA

To już... powiem, panie Felek.

FELEK

(z robioną obojętnością)

Po co.

ZOŚKA

Kiedy ja powiem.

FELEK

(jak wyżej)

Skoro panna Zosia chce na upartego...

ZOŚKA

Tylko żeby do Franusia nie doszło...

FELEK

Cóżem to! Baba?

ZOŚKA

(prawie bez głosu)

Ojcowie, panie Felek. Ojcowie.

FELEK

(pociąga nosem i bawi się puszczeniem kólek z dymu).

ZOŚKA

Posłali Franusia od dziecka do szkół...

FELEK
(*jak wyżej*).

ZOŚKA
A starszy braciszek – Antek – jak mu było dwanaście roków, wyjechał ze stryjkiem do Ameryki...

FELEK
(*jak wyżej z dodatkiem strzyknięcia śliną przed siebie*).

ZOŚKA
A tatuś pili...

FELEK
(*filozoficznie*)
– Kto nie pije...

ZOŚKA
Ale tatuś bez przestanku pili... i bez mała wszystko przepili... Zostało tylko półtora morgi gruntu i jedna krowa...

FELEK
(*wciąż z robioną obojętnością*)
Zawsze coś.

ZOŚKA
No. – (*Po chwili*) I Antek, który prawie od początku słał, naraz przestał słać...

STARSZY PAN
(*zjawia się z prawej*).

FELEK
(*wstając posągowo spokojny*)
Niech no panna Zosia poczeka. (*Z rękami w kieszeniach podchodząc do Starszego Pana*) Panie ładny, która też to będzie godzina.

STARSZY PAN
(*zaskoczony*)
Co to znaczy. Prowokacja?

FELEK
Pytam, która też to będzie godzina.

STARSZY PAN
(*lekko drżącą ręką wyjmując zegarek*)
Godzina?... Wpół do pierwszej (*chowa zegarek*).

FELEK
No to przyszedł pan akurat o jakie ośm godzin za wcześnie. Latem wychodzą dziwki na ulicę dopiero o dziewiątej.

STARSZY PAN
Co to znaczy!

FELEK

To znaczy, że o wpół do drugiej nie warto zdzierać zelówek.

STARSZY PAN

(rozbrajająco groźny)

Przepraszam bardzo...

FELEK

Nie ma pan co przepraszać, bo pan dotąd nic złego nie zrobił. *(podnosząc głos)* Ale pan chce robić! Od kilku dni mam pana na oku, to wiem!

STARSZY PAN

(podnosząc głos)

Wymawiam sobie...

FELEK

(z niepokojącym spokojem)

Panie. Mówmy spokojnie. *(Wskazując Zośkę)* Przypadła panu do smaku? – Mnie też. *(Z nagłym wybuchem)* Rozumie pan?!!

STARSZY PAN

Ja policję!...

FELEK

(ryczy)

Ja także policję!! *(bijąc się pięścią po bicepsie lewej ręki)* Ale tę policję!!! Rozumie pan?!!

KILKU GAPIÓW

(zgrupowało się na chodniku – w oknach – pierwsze piętro – Klubu Automobilistów ukazały się zaciekawione głowy).

STARSZY PAN

(machając laską, krzyczy)

Spokój!!

FELEK

(jak wyżej)

Będzie spokój, jak pan przestanie deptać jej po piętach, kiedy odnosi menażki do domu!!! *(Wskazując lewą stronę)* Odjazd!!! *(wzburzony siada przy Zośce).*

STARSZY PAN

(wygrazając laską)

Ja do was jeszcze powrócę! Ja z wami zrobię porządek! Ja wam pokażę, czym się za grubiaństwa płaci!! *(spieszy w lewo).*

FELEK

(wołając za Starszym Panem)

Szkoda wracać! Może pan od razu zameldować! Zajac Feliks – robotnik – lat dwadzieścia trzy – Grzegórzecka piętnaście! Serwus! – A niech pan porachuje swoje lata!

GAPIE

(rozbawieni, rozchodzą się)

To mu wrzepił! To mu wykropił!

(Głowy w oknach Klubu znikają).

FELEK

(wydychając resztę pary)

Dziadziśko, psiakrew, zatracone! *(Zmieniając ton, ale jeszcze zdyszany)* No i co, panno Zosiu. Co dalej.

ZOŚKA

(wystraszona) On tu jeszcze sprowadzi...

FELEK

(zły)

Niechże panna Zosia gada, co dalej! *(Zmieniając ton)* Mało brakowało, a byłoby nieszczęście.

ZOŚKA

(oszołomiona)

A jak on z dobrego serca, panie Felek?...

FELEK

(znowu zły)

To niech to serce komu innemu okazuje!

ZOŚKA

Bo czasem starsi panowie...

FELEK

Panno Zosiu! Czy o starszych panach mamy gadać, czy...

ZOŚKA

(szybko)

Już gadam, panie Felek. Już gadam.

FELEK

No! – *(Po chwili, sięgając do kieszeni po tytoń)* Stańlimy na Antku, jak przestał ślać.

ZOŚKA

No. – *(po chwili)* A Franuś miał się ku córce nauczyciela z naszej wsi... i za zgodą jej rodziców mieli się pobierać, skoro tylko dojdzie do posady... i żeby dojść, chodził na filofije...

FELEK

Gdzie chodził?

ZOŚKA

Na filozofije.

FELEK

(kręcąc papierosa i ruszając ramionami)

Także coś...

ZOŚKA

No. – I powiedział mamusi, że jak bez pieniędzy nie doskoczy, to się obwiesi...

FELEK
(zalepiając bibułkę)

To jucha.

ZOŚKA
No. I mamusia chcieli sprzedać krowę... ale Franuś nie zezwolił...

FELEK
(fachowo)
Sprawiedliwie (zapala papierosa).

ZOŚKA
...i uciekł z domu szukać roboty... i zostawił karteczkę z pismem, że dopóty się nie wróci, póki na swoim nie postawi...

FELEK
Morowiec.

ZOŚKA
No. – (Po chwili) Tylko że mamusia i tak krowę sprzedali...

FELEK
Bo jak się kobita uprze...

ZOŚKA
No. – (po chwili) A tego samego dnia... (Nagle płacząc) Kiedy tak ciężko wyznać...

FELEK
(szybko odrzucając papierosa i biorąc Zośkę za rękę – czule)
Śmiało, panno Zosiu. Śmiało. Przecie panna Zosia nie dziecko.

ZOŚKA
(mimo woli tuląc się do Felka)
...przyszedł jakiś wędrowny... że to niby na przenocowanie... Kiedy tak ciężko wyznać...

FELEK
(obejmując lewym ramieniem kibić Zośki)
Śmiało, panno Zosiu. Żeby tam nie wiem co.

ZOŚKA
(drżąc na całym ciele i coraz bardziej tuląc się do Felka)
...a miał dolary...

FELEK
(nagle skupiony – jakby z lękiem w głosie, bardzo cicho)
Dolary?

ZOŚKA
(coraz bardziej rozdygotana)
No. – (Po chwili) A był okrutnie zdrożony i napity...

FELEK

(przyciągając Zośkę coraz bliżej do siebie, prawie szeptem, z rosnącą grozą)
...i jak zasnął...

ZOŚKA
(jak wyżej)

No. –

FELEK
(jak wyżej)

Ojcowie?...

ZOŚKA
(tuląc twarz do piersi Felka, z wybuchem rozpacz)

Matusia! Siekierą!

FELEK
(zaczynając niezgrabnie głaskać Zośkę po głowie, półgłosem)

Rany Boskie!...

ZOŚKA
(szlochając)

A to był...

FELEK
(do ucha Zośki, z przerażeniem w oczach)

Antek?...

ZOŚKA
(rozpaczliwie szlocha).

FELEK
(wciąż głaszcząc Zośkę po głowie, jak wyżej)

Rany Boskie!...

ZOŚKA
(po chwili spokojniej)

Potem matusia dolary podarli...

FELEK
(wciąż głaszcząc Zośkę, bardzo miękko)

Z tej boleści...

ZOŚKA

Potem jej rozum odjęło...

FELEK
(jak wyżej)

Z tej boleści...

ZOŚKA

Tatuś oskarżyli się sami... poszli do kryminału za spółnictwo... Franuś, jak się dowiedział... wziął mnie ze sobą... poniewieraliśmy się po świecie... teraz dniem haruje, a nocą się uczy... ja żadnego miejsca... żadnej służby... wszystko pozajmowane...

FELEK

(który wciąż głaskał Zośkę po włosach – przez zaciśnięte gardło)

Toteż... toteż, panno Zosiu... mam plecy jak byk... jestem od małego zwyczajny... to... to... ano to... *(Nagle chwytając Zośkę w ramiona i obsypując pocałunkami)* udźwignę, śliczności ty moje!...

ZOŚKA

(rytualnie defensywna)

Panie Felek!...

FELEK

(rozcałowany)

Jak Boga... Kocham... udźwignę... śliczności... ty moje... jedyne!...

ZOŚKA

(kapitulując, bardzo miękko)

Panie Felek... Panie Feluś...

DAMA

(która weszła z lewej, ciągnąc za rękę opornego Rysiunia)

Nie patrz, Rysiuniu! Nie patrz! *(Niby na stronie, a właściwie do Felka i Zośki)* Po prostu skandal! W biały dzień!

RYSIUNIO

(zahipnotyzowany widokiem – odkrywczco)

Oni się, mamusiu, Kochają!

ZASŁONA

AKT DRUGI

U CIEPIELÓW

Niewielki pokój, którego podniszczone, malowane przez patron ściany drażnią oko niebieskimi, nieznośnymi kwiatami. W bocznych ścianach drzwi: z lewej zamknięte, wchodowe z dzwonkiem – z prawej zaś otwarte, prowadzące do „pracowni”. Przy prawych drzwiach stoi dość zmęczone, wiedeńskie lustro, w czarnych, zupełnie niepotrzebnie rzeźbionych ramach. Przy lewych drzwiach podpira ścianę półka, na której leży trochę „materiałów na garnitury”. W głębi stoi rząd szaf, tworzących rodzaj przepierzenia, za którym dalsza część pokoju, zwana „sypialnią”. Pomiędzy szafami i lewą ścianą dość obszerne wejście do „sypialni”. W „sypialni”, naprzeciw wejścia, stoi pod ścianą komoda, objuczona licznym zbiorem pamiątek rodzinnych, wśród których zwracają uwagę dwa duże, bardzo różowe wazony, świecące złotymi liśćmi, oraz turkusowa-niebieskimi różami. Nad komodą, w okrągłych czarnych ramach wiszą „powiększone” fotografie państwa CIEPIELÓW: pani CIEPIELOWA w ślubnej sukni, pan CIEPIEL w czarnym, na dwa rzędy zapiętym surducie, oraz w białym frakowym krawacie. Pośrodku państwa Ciepeliów, nieco wyżej, umieszczono obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, przed którym pali się czerwona lampka w kształcie serca, oplecionego cierniową koroną. W prawym kącie, przed szafami, stoi wieszadło, na którym wisi kilka „garniturów” do „przymiarki”. Na środku sceny rozpiera się stół, nakryty wzorzystą ceratą i otoczony trójcą wyplatanych „wiedeńskich” krzesel. Z prawej panuje nad otoczeniem majestatyczny fotel – wiekowy – obity czarną ceratą i przyozdobiony gwoździkami o białych porcelanowych łebkach. Nad stołem wisi niezmiernie sztuczna, zastosowana do elektryczności lampa z dowcipnie malowanym kloszem. – Nie należy zapominać o wybitnej „wiedeńskości” szaf. Na fotelu śpi Ciepeli. Zrzucił marynarkę, rozpiął kamizelkę, zdjął i położył na stole kołnierzyk oraz pasowy w białe grochy – oczywiście „gotowy” – krawat, na brzuchu złożył ręce jak do modlitwy i polyskując opadniętymi na czubek nosa okularami, chrapie – nie! nie chrapie, ale wydaje ze siebie tak przerażające odgłosy, że gdyby nie błogość rozlana na jego podbródkowej twarzy, to należałoby wezwać ratunku. Z kolan zwiesza się smętnie gazeta. Pan Ciepeli czytał.

GŁOS FRANKA

(z pracowni)

No więc powtórz jeszcze raz. – No powtórz.

GŁOS JÓZIA

(rozjechany – leniwy)

Ambulemus...

GŁOS FRANKA

Uważaj. Któraż to koniugacja.

GŁOS JÓZIA

Słyszysz pan, jak tatuś chrapie?

GŁOS FRANKA

(znużony)

Nie zajmuj się tatusiem, ale myśl o tym, co do ciebie należy. No! któraż koniugacja.

GŁOS JÓZIA

Która?... No pierwsza.

GŁOS FRANKA

Pierwsza. Więc odmieniaj. Ambulo, ambulas... No dalej.

GŁOS JÓZIA

(jak wyżej)

Ambulat...

CIEPIEL

(straszliwie charknął i mlaszcze językiem, jakby smakował).

GŁOS JÓZIA

Ha! ha! ha! ha! Co też to tatuś wyprawia!

GŁOS FRANKA

Zamknij drzwi. – Słyszysz?... Zamknij drzwi! *(Prawe drzwi zamykają się).*

(Dzwonek).

GŁOS CIEPIEŁOWEJ

(z sypialni)

Dzwonią.

(Pauza)

Ojciec! Dzwonią!!

(Trzeci dzwonek).

GŁOS CIEPIEŁOWEJ

Obudźże się nareszcie! Przecie z migreną nie wstanę!

CIEPIEL

(przez sen)

Mmm?...

GŁOS CIEPIEŁOWEJ

No dzwonią!!

CIEPIEL

(otwierając jedno oko)

Dzwonią?

GŁOS CIEPIEŁOWEJ

Tobie można by z armat nad uchem strzelać...

(Trzeci dzwonek).

CIEPIEL

(ociężale wstaje – kładąc gazetę na stole, bez żadnego pośpiechu)

Ależ idę. Idę *(flegmatycznie zakładając kołnierzyk).*

Nawet wieczorem spokoju nie dadzą. – W taki upał...

GŁOS CIEPIEŁOWEJ

Tobie zawsze upał. Zapasteś się jak wieprz...

CIEPIEL

(zakładając przed lustrem krawatę)

Cicho, matka. Cicho.

GŁOS CIEPIELOWEJ

Dziwi mię, że cię dotychczas szlag nie trafił...

CIEPIEL

(nakładając marynarkę)

Cicho, matka. Cicho. *(Tocząc się w stronę lewych drzwi i zapinając kamizelkę)* Już idę *(bez pośpiechu otwiera drzwi)*.

GŁOS STARSZEGO PANA

Czy... pan Ciepiał?

CIEPIEL

(w zawodowych ukłonach)

Do usług, panie dobrodzijku. Całuję serduszek. *(Wskazując pokój)* Prosimy.

STARSZY PAN

(wchodząc o lasce)

Witam pana.

CIEPIEL

(idąc za Starszym Panem) Świeże materialiki są – świeże fasoniki także są. – *(Podsuwając fotel)* Fotelik.

STARSZY PAN

(który złożył na stole kapelusz i rękawiczki, ostrożnie siadając)

Bar... *(nagle sykając z bólu przy bezpośrednim kontakcie z fotelem)* Tff!... *(Zdławionym głosem przez ból)* bardzo pan uprzej... *(dyskretnie rozciera kolano)*.

CIEPIEL

Pięterka, panie dobrodzijku. Pięterka.

STARSZY PAN

(szybko prostuje się i opiera obie dłonie na lasce).

CIEPIEL

Mnie także ciężko po schodach...

STARSZY PAN

(urazony porównaniem, mierząc Ciepiał wzrokiem – trochę sucho)

Radziłbym panu Marienbad.

CIEPIEL

(żałosny)

Panie dobrodzijku! Żeby to człowiek miał czas i że tak powiem, środeczki...

STARSZY PAN

Otóż to. *(Po chwili)* Proszę pana... Ja nie przychodzę jako klient, ale w sprawie... osobistej.

CIEPIEL

(siadając przy stole – twarzą do publiczności – nieco zawiedziony)

Rączka rączkę myje – nie samym chlebusem człowiek żyje... *(biorąc gazetę i zaczynając się wachlować)*. Służę.

STARSZY PAN

Bardzo pan uprzejmy. *(Po chwili)* Otóż, proszę pana... podobno pan podnajmuje mieszkania.

CIEPIEL

To resort mojej żony, panie dobrodziejku. Czyś ciężkie... zastój w interesie... Cóż robić.

STARSZY PAN

Właśnie. *(Po chwili)* A czy wśród pańskich lokatorów nie ma przypadkiem niejakiego Franciszka... Franciszka... Nazwisko zapomniałem.

CIEPIEL

(nagle skupiony, przestając się wachlować)

Pan dobrodziej... urzędowo?

STARSZY PAN

Dlaczego?

CIEPIEL

Bo to żadne lokatory, panie dobrodziejku. To sama, że tak powiem, „prostota”. Pokój bez światła – wejście przez *(wskazując prawe drzwi)* pracownię albo od podwórza – schody, nogi łamać... więc któż by w takiej norze wymieszkał i któż by się o takich lokatorów pytał. Egzekutor podatkowy albo, za przeproszeniem, z policji. Ale człowiek, że tak powiem, przyzwyczajony... Nie, panie dobrodziejku. Tutaj pan dobrodziej stosownego Franciszka nie znajdzie. Podano panu zły adres. Chyba, że pan dobrodziej należy do Arcybractwa Miłosierdzia.

STARSZY PAN

Właśnie. Do Arcybractwa Miłosierdzia.

CIEPIEL

(z pokłonem)

Aaa... w takim razie szacuneczek. W takim razie mamy Franciszków aż dwóch. Jeden ślusarz... Jakże mu! *(Zwracając się z trudem w stronę szaf)* Matka! *(cisza)*.

Matka!

(Cisza).

Ki diabli! Przecie dopiero co była...

STARSZY PAN

Mniejsza o ślusarza, panie Ciepeli. A drugi?

CIEPIEL

A drugi?... Kiedy i jego nazwiska nie pamiętam, chociaż już będzie z miesiąc, jak uczy naszego chłopaka...

STARSZY PAN

Jak to... „uczy”.

CIEPIEL

A uczy, panie dobrodziejku. Bo to „akademik”. Oni wszyscy są dzisiaj „akademikami”, choć nie mają co do gęby włożyć. „Zdobycze społeczne!” – „Postęp!”

STARSZY PAN

No a... trzeciego Franciszka nie ma?

CIEPIEL

Nie, panie dobrodziejku. Trzeciego nie ma.

STARSZY PAN

Na pewno?

CIEPIEL

Na pewno. – Jest ich całej parady sztuk sześć.

STARSZY PAN

W tej, jak się pan wyraził, norze?

CIEPIEL

A jakże, panie dobrodziejku. – Sodoma i Gomora! – Na kupie to śpi, na kupie to zbereżeństwa wyprawia...

(wachluje się).

STARSZY PAN

Co pan powiada!

CIEPIEL

Szkandał. *(Pochylając się w stronę Starszego Pana, poufnie)* Mają tam dwie dziewczyny. Jedna podaje się za „mężatkę”. Wiadomo. Spacerok po Plantach – łóżko – i po ślubie! – Panie dobrodziejku! *(Bijąc się w piersi)* Jak Boga mego najszczerzej kocham, wchodzę – światło jeszcze nie zgaszone – ci rzną w karty – ten, jak zawsze, nad książkami – a ta bezwstydnica, z tym niby mężem, pod kołdrą! – Że to niby nóg nie czują! *(Pukając się palcem w czoło)* Po ośmiu godzinach roboty „nóg nie czują”!

STARSZY PAN

Co pan powiada!

CIEPIEL5

I gdyby to był wyjątek. Ale nie! To reguła, panie dobrodziejku! Zanim która od ziemi odrośnie, już, za przeproszeniem, skończona... Nie chcę obrażać pańskich uszów *(wachluje się)*.

STARSZY PAN

A ona... też taka... skończona?

CIEPIEL

Jaka „ona”?

STARSZY PAN

Ta... druga.

CIEPIEL

Eeee... ta druga, panie dobrodziejku, ma starszego brata, który ją trzyma (*potrzęsając pięścią*) o tak! I dobrze robi, bo mówiąc między nami (*przykładając palce da ust*), paluszki lizać, panie dobrodziejku. Paluszki lizać.

STARSZY PAN

(*podniecony*)

Zaraz. Powiedział pan „starszego brata”. Jak temu bratu na imię?

CIEPIEL

Franciszek, panie dobrodziejku.

STARSZY PAN

Ślusarz?

CIEPIEL

Ślusarz, to tamten Franciszek, panie dobrodziejku. Ten zaś pracuje przy murarzach.

STARSZY PAN

W takim razie macie trzech Franciszków. Ślusarza, akademika...

CIEPIEL

Ależ nie, panie dobrodziejku. Akademik i ten od murarzy, to jedno i to samo.

STARSZY PAN

Co pan powiada!

CIEPIEL

Ano właśnie, panie dobrodziejku. Zachciało się, że tak powiem, winogron, a nie stać nawet na rzepe.

STARSZY PAN

(*bardzo podniecony*)

A jaki to rodzaj człowieka?

CIEPIEL

liiii!... do niczego. Moja żona coś sobie w nim upatrzyła, ale do niczego. Do niczego.

STARSZY PAN

Mógłbym się z nim... rozmówić?

CIEPIEL

Czemu nie, panie dobrodziejku. Przed chwilą wrócił z murarki, a teraz lekcję odrabia (*wskazał na prawe drzwi*).

STARSZY PAN

A mógłby go pan tu... sprowadzić?

CIEPIEL

Ależ owszem, panie dobrodziejku. Owszem. *(Z trudem zwracając się ku prawym drzwiom)*
Panie Franiu! Panie Franiu!

FRANEK

(stając w drzwiach)
Słucham.

CIEPIEL

(wskazując Starszego Pana)
Wołają tu pana.

FRANEK

(zmieszany, starając się zakryć wyłogiem marynarki gołe piersi)
Przepraszam... nie jestem ubrany...

CIEPIEL

(wachlując się)

O pańskie garnitury nie chodzi.

STARSZY PAN

(który nie spuszczał oka z Franka, wskazując laską krzesło)
Niech pan siada.

FRANEK

(wciąż zgarniając marynarkę na piersiach, stając przed Starszym Panem i kłaniając się ukłoniem ludzi wstydzających się siebie)

Szywała Franciszek.

STARSZY PAN

(jak wyżej)

Niech pan siada.

FRANEK

(siadając na rożku krzesła – naprzeciw Starszego Pana)

Słucham.

(Trio wzrokowe. Starszy Pan stara się tym wspomnieniowym, wyblakłym wzrokiem przejrzeć Franka – Franek, wciąż dłuźbiąc koło wyłogów marynarki, rzuca prawie wystraszonym wzrokiem w stronę Starszego Pana – Ciepiał zaś z obojętnością, właściwą tłuściochom, patrzy to na Starszego Pana, to na Franka, i wachluje się gazetą).

STARSZY PAN

(widocznie krępowany obecnością Ciepiała) No więc... (chrząka).

CIEPIEL

(widząc, że rozmowa nie rusza z miejsca)

Może przeszkadzam. I tak mam posiedzenie w Związku...

STARSZY PAN

Gdyby pan był tak dobry pozostawić nas samych...

CIEPIEL

(z trudem powstając)

Ależ najchętniej, panie dobrodziejku *(zdejmując z wieszadła czarny „melonik”)*. Proszę być jak w domeczku. *(Kłaniając się melonikiem)* Całuję serduszko. Adie.

STARSZY PAN

Bardzo pan uprzejmy.

CIEPIEL

(tocząc się ku lewym drzwiom)

Mucha, panie dobrodziejku. Mucha. *(Wychodzi – zatrząsk przytka głośno).*
(Pauza).

STARSZY PAN

(powoli wyjmując z kieszeni złotą papierośnicę, otwiera ją, wreszcie częstując Franka papierosem)

Pali pan?

FRANEK

(z nieśmiałym półukłonem)

Dziękuję. Nie palę.

STARSZY PAN

(zamyka papierośnicę i kładzie ją na stole.)

(Po chwili) Panie... przepraszam, bo nie dosłyszałem.

FRANEK

(jak wyżej)

Szywała Franciszek.

STARSZY PAN

Panie Szywała. O ile mi wiadomo, pan studiuje...

FRANEK

(prawie gorączkowo)

Nic nie studiuje, proszę szanownego pana. Noszę cegły.

STARSZY PAN

Wiem, że pan nosi cegły, ale przed chwilą mówił mi pan Ciepiał...

FRANEK

(bardzo nerwowo)

Pan Ciepiał wszystko miesza. Ukończyłem... parę klas gimnazjalnych... pokazało się, że nie mam zdolności... więc noszę cegły i będę nosił cegły przez całe życie. Zarobek... stosunkowo ciężki, ale... dobry.

STARSZY PAN

Mhm. – *(Po chwili baczego wpatrywania się we Franka)* Bo ja byłem przekonany, że pan...
(Po chwili) A czy pan nie miałby zamiaru powrócić...

FRANEK

(szybko)

Nie, proszę pana.

STARSZY PAN

Dlaczego?

FRANEK

Dlatego, że jestem przeciwnikiem wszelkich powrotów i że jestem zadowolony z mojego obecnego losu...

STARSZY PAN

Dziwny los. Z pańską umysłowością...

FRANEK

Pozorna.

STARSZY PAN

Wybacz pan, jednakowoż... trudno mi uwierzyć... Chociażby ta nerwowość, z jaką pan odtrąca każdą wzmiankę...

FRANEK

Po prostu zmęczenie. Pod wieczór jesteśmy zawsze wyczerpani.

STARSZY PAN

Mhm. – *(po chwili)* Pan mieszka tutaj?

FRANEK

Tak jest.

STARSZY PAN

W takim wspólnym pokoju na sześć osób.

FRANEK

Tak jest.

STARSZY PAN

I to panu... również nie cięży?

FRANEK

Kwestia przyzwyczajenia.

STARSZY PAN

Pomimo głośnych rozmów może pan... nad książkami...

FRANEK

Czytuję sobie.

STARSZY PAN

Beletrystykę? –

FRANEK

Przeważnie beletrystykę. –

STARSZY PAN

Mhm. – *(po chwili)* No a... Mam siwe włosy... mógłbym być pańskim ojcem... No a ten... lekki strój. – Upał?

FRANEK

Po części upał, a po części... skoro to pana tak interesuje... Do roboty kładziemy byle co. Najchętniej pracowalibyśmy nago.

STARSZY PAN

Mhm. – *(Po chwili)* Bo, widzi pan... przypadek zdarzył, że dowiedziałem się o panu...

FRANEK

Od kogo, jeżeli wolno zapytać?

STARSZY PAN

Właściwie od nikogo. Zbieg okoliczności.

FRANEK

Byłbym niezmiernie ciekawy poznać...

STARSZY PAN

Pozwoli pan, że na razie wstrzymam się od bliższych wyjaśnień.

FRANEK

Proszę bardzo.

(Pauza).

STARSZY PAN

Ile pan ma lat?

FRANEK

Dwadzieścia sześć.

STARSZY PAN

Służył pan w wojsku?

FRANEK

Nie służyłem.

STARSZY PAN

Czemu?

FRANEK

Bo mnie nie wzięli.

STARSZY PAN

I pan twierdzi, że panu wolno bezkarnie dźwigać po sto sześćdziesiąt kilogramów na raz, przez ośm godzin dziennie?

FRANEK

To zupełnie co innego.

STARSZY PAN

Nie, panie Szywała. To zupełnie to samo. Jest pan... mizerny... Za miesiąc, dwa stanie pan wobec sytuacji bez wyjścia...

FRANEK

(machając ręką, bardzo nerwowo)

Och!...

STARSZY PAN

Co pan powiedział?

FRANEK

(zmieszany)

Nic.

STARSZY PAN

Przeciwnie. Bardzo wiele.

FRANEK

Myli się pan.

STARSZY PAN

Nie, panie Szywała. Nie myślę się. W pańskim wieku takie „och!” ma jedno jedyne znaczenie. Pan już dzisiaj dobywa resztek sił.

FRANEK

A choćby.

STARSZY PAN

Tak pan sądzi?

FRANEK

Tak sędzę.

STARSZY PAN

No a wtedy... cóż wtedy z pańską... siostrą?

FRANEK

(szybko spoglądając na Starszego Pana)

Z moją siostrą?

STARSZY PAN

(kryjąc zmieszanie)

Przecież... o ile mi wiadomo – przynajmniej zdaniem pana Ciepela – jej wyjątkowa uroda... w braku środków do życia i odpowiedniej dyrektywy może ją narazić...

FRANEK

(który nagle zrozumiał, przerywając)

Przepraszam pana. Czy to pan dzisiaj na ulicy Świętego Jana...

STARSZY PAN

(który niespokojnie spojrzał na Franka, z cudowną prostotą)

Ja.

FRANEK

Proszę. Niech pan mówi dalej.

STARSZY PAN

Przepraszam pana. Prawdopodobnie miał pan relacje...

FRANEK

Nie nie nie. Proszę mówić dalej.

STARSZY PAN

Bo jakiś młody człowiek...

FRANEK

Wiem, wiem. Ale to nie należy do rzeczy.

STARSZY PAN

Panie Szywała. W dzisiejszych czasach nawet najczystsze zamiary...

FRANEK

Oczywiście. Oczywiście. Słucham pana.

STARSZY PAN

Pan mi nie ufa.

FRANEK

Przeciwnie. Każde pańskie słowo potrafię należycie ocenić.

STARSZY PAN

Kiedy ja czuję, że pan mi nie ufa.

FRANEK

Wobec tego nie mam sposobu...

STARSZY PAN

A właśnie chciałem zrobić panu pewną... propozycję.

FRANEK

Na przykład?

Zeby pan... zamieszkał...

STARSZY PAN

...u pana?

FRANEK
(*przerywając*)

Tak jest – i aż do ukończenia studiów...

STARSZY PAN

...korzystał z pańskiej pomocy.

FRANEK
(*jak wyżej*)

Tak jest.

STARSZY PAN

A wtedy... cóż wtedy z moją... siostrą?

FRANEK
(*prawie cedząc słowa*)

Przecież samo się przez się rozumie...

STARSZY PAN

Że co?

FRANEK
(*bardzo sucho*)

Ze skoro pan...

STARSZY PAN

...to i ona.

FRANEK
(*jak wyżej*)

Oczywiście. Inaczej byłoby...

STARSZY PAN
(*coraz bardziej zmieszany*)

(*wciąż kończąc za Starszego Pana*)
...bezczelowe.

Dlaczego?

STARSZY PAN
(*jak wyżej*)

Dlatego, że jej „wyjątkowa uroda” w braku środków do życia i odpowiedniej „dyrektywy” poszłaby z całą pewnością na marne.

Toteż otrzyma pierwszorzędne wychowanie... zapewnię jej karierę...

STARSZY PAN

FRANEK
(*przerywając*)

Kokoty?

STARSZY PAN
Widzi pan, jak mnie pan fałszywie sądzi. Miałem na myśli karierę... artystyczną.

FRANEK
„Artystyczną”. Dobrze. Godzę się na wszystkie punkty z wyjątkiem jednego.

STARSZY PAN
A mianowicie?

FRANEK
Zamieszkać u pana, ale – sam.

STARSZY PAN
Przecież niemożliwe, żebyśmy takie prawie dziecko...

FRANEK
Dla takich „prawie dzieci” są pensjonaty prywatne, zakłady wychowawcze, klasztory...

STARSZY PAN
Panie Szywała...

FRANEK
(*ciągnąc dalej*)
...więc dam panu doskonałą radę. Wybierzemy razem odpowiedni zakład – zapłaci pan z góry za rok – po roku zobaczymy, czy warto kształcić ją dalej, czy nie – Jeżeli okaże się, że warto, to pan znowu zapłaci z góry za rok – i tak w kółeczko aż do skutku – a potem? Potem już sama obierze sobie „karierę”, ale taką, która „jej” najbardziej przypadnie do smaku. Zgoda?

STARSZY PAN
Panie Szywała...

FRANEK
Aha! I jeszcze jedno. Zobowiąże się pan nie widywać jej nigdzie indziej, jak tylko w danym zakładzie, albo... we trójkę. Zgoda?

STARSZY PAN
Nie mogę powiedzieć, żeby się pan zbyt liczył z moją osobą.

FRANEK
W tym wypadku pańska osoba odgrywa podrzędną rolę.

STARSZY PAN
Mówi pan językiem młodości. A język młodości jest przerażająco bezwzględny.

FRANEK

(twardo)

Dbam o dobre imię małoletniej i, jak pan Ciepiał zauważył raczył, „wyjątkowo urodziwej” siostry.

STARSZY PAN

Ma pan słusność. Jednak... *(Nagle roztrzęsiony)* Panie! Pan nie wie! Pan nie może wiedzieć, czym jest samotność starszego człowieka. Panie. Ja sam własnym oczom nie wierzę. Ja? tutaj? z panem?... Ja, który mógłbym wszędzie... a ja tutaj, z panem... *(po wyjęciu chustki do nosa i dyskretnym obtarciu czoła)* Bo niech pan zechce zrozumieć. Bywają wypadki... że kto przez całe życie nigdy naprawdę nie ten... to z wiekiem... nagle... ni stąd ni zowąd... i to właśnie, żeby jak najprościej... jak najdalej od tych rozmaitych... *(Po złapaniu oddechu)* Ja mam środki! Ja mam stosunki! Ja mogę bez najmniejszej trudności...

FRANEK

(przez zęby, przerywając)

A ja i tak mojej siostry nie sprzedam.

STARSZY PAN

Panie. Niech się pan zastanowi. Tutaj o żadną sprzedaż nie chodzi. Jeżeli pan sobie życzy, jeżeli pan wymaga... gotów jestem... gotów jestem nawet za... zaadoptować.

FRANEK

A ja i tak mojej siostry nie sprzedam! Albo małżeństwo, albo nic!

STARSZY PAN

Panie. Niech się pan zastanowi. „Małżeństwo”. Gdybym przez jedną sekundę... Co mówię! przez ćwierć sekundy mógł się ludzić, że wzbudzę w niej, choćby z litości poczęte uczucie – na pewno wydam się panu śmieszny, nawet tragicznie, obrzydliwie śmieszny – to dzisiaj – słyszy pan? dzisiaj, pomimo moich sześćdziesięciu ośmiu lat, pomimo różnicy klasowej, obyczajowej, pojęciowej... Ale nie mogę się ludzić! Nie mogę! – Byłbym jej kulą u nogi! Byłbym robakiem po dwakroć toczącym jej sumienie! Zamiast zostawić jej... wolną rękę, pchnąłbym ją – za pańską zgodą! za pańską poradą! – do krzywoprzysięstwa! Do zbrodni z premedytacją! – A potem wiarołomstwo! Tak jest, wiarołomstwo! – Widziałem go! Mnie czy nie myłą! – On i ja! – Słyszysz pan, panie Szywała? Ona, on i ja? Po miesiącu, panie!... Po tygodniu! W dzień ślubu! Przed ślubem!! – A tak?... dla mnie lepiej... dla niej lepiej... rok... dwa lata... przecie stoję nad grobem... przecie oni są tak okropnie... tak bezczelnie młodzi... i wyzwolenie... zapomnienie... dostatek...

FRANEK

(który mienił się na twarzy, zrywając się i waląc pięścią w stół – z przerażeniem w oczach)
Niech pan nie kusi!!!... *(po chwili ciężkiego dyszenia opada na krzesło – przeciera ręką czoło, wreszcie zdławionym prawie szeptem)* Przepraszam pana. Uniosłem się.

STARSZY PAN

(z głową opartą o plecy fotelu, z zamkniętymi oczami – bardzo cicho)

To ja pana najmocniej przepraszam.

(Pauza).

FRANEK
(*głucho*)

Wreszcie... jest zaręczona.

STARSZY PAN
(*bez ruchu*)

Przypuszczałem.

FRANEK
(*wciąż głucho*)

Już nie należy do mnie. – Niech pan pomówi z nią i jej narzeczonym. – Niech sami rozsądzą. – Niech sami wybiorą. – W naszych warunkach nigdy nie wiadomo, co gorsze. – Jedno wielkie świństwo, a potem czyste wody czy ciągle szamotanie się w błocie. (*Z wybuchem w głosie – zrywając się*) Bo nędza to błoto, panie! – Lepkie błoto!! (*Opadając na krzesło, głucho*) W końcu... może zabraknąć sił. (*Po chwili*) Niech sami wybiorą.

STARSZY PAN

Zróbmy inaczej. – Współczuję z panem szczerze, więc proszę, ażeby w zamian i pan zechciał współczuć ze mną. – Nie ja z nimi pomówię, ale pan.

FRANEK

(*z łokciem na stole, z głową opartą na ręku, ze wzrokiem wlepionym w stół – głucho*)
Wykluczone.

STARSZY PAN

Panie Szywała. Nie ja z nimi pomówię, ale pan. (*Po chwili*) I doda pan, że oprócz pańskiej siostry zajmę się również i panem...

FRANEK
(*żywo*)

Mną nie!

STARSZY PAN

Więc panem nie – że od razu zapewnię przyszłość jej narzeczonemu – że będę im ojcem...

FRANEK
(*bez ruchu, znowu głucho*)

W pańskie ojcostwo nie uwierzą.

STARSZY PAN

Więc nie ojcem, lecz opiekunem – a że po mojej, prawdopodobnie rychłej śmierci otrzymają bardzo znaczny – podkreślam „bardzo znaczny” – spadek.

FRANEK
(*bez ruchu, milczy*).

STARSZY PAN

Zrobi to pan?

FRANEK
(*jak wyżej*).

Panie Szywała. Zrobi to pan?
STARSZY PAN
(*Długa pauza*).

FRANEK
(*bardzo głucho a bez ruchu*) Zrobię. (*Po chwili nerwowo*) Oczywiście tylko dlatego, bo mam nadzieję... chciałem powiedzieć „pewność”, że pańskiej propozycji nie przyjmą.

STARSZY PAN
Ale mimo to mogę liczyć na pana.

FRANEK
(*milczy*).

STARSZY PAN
(*powstając*)
Panie Szywała. Mimo to mogę liczyć na pana?

FRANEK
(*szorstko*)

Już raz odpowiedziałem.

STARSZY PAN
(*wyciągając rękę*)
Ręka?

FRANEK
(*nie zmieniając pozy*)

Bez ręki.

STARSZY PAN
(*biorąc kapelusz*)
Dobrze. – Po odpowiedź przyjdę jutro, mniej więcej o tej samej godzinie.

FRANEK
(*głucho*)

Dobrze.

STARSZY PAN
(*kiwając głową*)
Do widzenia (*wychodzi*).

FRANEK
(*bez ruchu. Po chwili bardzo wolno zaczyna badać swoje ubranie. Bada jeden łokieć, drugi łokieć, podartą podszewkę, łąkę na kolanie, podarty trzewik – przez chwilę duma z głową opartą na rękę – wciąż powolnym ruchem bierze pozostawioną przez Starszego Pana papierosnicę – zamyka ją – ogląda na wszystkie strony – zaczyna ważyć w dłoni – wreszcie wzdyga się, odrzuca ją na stół i zapada w rodzaj kataleptycznej, tragicznej apatii*).

GŁOS CIEPIELOWEJ
(z sypialni bardzo słodki)

Co pan Franiu tam robi?

FRANEK
(tępo)

Nic.

CIEPIELOWA

(barwnie wyszlafrokowana – pantofle, gołe nogi – zjawiając się w wejściu do sypialni)
Ale, panie Franiu... prawda, że chociażby tę świńską propozycję przyjęli...
Nie przyjmą.

FRANEK
(jak wyżej)

CIEPIELOWA
(z niepokojem)

No, ale gdyby przyjęli... to pan Franiu – bo przecież pan Franiu wyraźnie mu powiedział, że co do pana Frania nie ma mowy – to pan Franiu za nimi by... nie poszedł.

FRANEK
(jak wyżej, ale nieco twardziej)

Nie przyjmą.

CIEPIELOWA
(podchodząc do Franka)

Odstąpiłoby się na noc pracownię, żeby pan Franiu miał spokój do nauki... Wstawiłoby się łóżko, stolik, osobną szafkę na książki... (Po chwili) Bo że pan Franiu wołał o tej nauce przed obcym... Ale przede mną?... Co dzień patrzę... Zależy od pana, panie Franiu. – Trzeba tylko chcieć. – Tyle razy próbowałam... delikatnie... (Po chwili) Wszystko zależy od pana, panie Franiu. – Trzeba tylko chcieć. –

FRANEK
(jak wyżej, ale jeszcze twardziej)

Powtarzam pani, nie przyjmą.

CIEPIELOWA

A szamotanie się w błocie, panie Franiu?...

FRANEK

To się tak gada.

CIEPIELOWA

O nie! To się tak nie „gada”. To się tak „dzieje”. – Pan Franiu w oczach niknie. A pana Frania szkoda. Pan Franiu taki wykształcony, taki szczuplutki, taki... inny...

FRANEK
(z wyczerpaniem wstając)

Już pójdę.

CIEPIELOWA

(żywo)

Jeszcze chwileczkę, panie Franiu. Jeszcze chwileczkę.

FRANEK

Po co?

CIEPIELOWA

Mnie i tak tego starego było żal. Kiedy zaczął mówić o samotności...

FRANEK

(sucho)

Łgał.

CIEPIELOWA

Nie, panie Franiu. Nie łgał. Każdy człowiek musi mieć kogoś...

FRANEK

(twardo)

Toteż i ma. Podśłucha, wyszpiguje – i ma!

CIEPIELOWA

Leżałam chora, panie Franiu.

FRANEK

(Z rosnącym rozdrażnieniem) Nawet cichuteńko chora. Słyszała pani każde zdanie, każde słowo... Może pani od razu ruszać do ataku... tym bardziej, że pozostawił na stole *(potrzęsając przed nosem Ciepielowej papierośnicą Starszego Pana)* lusterko, w którym się przejrzałem *(odrzucając papierośnicę)* i zobaczyłem... *(Gorączkowo odsłaniając piersi)* O! Proszę! Piersi zupełnie nagie! *(Zapinając marynarkę)* Tylko się zamierzyć i palnąć!

CIEPIELOWA

(która łakomie łypnęła na Franka)

Pan Franiu jest roznerwowany.

FRANEK

(u szczytu rozdrażnienia)

Rozleziony! Rozdeptany! Za mną cegły, przede mną chyba prosektorium... *(Zmieniając ton)* Więc panią Ciepielową pożegnam.

CIEPIELOWA

(gwałtownie)

Dzisiaj mię pan nie pożegna! Dzisiaj mię pan Franiu nie pożegna! *(Groźnie)* Bo jeżeli mię pan Franiu i dzisiaj pożegna, to...

FRANEK

(ostro)

To co!

CIEPIELOWA
(składając ręce, błagalnie)

Panie Franiu!

FRANEK
(jak wyżej)

I tak o nas plotkują.

CIEPIELOWA
(rzucając się do kolan Franka)

Panie Franiu!

FRANEK
(podnosząc Ciepielową i sadzając ją na fotelu)

Zwariowała pani?

CIEPIELOWA
(bolesliwa)

Ja dłużej z Ciepielem nie wytrzymam.

FRANEK
(brutalnie)

Moja wina?

CIEPIELOWA

On gorszy od cegieł, panie Franiu.

FRANEK

Nie ciągnąłem pani do ołtarza.

CIEPIELOWA
(ze skargą w głosie)

Ale pan tutaj zamieszkał.

FRANEK
(gwałtownie)

Dla pani?! Nie dla pani! – Z biedy! Z musu!

CIEPIELOWA

Ale pan tutaj zamieszkał! – I od czasu, jak pan zamieszkał, obrzydził mi pan wszystko! – Ten fotel, bo na nim siada! To lustro, bo się przed nim goli! Tę lampę, bo go oświetla! Nawet ten święty obraz, bo się przed nim modli! – I zdrowie mi pan zmarnował. A tak! zmarnował! Nie ma dnia, żeby mi głowa nie pękała! – Z początku latałam po doktorach. Osły jedne! *(Udając lekarza)* „Unikać mięsa – dużo jarzyn – dużo mleka – dużo masła”... Osły jedne! Myślałam, że wszystko może iść po masle! – Niech spróbują! Niech tutaj przyślą swoje żony! A potem niech spytają, co niezdrowsze! Kupa mięsa na talerzu, czy kupa mięsa...

FRANEK

Pani nie wie, co pani wygaduje!

CIEPIELOWA

(z rzewnością w głosie)

Wiem, panie Franiu. Wiem. Od pierwszej chwili wiedziałam! Pan taki wykształcony! Taki szczuplutki! Taki inny! – Przy panu człowiek się odmienia. Jakoś mięknie, dobrze... *(Znów rozżerając się)* A przy nim? – Panie Franiu! Przy nim – jak na spowiedzi wyznaję – czasem bierze mię ochota pójść na ulicę, udać, że jestem rogówką, zaczepić pierwszego z brzegu przechodnia... byle chociaż przez parę godzin oglądać ludzką twarz i słyszeć ludzką mowę bez tych „całowań serduszka”, bez tych „paniedobrodzijków”, bez tego przekłętogo chrypu!... Ja przecie jestem jeszcze młoda! Trzydzieści jeden lat! A pan ma przecie oczy! Niechże pan popatrzy. Czym to gorsza od innych? Czy wymagam od pana cudów? – Czy to wy zawsze dbacie o te, z którymiście żyli i żyjecie? – Wystarcza wam ciało płatnych dziewcząt, niechże wam przynajmniej raz wystarczy, że jesteście za darmo... kochani!

FRANEK

(który słuchał z rękami w kieszeniach i z rosnącą zgrozą patrzył w Ciepielową – zupełnie ordynarnie) Pani jest obrzydliwa! Pani jest obrzydliwsza od tego starego dziada! I to właśnie z tej prostej przyczyny, że pani jest jeszcze... młoda! *(idzie ku prawym drzwiom)*.

CIEPIELOWA

(którą zatknęło, rzucając się ku prawym drzwiom krzyczy)

Nie pójdzie pan!! *(Zamykając drzwi na klucz i wyjmując klucz z zamku)* Ani tędy... *(Rzucając się ku lewym drzwiom i zachowując się jak przy prawych)* Ani tędy!! *(Wpada do sypialni, rzuca oba klucze na komodę, po czym wolnym krokiem podchodząc do Franka i z jadowitą słodyczą cedząc słowa)* Co to pan Franiu powiedział?

FRANEK

(który stanął jak wryty i czarnym wzrokiem wodził za Ciepielową – przez zęby)

To, com powiedział.

CIEPIELOWA

(jak wyżej, siadając przy stole)

A czemu to pan Franiu powiedział?

FRANEK

Bo płatnym chłopem nie będę.

CIEPIELOWA

Niech się pan Franiu liczy ze słowami.

FRANEK

(zdławionym przez pasję głosem)

Nie będę! – Odstąpiłoby się na noc pracownię. Prawda? – Wstawiłoby się łóżko, stolik i osobną szafkę na książki. Prawda? – I byłbym pod ręką. I wystarczyłoby gwizdnąć jak na dziewczkę. Prawda?!

CIEPIELOWA

Powtarzam panu Franiowi, niech się pan Franiu liczy ze słowami!

FRANEK

(z wybuchem)

To niech się pani liczy ze mną!! Podchodzi mię pani od miesiąca! A pani wie, pani dobrze wie, jak łatwo zrobić bydlę z głodnego człowieka, jeżeli w odpowiedniej chwili podsunie mu się byle ochłap, a cóż dopiero miskę świeżego, pachnącego żarcia!

CIEPIELOWA

A wiem, panie Franiu. Nie tylko dobrze, ale nawet doskonale wiem, że od stolika i osobnej szafki na książki daleko lepiej pachnie... stręczycielstwo!

FRANEK

(z zaciśniętymi pięściami ryczy)

Milczeć!!!

CIEPIELOWA

(która szybko powstała i podparła się pod boki – wyzywająco)

Ho, ho, ho! Jak się pan Franiu stawia! I pan Franiu ma czelność rozpowiadać mi tutaj, że oni tej świńskiej propozycji nie przyjmą?

FRANEK

(dygocąc na całym ciele i coraz gwałtowniej zaciskając pięści – zdławionym głosem)

Milczeć!

CIEPIELOWA

Przyjmą! A pan Franiu przyjmie od nich! Pan Franiu przecie za „szlachetny”! Z rączki do rączki byłoby dla pana Frania za mało szykowne!

FRANEK

(już bez głosu z pasji)

Milczeć!...

CIEPIELOWA

Tak, tak, panie Franiu! Oni przyjmą i pan Franiu przyjmie! – Inaczej nie zapomniałby pan Franiu, że za takie rzeczy wylatuje się na bruk! Z łachami! Z książkami! Z Zoškami! – I nie byłabym panu Franiowi „obrzydliwa”! I siedziałby pan Franiu cicho! Ale kto ma szesnastoletnią siostrzyczkę na sprzedaż...

FRANEK

(rzucając się na Ciepielową z podniesionymi pięściami)

Aaaa!!!!

CIEPIELOWA

(z istic kocią zręcznością owijając się około Franka i tuląc twarz do jego piersi)

Bij! – Bij Franuś! – Bij!

FRANEK

(któremu opadły ręce, który zachwiał się na nogach i wraz z Ciepielową osunął się na fotel – starając się wyzwolić z objęć Ciepielowej – zdławionym głosem)

Puszczaj mię pani!

CIEPIELOWA

(namiętnie tuląc się do Franka)

Nie puszczę! Od ciebie wszystko! Byle przy tobie! Byle z tobą! Franuś! Mój złoty! Mój jedyny! Mój najdroższy! Ukochaj mię choć raz! Choć jeden jedyny raz! A potem niech się dzieje co chce! Rób ze mną, co ci się żywnie podoba! Franuś!

FRANEK

(nagłym ruchem chwytając Ciepielową za oba ramiona i odsuwając ją tak, ażeby móc jej patrzeć prosto w oczy)

Czekaj pani! *(Po chwili niesamowitego wpatrywania się w Ciepielową)* Chce pani... razem... w błoto?...

CIEPIELOWA

(mimo woli zniżając głos i chcąc się przytulić do Franka)

Wszędzie, Franuś! Wszędzie!

FRANEK

(coraz bardziej niesamowity, prawie chrypem)

Czekaj pani! *(Po chwili jak wyżej)* Po same uszy! Na złość!

CIEPIELOWA

(jak wyżej)

Byle przy tobie, Franuś! Byle z tobą!

FRANEK

Czekaj pani! *(Po chwili przez zaciśnięte zęby)* A potem... niech się dzieje, co chce!

CIEPIELOWA

(jak wyżej)

Tak, Franuś! Tak!

FRANEK

(prawie nienawistnie)

Tak?! *(po chwili)* No to... *(Brutalnie obejmując kibić Ciepielowej, zupełnie zdławionym głosem)* Kiedy!

CIEPIELOWA

(prawie szeptem)

Kiedy tylko zażadasz! Śpi jak kamień! Można mu z armat strzelać...
(Dzwonek).

CIEPIELOWA

(zrywając się)

Idzie! *(Ciągnąc Franka za rękę w stronę sypialni)*

Prędko! Do sypialni! Do sypialni!

FRANEK

(który szedł jak pijany i nie spuszczał niesamowitego wzroku z Ciepielowej, znika w sypialni)

CIEPIELOWA

*(poprawia włosy i szlafrok – po czym, zupełnie opanowana, otwiera drzwi).
(Wchodzi Felek).*

FELEK

(ubrany jak w pierwszym akcie, tylko z narzuconą marynarką)
Dobry wieczór pani majstrowa. Znajdzie się tam jakie wolne miejsce dla mnie?

CIEPIELOWA

(siłąc się na naturalność)

Owszem.

FELEK

Zrobione. *(Wyjmując z kieszeni siedem złotych i kładąc je na stole)* Płacę za tydzień i będę już dzisiaj nocował. Zając Feliks, lat dwadzieścia trzy, robotnik. *(Zawraca na pięcie – nagle spostrzegając Franka, który stanął w wejściu do sypialni, włożył obie ręce do kieszeni i z zupełnie nowym, jakimś bezczelnie cynicznym wyrazem twarzy patrzy mu prosto w oczy)* Co ja widzę! Franuś! – Od niej, draniu jeden, prezenty brać potrafisz! Ale mojej szportówki to przyjąć nie chciałeś! Dobrej zabawy! Serwus! *(wychodzi).*

CIEPIELOWA

(spiesznie zamyka za Felkiem drzwi na klucz i z dłonią na kluczu zwraca pytający wzrok w stronę Franka)

FRANEK

(który nie zmienił ani pozy, ani wyrazu twarzy, nagle kiwając na Ciepielową palcem)
Chodź!

ZASŁONA

AKT TRZECI

W NORZE

(Obdrapany pokój. W głębi drzwi, obok których umieszczono rodzaj zydła, na którym stoi stara, obtłuczona miednica. Wzdłuż wszystkich ścian ciągnie się szereg prostych łóżek w następującym porządku: pod lewą ścianą (bokiem do widowni) Frankowe, następnie (wzdłuż ściany) Zośczyne – pod środkową ścianą z lewej małżeństwa Nurków, z prawej Ślusarzowe – pod prawą ścianą w głębi Eleganta, na pierwszym planie Felkowe. – Nad Frankowym łóżkiem nie wisi nic – nad Zośczyńskim i małżeństwa Nurków okrągłe, święte obrazki z kolorowymi kwiatkami pod wypukłym szkłem – nad Ślusarzowym różaniec – nad Felkowym ozdobny, aczkolwiek niezbyt kosztowny krzyżyk – Elegant zaś przyozdobił ścianę sporą fotografią, na której z ciemnego tła wyłania się postać nagiej piękności. Pod łózkami ręczne walizki. W nogach Frankowego łóżka byle jaki stolik, na nim zapalona świeca w butelce, książki, skrypta i fłaszeczka z atramentem. W środku sceny stół otoczony czterema krzesłami. Całość oświetla żarówka wisząca na pleciance i od góry przyozdobiona niby to abażurem z różowej bibuły. W dzień oświetlają norę dwie szybki w drzwiach, przez które obecnie zagląda księżycowa, podwórzowa noc.

FELEK rozebrany do pasa i pochylony nad miednicą myje zawzięcie szyję i piersi.

ELEGANT i ŚLUSARZ grają przy stole w „sześćdziesiąt sześć”. FRANEK, przy stoliku przewraca kartki książki i robi notatki, ale z miną niesamowicie zaciętą i ponurą. Pracę tę co chwila przerywa, jak człowiek nie mogący skupić myśli. MAŁŻEŃSTWO NURKÓW śpi, przykryte jedną kołdrą – ZOŚKA również śpi, od czasu do czasu uśmiechając się przez sen.

ŚLUSARZ

(biorąc lewą, tępo)

Mam dosyć.

ELEGANT

Fenomenalne!

FELEK

(myjąc się)

Któż wygrał.

ELEGANT

Definitywnie znów mój partner.

FELEK

(jak wyżej)

Bo pan gra jak osioł.

ELEGANT

(zwracając się połową ciała w stronę Felka)

Już raz zwracałem panu uwagę na ordynaryjność pańskich manier, niestety jestem zmuszony skonstatować, że moje dotychczasowe zabiegi nie wydały konkretnych rezultatów.

FELEK
(*jak wyżej*)

No bo pan gra jak osioł.

ELEGANT
(*ruszając ramionami, do Ślusarza*)

Penperdiu.

ŚLUSARZ
(*nie reaguje*).

FELEK
(*jak wyżej*)

Bił pan dziesiątkę dupkiem...

ELEGANT

Waletem, łaskawco. Waletem.

FELEK
(*jak wyżej*)

Niech będzie panu walentem – a nawet pan nie wie, że dziesiątka znaczy dziesięć, a duppek dwa.

ELEGANT
(*wyniośle*)

Każdy się może pomylić. „Huminum esterar” – mawiali starożytni Rzymianie.

FELEK
(*jak wyżej*)

Za to pan gada jak hrabia.

ELEGANT

Podróżowało się coś niecoś...

FELEK
(*jak wyżej*)

Chyba na koszt państwowy i z asystą.

ELEGANT
(*mieszając karty – godnie*)

Młody człowieku, przestańmy ze sobą konwersować. (*Do Ślusarza*) Pardon. Pańska tura. Pan wygrał, przeto pan rozdaje. (*podając karty*) Pie.

FELEK
(*obcierając się ręcznikiem i idąc w stronę stołu*)

No, a ja panu pokażę, jaką pan robi fuszerkę.

ŚLUSARZ
(*tępo zmieszał karty i podaje Elegantowi do zebrania*).

ELEGANT
(zgorzony do Felka)

Panie! Toaleta! Damy patrzają!

FELEK
(wciąż obcierając głowę)

Damy śpią. A jak nie śpią, to mogą zamknąć oczy. Zbieraj pan.

ELEGANT
(ruszając ramionami i zbierając karty)

Penperdiu.

ŚLUSARZ
(wciąż niczym nieporuszony rozdał dwa razy po trzy karty, po czym – odkrywając jedną i przykładając ją resztą nie rozdanych kart – bardzo tępo)

Tromf – wino.

ELEGANT
(układając karty w dłoni)

Mówi się: atu piki. (Patrzając w swoje karty) Fiu, fiu, fiu!...

FELEK
(który zarzucił ręcznik na ramię z wielkim przejęciem patrząc w karty Eleganta)

Grajże pan.

ELEGANT

Tylko proszę mię nie denerwować.

FELEK
(zły)

Grajże pan do cholery ciężkiej!

ELEGANT
(który drgnął, biorąc we dwa palce jedną z kart – oczywiście z niezbędnym podniesieniem małego palca w górę)

Zaczynam.

FELEK
(wrywając karty z rąk Eleganta)

Guzik pan zaczyna!

ELEGANT

Przepraszam bardzo...

FELEK

Przeprosi pan potem. (Odwracając wyświęconą kartę – do Ślusarza) Zamykam. Zgłaszam czterdziestkę. Jazda! (Zagrywając i przybijając kartami) Tak! (bierze lewą – zagrywając drugi raz) A tak! (bierze drugą lewą. Zagrywając trzeci raz i czwarty) A tak! A teraz tak! (wziął obie lewy – wreszcie odrzucając karty) Sześćdziesiąt ośm. Wszystkie sztychy. (Do Eleganta, idąc w stronę umywalni) No i nie dureń z pana?

ELEGANT

(który z osłupieniem śledził grę wzburzony)

Ostrzegam, że tracę równowagę!

FELEK

(który kończy się obcierać, pokazując zaciśnięte pięści)

Da się podpórki. Już mię obie swędzą. Na pewno się pan nie wywali.

ELEGANT

(wściekły, potrząsając głową)

Zbyteczne! Kompletnie zbyteczne!

FELEK

Nie drzyj się pan. Odbiłem panu całe piętnaście groszy... Choć i tak byłbyś ich pan nie zapłacił *(zarzuca ręcznik na ramię i bierze miednicę)*.

ELEGANT

(po chwili walki ze strachem – przez zęby)

Bałwan!

FELEK

(z miednicą w dłoniach, pochylając się w stronę Eleganta)

Panie, panie, panie! Co wolno wojewodzie! *(wychodzi)*.

ELEGANT

(dopiero teraz dając folgę pełnemu oburzeniu)

Bałwan!!!

ŚLUSARZ

E!...

ELEGANT

(wzburzony)

Żadne „e”! Tego rodzaju despekt obliuguje szanujących się dżentelmenów do żądania natychmiastowej satysfakcji! I słowo honoru panu daję, że gdyby ten chłystek należał do lepszej sfery, to w dwadzieścia cztery godzin wysłałbym moich sekundantów! Pistolety z muszkami, dziesięć kroków, trzy wymiary kul! *(bohatersko bębni palcami po stole)*.

ŚLUSARZ

E!... *(Po chwili wyciągając rękę)* Rozrachujmy się.

ELEGANT

(z rycerską usłużnością, kładąc trzy palce do kieszonki od kamizelki)

A la minut. *(Wciąż z palcami w kieszonce, nonszalancko)* Byłem panu winien... *(po szukaniu w pamięci)* dwa złote dwadzieścia pięć groszy. Obecnie dochodzi... ośmdziesiąt pięć groszy, czyli razem będę panu winien dwa złote, groszy... siedemdziesiąt. Zgadza się?

ŚLUSARZ

(wstając)

E!... *(idzie w stronę swojego łóżka i po zdjęciu kurtki oraz trzewików kładzie się spać, zwrócony twarzą do ściany)*.

ELEGANT

(dopiero teraz wyjmuję z kieszonki mały scyzoryk i zaczynając z przejęciem czyścić paznokcie – jakby na stronie)

Analfabeta! *(Po chwili podśpiewując z okropnymi wybuchami w głosie)* Trą ta ti... *(po chwili)* trą la ri... *(Po chwili)* trą ti ta... *(Po chwili)* trą ta ti... *(po chwili)* pam pam pim... rum bum bim... *(po chwili)* że mnie koooo...

FELEK

(który wrócił z pustą miednicą i postawił ją na zydłu, zdejmując z ramienia ręcznik i rozwieszając go w nogach łóżka)

Zamiast wyć i grzebać w tych pazurach, lepiej by się pan umył przed nocą.

ELEGANT

(obrażony, godnie)

Nie znamy się.

FELEK

(biorąc z łóżka kolorową koszulę i wciągając ją przez głowę)

Dziękować Bogu. Musiałbym na pewno brać nogi zapas i wyrabiać panu darmowy bilet w komisariacie P. P.

ELEGANT

Za pozwoleniem...

FELEK

(wsuwając dolną część koszuli w spodnie)

Bez pozwolenia. Tylko miałbym kłopot z pańskim nazwiskiem. Wiadome są mi trzy rzeczy: że w pańskim „związku zawodowym” wołają pana „Elegant”, że pan był na utrzymaniu u Czarnej Mańki i że pan po Czarnej Mańce odbył rekolekcje... „zamknięte”.

ELEGANT

Jest pan arogantem, zachowuje się pan skandalicznie, kompromituje pan ten lokal, wskutek czego postaram się o gremialną petycję do pani Ciepelowej, ażeby przeprowadziła natychmiastową eksmisję...

FELEK

(który w czasie tych słów zakasywał po łokcie rękawy od koszuli, jednym susem znajdując się przy Elegancie, chwytając go za kark i rzucając nim jak piłką na łóżko)

Spać!!

(Po tym czynnie najspokojniej klęka przed swoim łóżkiem i stara się mówić pacierz. Ale rozbieganie się Eleganta zanadto go nęci. Toteż skupienia i wybuchy cichego śmiechu przeplatają się na przemian).

ELEGANT

(rzucony na łóżko, zmarł. Po chwili wstając i otrząsając się)

Stosunki!... *(zdejmuje zakiet, kołnierzyk i krawatę przy akompaniamencie wzburzonych „tja”! składa to wszystko na jednym z krzesel – zdejmuje lakierki – stawia je koło łóżka – w spodniach, kamizelce i bajecznie kolorowych, a jednocześnie dziurawych skarpetkach owija się kołdrą i kładzie się zwrócony nosem do ściany).*

FRANEK

(od dłuższej chwili nie spuszcza oka z Felka. Twarz jego zachmurza się coraz bardziej. Wreszcie widząc, że Felek wstał i zabrał się do rozpinania paska – głucho)

Felek?...

FELEK

Czego.

FRANEK

Chodź no tu.

FELEK

(siadając na łóżku Franka)

No?...

FRANEK

Ty się zawsze tak... modlisz... przed nocą?

FELEK

Przeciem nie poganin.

FRANEK

(kręcąc głową z jakąś gorzką ironią) No, no... *(Po chwili)* Ale te modlitwy nie wstrzymują cię od rozmaitych... zbytków.

FELEK

Jakbym nie zbytkował, to bym się nie potrzebował modlić.

FRANEK

Pewno. *(Po chwili)* A zbytkujesz... zdrowo?

FELEK

Cóż to za taka spowiedź.

FRANEK

Mamy być szwagrami... Chciałbym wiedzieć, jak to tam... dalej będzie.

FELEK

Będzie, jak będzie. Dobrze będzie. Co ma być źle.

FRANEK

(po chwili)

Ty ją bardzo... kochasz?

FELEK

O Jezus, Franek, cóż ci się nagle zebrało na takie jakieś głupie...

FRANEK

No, ale powiedz. Bardzo?

FELEK

Dajesz posag?

FRANEK

Bo gdybyś ją bardzo kochał, to właśnie brak posagu wstrzymałby cię...

FELEK

Myślałeś i wymyśliłeś.

FRANEK

Wcale nie. Jest zabiedzona, delikatna...

FELEK

Skrzepcieje.

FRANEK

Narobisz jej kupę dzieci...

FELEK

Jak narobię, to i wyżywię.

FRANEK

Liczysz na twoje bary.

FELEK

A czemu nie mam liczyć. Przynoszą mi piętnaście do dwudziestu złotych dziennie...

FRANEK

Dzisiaj. Ale jutro? Ale pojutrze?... Wystarczy jedno potknięcie... Steranie, choroby, zastój...

FELEK

Kto by ta sobie tym głowę zawracał i co by na tym zyskał? – Przewidzieć nie przewidzi, a i tak zaczynać musi.

FRANEK

Łatwiej zaczynać niż kończyć. Patrz na mnie. W gimnazjum byłem celujący – na uniwersytecie rokowano mi świetną przyszłość – byłem zaręczony z córką nauczyciela z naszej wsi – po doktoracie postanowiłem się habilitować, żeby dać jej pozycję, dobrobyt, „raj na ziemi”... i co!

FELEK

Ty insza inszość, ja msza inszość.

FRANEK

Pewno! Pewno, że insza! Nawet do dziesięciu złotych nie dociągam...

FELEK

Bo pracujemy na akord, a jesteś jeszcze niezwyczajny.

FRANEK

(z wybuchem)

Bo jestem cherlak! Bo za jaki miesiąc będę gotów!

FELEK

Tak się to widzi z początku.

FRANEK

Nie kłam, Felek! Tym bardziej, że kłamać nie umiesz. – Wyprzegam. Ze wszystkim wyprzegam. Tracę nie tylko siły, ale i wolę, i pamięć... *(Po chwili)* Dlatego... jeżeli chcesz mi naprawdę ulżyć, to... bierz sobie Zośkę... od razu!

FELEK

Bez ciebie jej nie wezmę. A zamieszkać u mnie we troje nie chciałeś.

FRANEK

Do czegoż ci jestem potrzebny. Do pomocy?

FELEK

Giez cię użarł?

FRANEK

Czy przed ślubem, czy po ślubie... Skoro się macie pobierać...

FELEK

Ja chcę mieć żonę, nie kochankę.

FRANEK

Przecie by ci jej nie ubyło.

FELEK

Raz jak się ludzie ześwinia...

FRANEK

(z wybuchem)

Pilnuj swego!

FELEK

(który badawczo spojrział na Franka – bardzo wolno)

Franuś?... Po „cudze” nie sięgam.

FRANEK

(kryjąc zmieszanie)

Niby to nie zeświniełeś się nigdy.

FELEK

Ze świniami... może.

FRANEK
(*gwałtownie*)

To po cóżeś się tu sprowadzał!

FELEK
(*jak wyżej*)

Nie po to, Franuś.

FRANEK

No więc po co!

FELEK
(*nagle wstając – ostro*)

Po chrzan! (*siada przy stole i zaczyna kręcić papierosa*).

FRANEK
(*po chwili, zjadliwie*)

Masz okrutnie wyszlifowane sumienie. Okrutnie. Tymczasem nasze sumienia powinny być jak nasze pazury. Chropate, czarne i twarde. Inaczej diabli nas wezmą!

FELEK
(*zalepiając bibułkę*)

Miej ty swoje, a ja swoje.

FRANEK
(*niesamowity, jakby kipiący wewnątrz*)

Dobra rada. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, do jakiego stopnia dobra. Tylko... może cię drogo kosztować.

FELEK
(*zapalając papierosa*)

Niby czemu.

FRANEK
Temu, że trzy tygodnie na zapowiedzi, to kawał czasu, Felek. A ja mam wyszlifowane... plecy! Świecą się jak szkło, a bolą jak cholera! – Więc niech przypadkiem nawinie się jaki... frajer z maścią i niech ją zacznie pchać pod nos, to sama ręka może chwycić. Sama ręka. Jak wtedy ze siekierą... co ci to Zośka... wyjawiała.

FELEK
Co ty pleciesz, Franek?

FRANEK
Nie plotę. – Ostrzegam.

FELEK
Przed kim.

FRANEK
(*uderzając się pięścią w piersi*)

Przede mną!

FELEK
(*nic nie rozumiejąc*)

Przed tobą?

FRANEK
Tak! Przede mną! Podchodzą mnie – podgryzają – kuszą... Już mi się po prostu na rzyganie zbiera... A ty mi tu jeszcze hopki stawiasz!

FELEK
Gadajże jakoś do rzeczy, bo nic wyrozumieć nie mogę.

FRANEK
Tym gorzej dla ciebie.

FELEK
(*zły*)
Co gorzej dla mnie?! Że chcę po Bożemu?! Uczciwie?!

FRANEK
Właśnie! Na ceregiele nas nie stać! I ja chciałem „po Bożemu, uczciwie”! Ale Bóg nie chciał! Franuś!

FELEK
(*z wyrzutem*)

FRANEK
A nie chciał! Matce podsunął Antka! Mnie przywalili cegłami! A potem dał mi takie „wyjścia”, sprowadził mi takie „pogotowia ratunkowe”... (*Stając naprzeciw Felka i pukając palcem w stół*) Tylko że ze mną nie chwyci! Nie podrę dolarów! Nie zwariuje! Przeciwnie! Chce mnie zanurzyć po pas? To ja po same uszy! „Z wolnej a nieprzymuszonej woli”! Na złość!

ELEGANT
Trzeba mieć tylko charakter.

FELEK
(*zrywając się*)
Stul pan mordę!

ELEGANT
(*przywiera nosem do ściany*).

FRANEK
(*zrywając się bezpośrednio po słowach Felka*) Przeciwnie! Gadaj pan, bo pan mądrze gada! Trzeba mieć tylko charakter i półtora centnara krzywd na grzbiecie! (*Siadając i niby to grzebiąc w skryptach*) Ten ciężar grzbietów nie ugina! Ten ciężar grzbiety prostuje!

FELEK
(*który patrzył z osłupieniem na Franka, siadając na swoim łóżku*)
Tyś chyba chory, Franuś.

FRANEK

(zrywając się)

Byłem chory! nawet obłożnie chory! Na głupotę! Ale mnie życie uleczyło! – Myślałem, że jak człowiek już nie może... jak mu się wszystko na łeb wali... i jak wezwany, rozumiesz, Felek? „wezwany” stanie przed drugim – i to jeszcze jakim – człowiekiem, to że ten drugi człowiek albo mu poda rękę, albo też powie mu prosto z mostu: „pan mi się nie podoba, pan mi śmierdzi, pan razi moje oczy, moje uszy, mój delikatny naskórek”... Tymczasem nie! On ci okaże „serce”! On ci obieca złote góry! Ale pod tym warunkiem, że twoje zawzone, przepocone łachmany zgodzisz się nosić nie „na sobie”, lecz „w sobie”.

(W czasie tych słów pobudzili się kolejno wszyscy lokatorowie. Najpierw Zośka otworzyła szeroko oczy i wystraszona nie śmie się ruszyć, ażeby Franek nie zauważył. Po Zośce dźwignęło się kolejno małżeństwo .Nurków. Na ich twarzach maluje się współczucie. Od czasu do czasu to jedno, to drugie potakuje głową, nie rozumiejąc oczywiście nic oprócz tonacji. Po Nurkach dźwignął się ociężałe Ślusarz, Siadł na łóżku i z tępą niechęcią wodzi wzrokiem za Frankiem. Wreszcie, po ostrożnym zbadaniu, że już nikt nie śpi, więc widocznie słuchanie jest dozwolone, dźwignął się Elegant, owinął nogi kołdrą i usiadł na łóżku niezmiernie zaciekawiony „sensacją“).

FELEK

(półgłosem)

Co ci się przydarzyło, Franuś?

FRANEK

Co mi się przydarzyło?! *(Waląc obiema pięściami w stół)* Spodlenie mi się przydarzyło!! Nieuniknione spodlenie!! *(Goniąc po scenie i wskazując kolejno na Eleganta, Ślusarza i Nurków)* On je zna, i on je zna, i oni je znają, i ty je znasz – tylko dotychczas go nie czujesz, boś mu się osobiście nie przedstawił! *(ilustrując nienawistnym gestem)*. Nie szurgnąłeś przed nim nogami – nie siadłeś na samym brzeżku stołka – nie gadałeś z nim w cztery oczy – i nie spostrzegłeś w czasie rozmowy, że twoje ręce są z waty, że twoje nogi są z waty, że stajesz się flakiem, obrzydliwym flakiem... A tutaj jeszcze cegła i jeszcze cegła, i jeszcze cegła... Krzyczysz: „dosyć”! Nieprawda! Wtenczas batogiem przez gębę! „Ho, ho ho! Pan Franiu się stawia! Pan Franiu jest przecie za szlachetny!” – *(Do obecnych)* Słuchajcie! Uważnie mię słuchajcie! Całe życie strawiłem *(chwytnąjąc skrypta i potrząsając nimi z pasją)* nad takimi oto książkami! Orałem jak koń! Dniem! Nocą! Byłe doskoczyć! Byłe postawić na swoim! A teraz patrzcie! *(Zbierając książki ze stolika i trzaskając nimi o podłogę)* Do pieca! Na śmietnisko! Precz! Bo moje nauki skończone! Bo teraz „ja” zacznę nauczać! – Byłem głodny – nie nakarmili! Byłem nagi – nie przyodziali! Byłem bezdomny – w dom nie przyjęli! Byłem honorny – splugawili! – Tak jest, splugawili! Doprowadzili mię do tego, że ja! Słyszycie? „ja” przez chwilę miałem ochotę... Łgarstwo! Nie przez chwilę! Dotąd ją mam! Coraz większą! Coraz gwałtowniejszą! Po prostu w oczach mi rośnie! Jestem gotów z rączki do rączki! Tak, Felek! „z rączki do rączki!” A jeżeli ci się nie spodoba, jeżeli ci się wyda za mało „szykowne”, to zapamiętaj sobie, że w moich żyłach płynie krew „od siekiery”! Że nie będę przebierał w środkach! Że jak mi nie ustąpisz, to potrafię tak cię urządzić, żebyś nie był ani pierwszy, ani ostatni, bo za grube, za bardzo grube pieniądze sprzedam nie tylko siebie, nie tylko ciebie *(wskazując na Zośkę – w zupełnym szale)* ale nawet moją własną...

FELEK

(który słuchał z rosnącą grozą i z widocznym wysiłkiem, ażeby zrozumieć, o co chodzi, i który przy ostatnich Frankowych słowach powstał z łóżka – rzucając się na Franka, chwytając go za oba ramiona i trzęsąc nim jak gruszką)

Franek!! Jeszcze słowo! Jeszcze jedno słowo, a łeb ci, psiakrew, rozwałę!

FRANEK

(osłupiały, na wpół przytomny, trzęsie się jak koń, kiedy w czasie ponoszenia wyrżnie łbem o ścianę)

FELEK

(już przestraszony stanem Franka, potrząsając nim nadal, ale jakby chciał go ocucić)
Franek! *(Po chwili miękko)* No Franuś!

FRANEK

(nie tyle szeptem, ile jakimś okropnym chrypem – wciąż błędny)

Co.

FELEK

(podtrzymując chwiejącego się na nogach Franka i sadzając go przy stole)
Odpocznij sobie. Odsapnij.

ZOŚKA

(która usiadła na łóżku, drżąc na całym ciele, do Felka)

On z tej boleści. Z tej boleści.

ŚLUSARZ

(który przez cały czas tępo słuchał, kładąc się nosem do ściany)

E...

NURKOWA

Może by go tak wodą skropić...

NUREK

Ni ma co. Nasobaczył i wszystko zostanie po staremu. *(kładąc się)* O jednego bujacza więcej.

NURKOWA

(z westchnieniem, kładąc się)

Świecie kochany!...

ELEGANT

(z nogami wciąż owiniętymi w kołdrę dalej nadstawia ucha).

FELEK

(który przez cały czas nie spuszczał oka z Fanka – pochylając się ku niemu – półgłosem)
Ty. To ten ze Świętego Jana?

ELEGANT

(który przez chwilę ciężko dyszał, a potem siedział z miną zbója – ponuro – przez zęby)
Ten.

FELEK

Powiadasz, obiecał złote góry.

Tak. FRANEK
(*jak wyżej*)

Powiadasz, za Zosię. FELEK

Tak. FRANEK

Ja mu się nie dziwię. Ale świnia. FELEK

Tak. FRANEK

No i co, że obiecał. Obiecać każdemu wolno. Ale cóżes ty mu za to obiecał. Namówić ją? FELEK

Was. FRANEK

To on i o mnie wi? FELEK

Tak. FRANEK

Więc niby godził się... na spółkę? FELEK

Tak. FRANEK

Niby i on, i ja? FELEK

Tak. FRANEK

A to świnia. (*Po chwili*) I na tej spółce mielimy we trójkę zarobić. FELEK

Tak. FRANEK

Grube rzeczy. FELEK

FRANEK
W spadku.

FELEK
A za życia z pełnego.

FRANEK
Z pełnego.

FELEK
A to świnia. *(Po chwili)* I jakeś od razu nie przystał, powiedział ci, cholera, że się stawiasz.

FRANEK
Nie on.

FELEK
A kto.

FRANEK
(z lekkim wybuchem w głosie)
Nie on!

FELEK
Aha!... to niby... już?

FRANEK
(milczy).

FELEK
Trzymaj się, Franek... Hycel baba...

FRANEK
(milczy).

FELEK
(siadając obok Franka)
Po cóżeś jej gadał.

FRANEK
Nie gadałem.

FELEK
To skądże wi.

FRANEK
Podśluchała.

FELEK
I tak na poczekaniu z pyskiem?

FRANEK
Na poczekaniu.

FELEK
A ty nic?

FRANEK
Moja sprawa.

FELEK
Aha!... *(Po chwili)* No to może i od niej wyszło, żebym Zosię bez „ceregeli”... „przysposo-
bił”...

FRANEK
Nie od niej.

FELEK
A od kogo?

FRANEK
(milczy).

FELEK
(zrywając się – pochylony w stronę Franka, z przerażeniem)
Franuś!!

FRANEK
(prawie szeptem)
Tak.

FELEK
Aha! *(po chwili wpatrywania się we Franka, prostując się i kładąc ręce do kieszeni – dawnym tonem)* A ten tam kiedy przyjdzie po odpowiedź?

FRANEK
Jutro.

FELEK
Gdzie?

FRANEK
Do Ciepiałów.

FELEK
Jaką porą?

FRANEK
Wieczorem.

FELEK

(z nagłym wybuchem w głosie)

Będzie ją miał!

ELEGANT

Brawo!

FELEK

(zrywając się)

Czemu brawo? Za co brawo?

ELEGANT

(odwijając nogi – wystraszony)

Za pańską ostateczną decyzję...

FELEK

(chwytając żakiet Eleganta)

Zabieraj się pan.

ELEGANT

Ja bym identycznie postąpił...

FELEK

(podając Elegantowi żakiet do włożenia)

Zabieraj się pan, pókim dobry.

ELEGANT

(nie mogąc ze strachu trafić do rękawów)

Noc...

FELEK

Dla pana nie ma nocy. *(Zbierając krawatę i kołnierzyk Eleganta, a potem podnosząc lakierki)* Pan obeznany z nocami. Wytrychem w dzień się nie pracuje. Prędko. Krawatka, kołnierzyk, lakry...

ELEGANT

(odbierając podawane przedmioty)

Muszę to ubrać...

FELEK

(biorąc Eleganta za kark i prowadząc go w stronę drzwi).

Na podwórzu. Na podwórzu.

ELEGANT

(zapierając się nogami)

Za pozwoleniem!... Kapelusz!...

FELEK

(wyrzucając Eleganta za drzwi)

Raz, dwa! Marsz! *(Po zamknięciu drzwi na stronie)* Myślało ścierwo na swój sposób! *(Siadając naprzeciw Franka)* Franuś. A teraz, kiedyś wyrzucił ze siebie... kiedyś się wypowiedział... weźmy na rozum. – Chcieli cię spaskudzić, bo wiedzą, że, mówiąc po naszemu, jesteś do niczego. – No bo jesteś do niczego! Trudno! Może masz głowę, ale głową muru nie przebijesz! – Więc jak cię chcieli spaskudzić, to niech cię odpaskudzą. – Babę się odstawi. Zwyczajnie. A jemu powiem tak: „Panie ładny. Pan jest świnia”. No bo jest świnia! – „Wpadła panu w oko Franusiowa siostra, a moja narzeczona.” – Dobra. – „Widziałeś pan, że Franuś lata bez portek, więc pomyślałeś sobie, że i ja latam bez portek.” – No bo przecie mógł sobie pomyśleć. Czemu nie. Dobra. – „I zacząłeś nam tkać twoje pieniądze pod nos. – Masz ich widocznie za dużo. Mnie twoich pieniędzy nie potrzeba.” – Bo nie potrzeba. – „Ale za to Franusiowi potrzeba na naukę. Więc zrobmy taki interes: albo pan dasz tyle a tyle na wykończenie Franusiowych nauk, albo, za przeproszeniem, dostaniesz pan po pysku, jakieś jeszcze od nikogo nigdy nie dostał.” – I grzecznie, i sprawiedliwie.

FRANEK
(wciąż zbójowaty)

Nie chcę.

FELEK

A to czemu?

FRANEK

Bo nie chcę.

FELEK

Franuś. Jak się złodzieja złapie na złodziejstwie, to wsadza go się do paki.

FRANEK

I tak nie chcę.

FELEK
(zrywając się i waląc pięścią w stół)

Ale ja chcę!!!

FRANEK
(zrywając się – groźny)

Moja sprawa!!

FELEK
(zupełnie groźny)

Twoja?!! A kogo próbowaliście okraść?! A czyją dziewczynę próbowaliście prehandlować?!!

FRANEK
(również groźny)

Felek!!

FELEK

Zośka! *(Pędząc w stronę Zośki, chwytając ją za rękę i wyciągając bosą, przerażoną z łóżka)*
Chodź tu, Zośka!! *(stawiając ją przed Frankiem)* Stawaj przed nim! *(Do Franka)* A ty mów!
Po porządku! Niech słyszy i niech rozsądzi między nami!

ZOŚKA

Ja już słyszała...

FELEK

Nieprawda!

ZOŚKA
(błagalnie)

Ja już wszystko słyszała...

FELEK

Musi być kara!

ZOŚKA

Ja naprawdę wszystko słyszała, Feluś...

FELEK

(pokonany, ale starający się utrzymać w roli niezłomnego)
Wszystko?... *(Siadając na swoim łóżku)* To go poucz, kiedy trzeba mieć twarde sumienie i przed kim trzeba hopki stawiać! *(Po chwili)* Niech wi.

FRANEK

(w obliczu Zośki zmienia się ze zbója w winowajcę. Parę razy robi wrażenie, jakby chciał zacząć mówić, ale nie znajduje słów. Zacina więc usta – wlepia wzrok w stół i milczy, gryząc wargi).

ZOŚKA

(nie wie, co ze sobą począć. Wylamując palce, spogląda lękliwie to na Felka, to na Franka i najwidoczniej zamierza wybuchnąć płaczem).

FELEK

(siedzi na łóżku zły na swoje rosnące wzruszenie – rzuca nieokreślonym wzrokiem na Zośkę, ruszając przy tym ramionami).

ZOSKA

(tuż przed płaczem)

On z tej boleści, Feluś.

FELEK

(poprawiając się na łóżku, przesadnie gburowato)
Akurat. „Z tej boleści”. A patrzy jak zbój. *(Po chwili do Franka)* Zebrałbyś twoje papiery i wziął się do roboty.

FRANEK

(nie zmieniając wyrazu twarzy, zbiera książki i skrypta leżące na podłodze).

ZOŚKA
(pomaga Frankowi, popłakując).

FELEK
(jak wyżej)

Wy to tylko beczeć potraficie. –

ZOŚKA
(szybko ocierając łzy)

Już nie! Już nie!

FELEK
(jeszcze lepiej poprawiając się na łóżku)

Akurat.

FRANEK
(po zebraniu książek składa je na stoliku – przez chwilę stoi głęboko i niewesoło zamyślony – ukradkiem spogląda raz i drugi to na Felka, to na Zośkę, wreszcie machając ręką, jakby na stronie)
Za późno! (rzuca się tak, jak jest, na łóżko, podkłada obie ręce pod głowę i leży na wznak, patrząc i patrząc niesamowitym wzrokiem w jeden punkt sufitu).

FELEK
(który nie spuszcza oka z Franka, do bezradnie stojącej Zośki)
Powiedz mu tam, Zosiu... dobranoc.

ZOŚKA
(stając nad Frankiem nieśmiało)
Dobranoc, Franuś.

FRANEK
(bez ruchu).

Dobranoc, Franuś!

FRANEK
(jak wyżej).

ZOŚKA
Przypomnij sobie... jakieś to... takuśko leżał... kiedy mamusia prosili... cobyś się... odezwał...

FRANEK
(jak wyżej).

ZOŚKA
Nie chciałeś... i było z tego... nieszczęście...

FRANEK
(bez ruchu)
Wtedy nie miałem nic do gadania... i teraz także już nie mam nic do gadania.

ZOŚKA
(bezradnie spogląda na Felka).

FELEK
(daje głową i ręką znak, żeby dalej mówiła).

ZOŚKA
(po chwili, wyłamując sobie palce)
Przecie, Franuś... my z Felkiem... wszystko bymy dla ciebie z serca, ale jakże no... Przecie...
przecie... *(Po chwili błagalnie)* No Franuś!

FRANEK
(gwałtownie przewracając się twarzą do widowni)
Idź do niego!

ZOŚKA
(ponownie spogląda na Felka).

FELEK
(jak wyżej).

ZOŚKA
Tylemy się razem... nabiedowali... tylemy przetrzymali...

FRANEK
(bez ruchu, jakby przez łzy zdławionym głosem) Toteż... idź do niego.

ZOŚKA
(trzeci raz spogląda na Felka).

FELEK
(coraz natarczywiej daje znaki, żeby mówiła dalej)

ZOŚKA
On powiada... co ma... uskładane...

FRANEK
(jak wyżej, z goryczą)
Ja także mam... „uskładane”. –

ZOŚKA
(czwarty raz szuka pomocy u Felka).

FELEK
(wskazując palcem na Franka, daje znak ustami, żeby go pocałowała).

ZOŚKA
(pochyla się nad Frankiem i chce go pocałować).

FRANEK

(siadając na łóżku i jakby z przerażeniem odsuwając Zośkę)

Nie tykaj mię! Nie tykaj mię!

ZOŚKA

Franuś!

FRANEK

(chwytając Zośkę w ramiona – ze spazmem płaczu w głosie)

Zośka!

FELEK

(poprawiając się na łóżku i pociągając nosem na stronie)

Dobra!

FRANEK

(po chwili bezruchu i głuchej ciszy, zupełnie opanowany)

Nam już... dwie drogi, Zosiu. Nam już dwie drogi. Ty górą, a ja doliną, jak śpiewają ludzie na... odchodnym.

ZOŚKA

Nie, Franuś. Nie odejdziesz nas. On... on naprawdę udźwignie...

FRANEK

(niesamowity)

Tego nikt nie udźwignie. Na to nie ma noszów. Na to jest tylko... *(nagle kładąc się, jak wyżej – sucho)*

Dobranoc.

ZOŚKA

(do Felka)

No i cóż będzie.

FELEK

(wstając i podchodząc na palcach do stołu)

Morowo będzie. *(Siadając przy stole)* Prześpi się – wstanie prawą nogą – jutro święto – weźmiemy go na spacer – potem oblejemy nasze zaręczyny...

ZOŚKA

(której twarz powoli się rozjaśniła, przykładając dłoń do policzka)

Ojej!...

FELEK

(niezgrabnie, bo...)

Długo tak myślisz... w jednym miejscu?...

ZOŚKA

(która patrzyła w Felka jak w tęczę – zaczyna iść w stronę swojego łóżka).

FELEK
(coraz niezgrabniej)

A dla mnie to niby... nic?

ZOŚKA
(ze spuszczoneymi oczami podchodzi do stołu).

FELEK
(po chwili)

Może byś przecie... usiadła.

ZOŚKA
(siada naprzeciw Felka i zaczyna skubać spódnice).

FELEK
(po chwili, pozerając Zośkę wzrokiem, ale bardzo nieśmiało)
Ja bym tak... przy Zosi... całą noc...

ZOŚKA
(po przelotnym spojrzeniu na Felka, wracając do skubania spódnicy)
Jutro... święto...

(Pauza).

FELEK
(wciąż zapatrzony w Zośkę)
Ale będziemy... jak się patrzy.

ZOŚKA
(jak wyżej)
No.

(Pauza).

FELEK
(wyciągając przez stół rękę)
Dobranoc, Zosiu.

ZOŚKA
(zachowując się jak Felek)
Dobranoc... Feluś...

(Pauza).

FELEK
(głaszcząc rękę Zośki)
Ja bym tak... przy Zosi... całą noc...

ZOŚKA
(z dłonią w dłoniach Felka)
Ale... będziemy... jak się patrzy...

ZASŁONA

AKT CZWARTY

U CIEPIELÓW

Dekoracja i pora ta sama, co w drugim akcie. Na tym samym fotelu w tej samej pozie, z tą samą gazetą na kolanach i z tymi samymi okularami na nosie tak samo chrapie CIEPIEL, tak samo wyzwolony z krawatki, kołnierzyka i marynarki. Tylko wyższa klasa spodni i kamizelki świadczy o świątecznym nastroju. Drzwi od pracowni zamknięte – lampka przed Matką Boską płonie.

Nagle w wejściu do sypialni zjawia się FRANEK, Jest w niedzielnych, przepasanych rzemieniem spodniach, w rozpiętej koszuli i boso. Przez lewe ramię przewiesił marynarkę, krawatę, skarpetki i kołnierzyk – w prawej zaś ręce niesie parę trzewików. – Brwi ściągnięte, zaciśnięte wargi, prawie obłąkany wzrok – widownia powinna od razu wyczuć, że zanosi się na niesłychaną awanturę.

FRANEK

(przystaje w wejściu do sypialni – wychyla głowę zza szaf – przez krótką chwilę wpatruje się w Ciepela – podchodzi do niego, skradając się na palcach jak złodziej – przystaje – powoli podnosi prawą rękę, wreszcie trzaskając z całej siły trzewikami o podłogę, krzyczy) Wstawaj pan!!

KRZYK CIEPIELOWEJ
(za szafami, krótki, urywany)

A!!

(Cisza).

CIEPIEL

(ani nie drgnął, tylko otworzył zaspane oczy i patrzy we Franka, ale zupełnie nieprzytomnie).

FRANEK

(który stał pochylony nad Ciepиеlem – po chwili, suchym, urywanym głosem) Wstawaj pan. Może pan iść do niej. Już wolna. Mmm?...

CIEPIEL
(zaspany)

FRANEK
(z wybuchem)

Powiadam panu, że już wolna!! (Rzuca na stół swoje rzeczy – siada – i zaczyna nerwowo naciągać skarpetkę).

CIEPIEL

(po chwili osłupiałego wpatrywania się we Franka, raczej flegmatycznie) Czy pan zwariował, panie dobrodziejku, żeby mi się tutaj ubierać?

FRANEK
(nakładając drugą skarpetkę)

Przecie sypialnia.

CIEPIEL
(po chwili, z wolna ożywiając się)
Gdzie, panie dobrodziejku, sypialnia? Co za sypialnia?

FRANEK
(podnosząc trzewiki)
Nasza *(nakłada trzewik)*.

CIEPIEL
(zupełnie osłupiały, po dłuższym wpatrywaniu się we Franka, zdejmując okulary)
Wynoś mi się pan.

FRANEK
(nakładając drugi trzewik)
Akurat.

CIEPIEL
Wynoś mi się pan w tej chwili! Dziękować Bogu jeszcze nie jesteśmy w Sowietach.

FRANEK
(biorąc ze stołu kołnierzyk i krawatkę)
Właśnie, że jesteśmy.

CIEPIEL
(ciężko wstając, zły)
Co pan gada?

FRANEK
(bardzo nerwowo zapinając przed lustrem kołnierzyk)
Wspólność kobiet, więc i wspólność mieszkań.

CIEPIEL
(oparty jedną ręką o stół)
Jakich, panie dobrodziejku, kobiet?

FRANEK
Niech się pan spyta pani Ciepielowej.

CIEPIEL
(łagodnie i trwożliwie)
Panie Franiu. Pan, że tak powiem, naprawdę zwariował.

FRANEK
(wiążąc krawatkę)
Wcale nie. Za to pan, że tak powiem, naprawdę zwariuje, skoro się pan dowie, że odkąd u was zamieszkałem, obrzydziłem pani Ciepielowej wszystko. Ten fotel, bo pan na nim siada –

to lustro, bo się pan przed nim goli – tę lampę, bo pana oświeca – a nawet ten święty obraz, bo się pan przed nim modli. *(Siadając na fotelu – z na wpół obłąkaną beczelnością)* Obrzydziłem zaś dlatego, ponieważ pan jest „kupa mięsa”, a ja jestem „wykształcony” i „szczipły”.

CIEPIEL

(który wodził osłupiałym wzrokiem po wskazywanych przedmiotach, z trudem siadając na krześle – jakby na stronie)

Muszę... spocząć... bo inaczej... szlag mię trafi.

GŁOS CIEPIELOWEJ

(jasny, lodowaty)

Najwyższy czas!

FRANEK

(wskazując szafy)

Słyszysz pan?

CIEPIEL

(wzburzony)

Przecież to nie prymaamprylus!

FRANEK

Dla pana nie. Ale dla pani Ciepielowej tak.

GŁOS CIEPIELOWEJ

Co?!

FRANEK

(w stronę szaf)

A tak!

CIEPIEL

(wachlując się gazetą)

Matka!

CIEPIELOWA

(wciąż w sypialni)

Zaraz idę.

FRANEK

(rozpierając się w fotelu – jeszcze beczelniej)

Bardzo mi będzie przyjemnie.

CIEPIEL

(przecierając ręką czoło)

Jezus Maria... *(Macając się po bicepsach)* a może to ja tracę zmysły...

FRANEK

Bynajmniej.

CIEPIEL
(zaniepokojony)

Bo mówię takie uderzenia do głowy...

FRANEK

W tej chwili nie.

CIEPIEL
(badając swój puls)

Puls, panie dobrodziejku, spokojny.

FRANEK

Widzi pan.

CIEPIEL
(nagle zły)

No matka!

GŁOS CIEPIELOWEJ

Już już.

CIEPIEL
(do Franka)

Nigdy się wyguzdrać nie może! –

CIEPIELOWA

(zajęta dopinaniem szlafroka, wchodząc i ignorując Franka, zupełnie spokojna)
Czego chcesz.

CIEPIEL

Jak to czego chcę, panie dobrodziejku! Nie słyszałaś to, co ten mi tutaj wyplata o lampie, o lustrze, o tobie...

CIEPIELOWA

Tylko się nie denerwuj. Słyszałam. *(Do Franka, wskazując jego marynarkę)* Proszę to zabrać ze stołu.

FRANEK
(bezcześnie)

Wygodniej mi bez tego.

CIEPIELOWA
(wściekła)

Proszę to zabrać ze stołu!

FRANEK

Powtarzam, że wygodniej mi bez tego.

CIEPIEL

Jak pan śmie, że tak powiem...

CIEPIELOWA
(*do Ciepiała*)

Tylko się nie denerwuj. (*Zrzucając Frankową marynarkę na podłogę*) Już załatwione. (*po chwili*) Ochłonij, a dopiero potem pogadamy.

CIEPIEL
(*wachlując się*)

Bo, panie dobrodziejku, w taki upał urządzać takie fidrygansy... to trzeba nie mieć sumienia.

CIEPIELOWA
(*sucho*)

Ochłonałeś?

CIEPIEL

Nie ochłonałem i nie ochłone! Powiada, lampa ci obrzydła, lustro ci obrzydło... i co to wszystko ma, że tak powiem, znaczyć?

CIEPIELOWA
(*zmijowato – wskazując Franka*)

Niech „on” cię objaśni.

FRANEK
(*jak podcięty batem*)

Skoro pani sobie koniecznie życzy – najchętniej! (*Do Ciepiała*) To ma znaczyć, że (*do Ciepiałowej, nienawistnie*) w dalszym ciągu jestem „za szlachetny” (*do Ciepiała*) i że dlatego w chlewie dłużej (*z wybuchem*) nie wytrzymam!!

CIEPIELOWA
(*cedząc słowa*)

Pan Franiu się mści?

FRANEK

Pan Franiu się „stawia”! (*Do Ciepiała, okropnie nerwowo*) Bo, uważa pan, było tak: Ile razy kończyłem lekcje z pańskim Józiem, zjawiała się pod jakimkolwiek pozorem i zaczynała tu, w tym pokoju, nader osobliwe pogawędki. Nader osobliwe! – Najpierw obrabialiśmy moją nędzę. Następnie obrabialiśmy pańską osobę. Po pańskiej osobie zaczęliśmy obrabiać moją umysłową wyższość nad panem. Tę wyższość skojarzyliśmy z niesprawiedliwością losu. Pan mieszka tu, a ja tam – pan nic nie robi, a ja...

CIEPIELOWA

Co za bezczelność!

CIEPIEL

Nie przeszkadzaj!

FRANEK
(*jednocześnie, zaciskając pięści*)

...a ja... a ja zapracowuję się dniem i nocą – wreszcie doszliśmy do wniosku, że to pan powinien mieszkać tam, a ja tu, ponieważ panu można „z armat strzelać”, a ja potrzebuję spokoju

do nauki. „Wszystko zależy od pana, panie Franiu! Trzeba tylko chcieć!” – Do wczoraj wieczór nie chciałem. Ale wczoraj wieczór zamknęła te drzwi i te drzwi na klucz – wyzyskując podsłuchaną rozmowę i świński stan, w jakim byłem po tej rozmowie, ruszyła do ataku – zagroziła mi wyrzuceniem na bruk, jeżeli nie spełnię jej woli – a w końcu, gdy doprowadzony do wściekłości, rzuciłem się na nią z pięściami, zażądała, żebym ją bił. *(Nagle do Ciepielowej)* Więc biję! Na odlew, po chamsku biję! *(Zupełnie zdławionym głosem)* Ale to dopiero początek! *(wraca na fotel – rozpięra się i z rękami w kieszeniach zakłada nogę na nogę).*

CIEPIELOWA

(po „nie przeszkadzaj“ Ciepiela, podparła się pod boki, wyzywająco podniosła głowę i szatańsko uśmiechnięta, słuchała Frankowych słów).

CIEPIEL

(u szczytu osłupienia)

Jezus Maria! Co oni, panie dobrodziejku, wyprawiają! *(Nagle podchodząc do Ciepielowej i wygrażając gazetą)* Ty nędznico! *(kopiąc marynarkę Franka, w którą zaplątała mu się noga)* Zabieraj pan to stąd!

FRANEK

(zrywając się – z zaciętą usłużnością)

Najchętniej! *(kładzie zebraną marynarkę na stole i przybiera poprzednią pozę na fotelu).*

CIEPIELOWA

(która w czasie słów Ciepiela usiadła, ponownie zrzuca marynarkę na podłogę).

CIEPIEL

(w czasie tego ciągnąc dalej i wymachując gazetą pod nosem Ciepielowej)

Ty nędznico! Z armat strzelać, panie dobrodziejku?! On, panie dobrodziejku tu, a ja tam?! Kupa mięsa, panie dobrodziejku?! Ja ci kupę mięsa! Ja ci armaty. *(Idąc w stronę fotelu)* Wstawaj pan! Przecie pan widzi, że jestem wzburzony!

FRANEK

(jak wyżej)

Najchętniej!

CIEPIEL

(sadowiąc się na fotelu i wachlując się gazetą) I nie stercz pan nade mną! Wszędzie pana pełno! *(Wskazując gazetą stół)* Ma pan tam krzesel pod dostatkiem!

FRANEK

(jak wyżej)

Najchętniej! *(siada po lewej stronie stołu – i przez zmrużone powieki wpatruje się nienawistnie w Ciepielową).*

CIEPIEL

(po chwili)

Coś okropnego. *(Nagle do Franka)* A myśli pan, że to ja się o nią, panie dobrodziejku, dobijałem?! A jakże! Łapali mię, że tak powiem, na wszelkie sposoby. *(Wskazując gazetą fotografię w sypialni)* A niech się pan przyjrzy mojej fotografii! – „Kupa mięsa”, panie dobrodziejku?!

(wachlując się) Coś okropnego. *(Nagle do Ciepiewej)* Ja ci tego nie daruję! Opędzić się od ciebie nie mogłem! Zameęczałaś mię! A teraz „kupa mięsa“, panie dobrodziejku?!

CIEPIELOWA

Tylko się nie denerwuj.

CIEPIEL

(do Franka)

Słyszysz pan?! Tutaj świat się wali...

CIEPIELOWA

(zrywając się krzyczy)

Skończyłeś?!!

CIEPIEL

(wściekły)

Skończyłem, panie dobrodziejku! Na dobre skończyłem, panie dobrodziejku! *(Odwracając się do Ciepiewej i wachlując się zapamiętane)* Na dobre!

CIEPIELOWA

O to mi tylko chodziło. –

CIEPIEL

(jakby na stronie)

Coś okropnego!

CIEPIELOWA

(do Franka, cedząc słowa)

Bo jestem bardzo ciekawa, co „pan” zamierza dalej robić.

FRANEK

Nic.

CIEPIELOWA

(jadowicie)

Nic?

FRANEK

A nic. Także „na dobre” skończyć.

CIEPIELOWA

Z czym.

FRANEK

Z nami.

CIEPIELOWA

Właśnie. *(Po chwili)* Pan się ze mną – ożeni.

CIEPIEL
(zwraca się w stronę Ciepielowej).

FRANEK
(szarpiąc rzemykiem od spodni) *Nawet mam stulę przy sobie...*

CIEPIELOWA
(wstając i pochylając się w stronę Franka)
Wezmę rozwód i pan się ze mną ożeni.

FRANEK
(niesamowity)
Będzie to pani mogła nazwać ślubem.

CIEPIELOWA
A ja panu powiadam, że wezmę rozwód i pan się ze mną ożeni, inaczej wszystko puszcę do gazet, żeby ludzie wiedzieli, jakim bandytom wolno bezkarnie wałęsać się po świecie,

FRANEK
I tak w gazetach będzie głośno. –

CIEPIEL
(gwałtownie)
Zabraniam! Po gazetach, panie dobrodziejku, zabraniam!

CIEPIELOWA
(groźnym piskiem)
Cicho!!!

CIEPIEL
(nastraszony wyrazem twarzy i tonem Ciepielowej, kładzie uszy po sobie).

CIEPIELOWA
(do Franka)
Więc nie?

FRANEK
Owszem. Ale po mojemu.

CIEPIELOWA
(podchodząc do Franka)
A po mojemu nie?

FRANEK
A po paninemu nie.

CIEPIELOWA
(wymierzając Frankowi policzek)
Masz!

FRANEK

(gwałtownie)

Widzi pani! Od tego trzeba było zacząć! A byłbym tę rękę ucałował!

CIEPIELOWA

(z zaciśniętymi pięściami)

Psie! Stręczycielu!

FRANEK

(chwytając Ciepielową za obie ręce)

Właśnie! Właśnie! I nie byłbym w ogóle z nimi mówił!... I byłbym się opamiętał!

CIEPIELOWA

(wrywając się)

Puszczaj mię!

FRANEK

Teraz ja nie puszczę! *(Jakby ciągnąc dalej)* I zamiast mię dopaskudzać, byłaby mię pani ocaliła!

CIEPIELOWA

Puszczaj mię!

FRANEK

Nie puszczę! Ale dzisiaj za późno! Dzisiaj na ulicę! *(Ciągnąc szamocącą się Ciepielową w stronę stołu)*. Do pierwszego z brzegu przechodnia!... Już się początek zrobiło!... *(Przemocą sadzając Ciepielową na krzesło, krzyżując obie jej ręce na stole i uderzając nimi o stół)* Jawny początek! Zawodowy początek! *(Nagle puszczając ręce Ciepielowej, błyskawicznym ruchem wyjmując z kieszeni srebrną pięcioletówkę i rzucając ją na stół)* Płacz! – Mało? – *(Wyjmując i rzucając drugą pięcioletówkę)* Dopłacam! – *(Z pięściami opartymi o stół, pochylony w stronę Ciepielowej – chrapliwym półszeptem)* A stałego gościa sprowadzę pani wkrótce... *(wskazując sypialnię)* tam! – Będzie „wykształcony”! Będzie „szczuplutki”! i będzie „taki inny”, że go pani przez całe życie nie zapomni! *(nagle waląc się na krzesło, opierając łokcie na kolanach i szarpiąc się za włosy)*. Bo nawet kanałą być za ciężko...

CIEPIEL

(który do „cicho” Ciepielowej słuchał z rosnącym osłupieniem, od chwili policzka zaczął się po prostu bać. Powariowali? Nie powariowali? – Postanowił więc zapewnić sobie odwrót i nieznacznie wycofać się w stronę drzwi. Tam – również tak, ażeby nie zauważono – zdjął z półki melonik, prawą dłoń położył na klamce i przystanął, gotów do ewentualnej bezpiecznej defensywy).

CIEPIELOWA

(w chwili, w której Franek uwolnił jej ręce, zerwała się na równe nogi. Wściekłość odjęła jej mowę. Wreszcie, gdy Franek umilkł – piskliwie)

Ruszcze się ojciec! Ruszcze się!

CIEPIEL

(wymachując melonikiem)

Nie ma ojca! Nie ma, panie dobrodziejku, ojca! Był ojciec, ale nie ma ojca!

CIEPIELOWA

(zupełna megera)

Kiedy był?! Nigdy go nie było! Gdybyś o mnie choć tyle zadbał, co czarne za paznokciem, ścierpiałbyś to, żeby mi tutaj taki cham pięciozłotówkami frygał?! *(Widząc, że Ciepiał włożył na głowę melonik i zapominając o braku marynarki itd., zaczął majstrować koło zatrząsku)* O nie! Tym razem nie uciekniesz! Tym razem nie skończy się na Hawełce! *(Ciągając Ciepiał w stronę fotelu)* Tu nawarzyłeś piwa, tu je wypijesz! *(Sadzając przerażonego Ciepiał na fotelu)* Na tym fotelu! Przy tym lustrze! Pod tą lampą!

CIEPIEL

(nagle chcąc się zerwać, ryczy)

Jakiego piwa?! *(opada wyczerpany na fotel).*

CIEPIELOWA

Takiego, że przez ciebie, tylko przez ciebie zadałam się z szubrawcem...

CIEPIEL

(wyciągając ręce w stronę nieruchomego Franka – jakby chciał go wziąć na świadka)

Pa... pa... panie!!

CIEPIELOWA

(jednocześnie)

A tak! Z szubrawcem, który umiał wyzyskać chwilę słabości...

CIEPIEL

(jak wyżej)

Sły... sły... słyszy pan?!!

CIEPIELOWA

(jak wyżej)

A tak! Chwilę słabości! bo był podobny do człowieka! bo tłuszczy nie zabił w nim mężczyzny!

CIEPIEL

(zdejmując z głowy melonik, o którym do tej chwili zapomniał, i wachlując się nim zawzięcie)

Przestań już! Przestań!

CIEPIELOWA

(jak wyżej)

Bo gdybym go była prosiła, „chodź na spacer”! Szportuj się trochę! Nie gnij po knajpach! To byłby chodził! Byłby się szportował!

CIEPIEL

(tym razem zrywając się na dobre)

Nie szportowałem się to?! Nie wyciągałaś mię to, panie dobrodziejku, na sam czub kopca Kościuszki?!

CIEPIELOWA

(ilustrując palcem wskazującym)

Jeden jedyny raz! Jeden jedyny raz!

CIEPIEL.

A Panieńskie Skały?!!

CIEPIELOWA

Dwa lata temu!!

CIEPIEL

(po prostu ryczy)

A zeszłej niedzieli Krzemionki?!!!

CIEPIELOWA

(bliska płaczu z wściekłości)

Jakie Krzemionki?!! Wstyd, nie Krzemionki! Co mi z tych Krzemionek przyszło?! Ludzie się tylko naśmiewali,!! Wytykali nas palcami!! Słyszałam, jak jakiś andrus wrzeszczał na cały głos: „Odetkajże pani czop! Niechże się trochę uleje, a będzie ci lżej wytoczyć toto pod górę!!!”

CIEPIEL

(wałąc się na fotel i przez poręczę fotelu opuszczając obie ręce ku ziemi – coraz słabiej)
Dosyć!! Dosyć! Dosyć...

CIEPIELOWA

(goniąc po scenie i becząc)

Taki wstyd!! Takie widowisko!! Taka kompromitacja.! Taki skandał!! Buuu!! Buuu!!! Buuu!!

FELEK

(odświętnie ubrany, wpadając przez prawe drzwi)

Rany Boskie! Co się tu dzieje!

CIEPIEL

(resztą sił, skongestionowany, wymachując melonikiem)

Wyrzuć ją pan! Wyrzuć ją pan!

FELEK

(już po pierwszym wezwaniu – technicznie)

Dobra! *(Błyskawicznie obejmując Ciepelową lewym ramieniem w pół i przyciskając ją do swego boku, ażeby obie jej ręce unieruchomić – prawą zaś dłonią zatykając jej usta – zachęcająco)* Chodźże pani. Chodźże pani.

CIEPIELOWA

(która z początku wydawała ze siebie bardzo prymitywne piski – teraz bełkoce coś pod dłonią Felka).

FELEK

(po dobrotliwym wyrzuceniu Ciepelowej przez prawe drzwi, zamyka je na klucz).

CIEPIEL

(w czasie operacji jękliwie)

Słabo mi...

CIEPIELOWA

(bijąc pięściami w drzwi)

Otwierać! Otwierać! Otwierać! *(milknie)*.

CIEPIEL

(wachlując się melonikiem)

Słabo mi... *(upuszcza melonik na podłogę)*.

FELEK

(który odwrócił się w stronę obecnych i ze zdumieniem patrzył to na nieruchomego Franka, to na Ciepiera –po chwili)

Panie majster! Franuś! Już można po ludzku. Już zrobione.

FRANEK

(ani nie drgnął. Wciąż z łokciami na kolanach i z głową w dłoniach wygląda jak żywa katastrofa).

CIEPIEL

(jakby resztą sił)

Weź pan sobie krzeselko... i siądź pan przy mnie... bo mi ciągle słabo...

FELEK

(wypełniając polecenie Ciepiera, troskliwie) Szlag pana trafił, panie majster?

CIEPIEL

Nie. Nie. Szlag mię nie trafił... tylko... *(wskazując na Franka, a potem na prawe drzwi)* on z nią... panie dobrodziejku, tego... ale to nic...

FELEK

(który szybko spojrział na Franka)

No przecie, że nic.

CIEPIEL

...a ona... słyszał pan?... Ściany, że tak powiem... pękały...

FELEK

No przecie, że pękały.

CIEPIEL

...i dopiero że to, że owo... Chociaż, po prawdzie, panie dobrodziejku, to ja powinienem był... tego...

FELEK

No przecie, że pan majster.

CIEPIEL

Kiedy jakoś nie bardzo mi się zebrało, bo... *(ciężko wstając, biorąc Felka pod ramię, opierając się na nim i prowadząc go w stronę rampy)* uważasz pan... chłopak młody... gorący... tutaj, że tak powiem, pokusa... no i jakże.

FELEK

A gadałem mu, psiakrew!

FRANEK

(który dotąd nie zmienił pozy – podnosi głowę – tragicznym, błędnym wzrokiem bada, czy Ciepiał i Felek go nie zauważą – widząc, że są zwróceny do niego plecami i zajęci rozmową, ostrożnie wstaje – skrada się na palcach wzdłuż szaf – wreszcie, doszedłszy do wejścia, szybko znika w sypialni).

CIEPIEL

(bezpośrednio po słowach Felka)

Co mu pan gadał.

FELEK

Ano żeby... żeby... bo to niby te.

CIEPIEL

Ale „ona”, panie dobrodziejku! „Ona!”

FELEK

E... jeden raz...

CIEPIEL

Co co co pan mówi?

FELEK

Tak mi się tylko... wyrwało.

CIEPIEL

Bo dotąd za wzór matrony, panie dobrodziejku! Za wzór matrony!

FELEK

Ha, no jak tak, to... to dobrze będzie.

CIEPIEL

Co... co pan mówi?

FELEK

Że dobrze będzie.

CIEPIEL

Co, co, co dobrze będzie.

FELEK

Ano takie te.

CIEPIEL

Mnie tylko chłopaka żal...

FELEK
Wiedział, co robi i kogo bierze.

CIEPIEL
Jak? Jak?

FELEK
Niby, że się nie obejdzie bez gruchu.

CIEPIEL
Na bruk go, panie dobrodziejku, wyrzuci...

FELEK
Kto ją tam wie...

CIEPIEL
Wyrzuci, panie dobrodziejku. Wyrzuci. Pan jej nie zna. To, że tak powiem...

FELEK
Chole...

CIEPIEL
Jak?

FELEK
No tak, jak pan majster chciał przed chwileczką niby ten.

CIEPIEL
(biorąc Felka za guzik)
Słuchaj pan. Lampa jej obrzydła. Lustro jej obrzydło.

FELEK
(ruszając ramionami)
Wielkie rzeczy...

CIEPIEL
A wielkie, panie dobrodziejku. Bardzo wielkie! – *(Zniżając głos)* Bo powiada, że ja jestem...
tego... *(wskazując miejsce, gdzie siedział Franek)* a on...

FELEK
(z nagłym niepokojem, widząc puste krzesło) Ale gdzież on się podział!

CIEPIEL
Prawda. Drzwiami nie wyszedł. Chyba że, panie dobrodziejku, w sypialni.

FELEK
(nadsluchując)
Cicho!

(Obaj nadsluchują).

CIEPIEL

Coś jakby jakieś... że tak powiem, skrobanie...

FELEK

Cicho, cicho! *(po chwili)* Franek! *(po chwili)* Franek! *(Po chwili ruszając w stronę sypialni)*
Cóż do diabła! *(zagląda w głąb sypialni. Nagle rzucając się w prawo)* Jezus Maria!!! Franek!!!

(Słysząc za szafami jakby szamotanie się z ciężarem).

CIEPIEL

(przysiadając ze strachu)

Matka!! Matka!! *(Rzucając się ku prawym drzwiom i borykając się z kluczem)* Matka!! No Matka!!!

(Drzwi otwierają się z łomotem).

CIEPIELOWA

Co się stało!!

CIEPIEL

(bez głosu, na bawełnianych nogach)

Cicho, matka!... Cicho!... On sobie... on sobie... *(wskazując sypialnię)* coś tam... zrobił!

CIEPIELOWA

(dygocąc ze strachu i garnąc się do Ciepela)

Jezus Maria!!

CIEPIEL

(czepiając się Ciepielowej)

Cicho, matka!... A ten drugi... ten drugi go... ratuje...

CIEPIELOWA

Jezus Maria... *(Nagle krótko i przeraźliwie)* A! *(W wejściu do sypialni ukazał się Felek, niosący zupełnie bezwładnego, jakby martwego Franka, w którego toalecie brakuje krawatki, kołnierzyka i paska od spodni).*

FELEK

(bezpośrednio po krzyku Ciepielowej)

Nie drzyj się pani!

CIEPIEL

(szczękając zębami) Nie...bosz...czyk!

FELEK

Przecie dycha!

(już koło fotelu)

CIEPIEL I CIEPIELOWA

(spłeceni uściskiem przerażenia)

Święty Antoni, Cudotwórco...

FELEK

(składając Franka na fotelu)

Pomaluśku, Franuś. Pomaluśku. Głowę oprzyj, o tak... nogi wyciągnij o tak... i nic się nie turbuj...

FRANEK

(z zamkniętymi oczami zaczyna coś szeptać).

FELEK

(pochylając się nad Frankiem)

Czego?

FRANEK

(wyjmuje papierośnicę z kieszeni od spodni i po Felkowym „czego” podaje ją Felkowi, mówiąc coś szeptem).

FELEK

(po chwili słuchania)

No przecie. Wszystko ci elegancko załatwię. Będziesz widział. *(Po chwili)* Tak, tak. Schowałem ją do kieszeni. *(Po chwili)* Wiem, że złota. Wiem. Tylko nie gadaj, nie wstawaj, nie medytuj... *(Do Ciepela, ocierając sobie chustką od nosa twarz i szyję)* Panie majster! Macie tam jaką wódkę, wino...

CIEPIEL

(roztrzęsiony, ruszając ku jednej z szaf)

Jest... koniak.

FELEK

Niech będzie koniak. *(Do Ciepielowej)* A pani zimny okład.

CIEPIELOWA

(rozdygotana, nie ruszając się z miejsca)

Zimny... okład?...

FELEK

(gwałtownie)

Wolałaby pani „gorący”!! *(Ocierając twarz jak wyżej i patrząc za Ciepielową, która pomknęła do sypialni)* Podgrzewać to jucha potrafi! *(Do Ciepela, który podszedł z flaszką i kieliszkiem)* Dawaj pan. *(Po nalaniu i oddaniu butelki Ciepielowi, podsuwając kieliszek do ust Franka)* Pij Franuś. *(Gdy Franek wypił)* Ażeś się obliżał. *(Po postawieniu kieliszka na stole, do Ciepielowej, która podeszła z mokrym ręcznikiem)* Dawaj pani *(okładą głowę Franka).*

(Dzwonek).

CIEPIEL I CIEPIELOWA

(rzucając się ku prawym drzwiom)

Policja! *(stają pod drzwiami – przywarci do siebie).*

FELEK

(zajęty Frankiem) Niby skąd? Z nieba?

CIEPIEL

(prawie bez głosu)

Może pan... panie dobrodziejku... otworzy...

FELEK

(zajęty Frankiem)

Jak skończę.

CIEPIELOWA

(również bez głosu)

Bo jeśli to przypadkiem... oni...

FELEK

(jak wyżej)

To zabiorą panią trochę później. *(Bez pośpiechu idzie ku drzwiom – wreszcie po ich otwarciu) Aha! (usuwając się na bok) Prosimy. (Wskazując Franka) Gotów. (usuwa się na bok – kładzie obie ręce do kieszeni i przybiera pozę pełną niepokojącego spokoju).*

(Po chwili wchodzi Starszy Pan).

STARSZY PAN

(staje jak wryty i wodzi zdumionym, przerażonym wzrokiem po obecnych. Franek? Chyba zabity! Ciepeliowie? Widocznie w panice! Felek? Najwidoczniej bezczelny i wyzywający. –

Więc zwracając się do Felka i drżącym palcem wskazując na Franka)

To... to pan go?...

FELEK

Powiesił się.

STARSZY PAN

(chwiejąc się na nogach)

Powie?...

FELEK

Na pasku od spodni. Miał dość.

STARSZY PAN

(ponownie zachwiał się na nogach).

CIEPIELOWA

(drżąc na całym ciełe)

Do pracowni, ojciec...

CIEPIEL

Do pracowni, matka... *(oboje jak najciszej wychodzą w prawo i zamykają za sobą drzwi).*

FELEK

(w czasie wychodzenia Ciepeliów, wskazując na Ciepeliową)

Widzi pan, jak na złodzieju czapka gore?

STARSZY PAN

Przecież ja...

FELEK

Pan jest w porządku, Z panem porachunków nie ma. Każdemu targować wolno. Tylko, że pan źle trafił. To wielki biedak, panie. Łeb za pełny, kieszeń za pusta – mocy tyle, co u kota – podsunął mu pan gruby pieniądz – zapachniało... *(Podchodząc do stołu i podsuwając krzesło)* Ale niech pan spocznie. Ledwo się pan na nogach trzyma.

STARSZY PAN

(prawie bez głosu)

Dziękuję. *(Podchodzi do stołu, drżącymi rękami składa laskę, kapelusz i rękawiczki, po czym siada).*

FELEK

(siadając naprzeciw Starszego Pana)

A prędeż było nie do niego, a do mnie. Ubilibymy od razu. Pan powiedziałby swoje, ja swoje. Kiedy pan wołał... „delikatniej”. Spotkalimy się wczoraj w południe, no i pan wołał... „delikatniej”. W porządku. – *(Po chwili)* Bo przecie jakby ze mną była sprawa, to ja bym na tym fotelu tak nie siedział. – Gdzie mi do takiej parady! – Ja bym albo w mordę, albobym wziął. – On inaczej. – On wyszlifował sobie honorność po waszemu. – Wołał w sześcioro u Ciepeliów niż w mojej stancji we troje, bo to byłaby „pomoc”, a pomoc, to przecie wstyd. – Trzeba się kłaniać w pas, kręcić zadkiem... Dlatego poszedł... na „interes”. *(Pochylając się w stronę Starszego Pana, bardzo dobitnie i bardzo wolno)* Miał mnie – namówić...

STARSZY PAN

(robiąc przeczący ruch ręką)

Zawiadomić...

FELEK

Niech panu będzie „zawiadomić”. – *(Po chwili)* Miał – mnie – „zawiadomić”, że moglibyśmy... do spółki... na mijanego...

STARSZY PAN

(jak wyżej)

Pan się myli...

FELEK

(z wybuchem nie znoszącym repliki)

Na mijanego!!!

STARSZY PAN

(robi gest wyrażający: nie ma rady).

FELEK

(po niesamowitej pauzie wzrokowej)

...i „zawiadomił” mnie dzisiaj w nocy. *(Po chwili)* Ale ja panu jej nie dam. Żeby mi pan złote góry *(wałąc pięścią w stół)* psiakr!!!!... *(Opanowując się i sięgając do bocznej kieszeni)* Aha *(podając Starszemu Panu papierosnicę)*. Kazał to panu z powrotem.

STARSZY PAN

(nie spuszczać oka z Felka, bierze, wciąż drżącą ręką, papierośnicę i kładzie ją przed sobą na stole).

FELEK

(wskazując papierośnicę)

Leżało na stole... Wziął... Nosił w tajemnicy przez cały dzień. ...Dopiero po wszystkim... *(Z wybuchem)* Rozumie pan?!

STARSZY PAN

(drgnął).

FELEK

(znów spokojnie)

Bo to jest tak. – Pan chciał go po pas, a on po same uszy! Na złość! *(po chwili)* Że to niby ryj tylko skończonym świniom nie wadzi. *(Po chwili)* I wi pan co? – Gdyby się za panem nie wstawił... ho ho!... już by nie było co zbierać. *(Przez zacisnięte gardło)* Zabiłbym pana jak psa!!

STARSZY PAN

(jak wyżej).

Ale cóż, kiedy się wstawił. Przyrzekłem „elegantko” – będzie elegantko. – *(po chwili)* Pójdzie pan sobie do domu... grzecznie... ładnie... wyciągnie się pan na kanapce... zapali pan sobie papierosa i rozważy pan sobie w sumieniu...

STARSZY PAN

(wyjmuje zegarek i kładzie obok papierośnicy).

FELEK

(po chwili, ciągnąc dalej)

Boście się na biedaka uwzięli. Tu handel i tam handel. Tu spokój, za... wiadomo co – tam spokój za... także wiadomo co. A jak nie? to zdychaj, bracie, pod płótem! – Toteż i wolał od razu – na waszych oczach – *(Zrywając się, gwałtownie)* żebyście „wy” spokoju nigdy nie zaznali!!! *(siadając i opanowując się).* Dziękować Bogu, dycha.

STARSZY PAN

(który w czasie słów Felka wyjął z kieszeni portfel i położył koło zegarka, podsuwając Felkowi i portfel, i zegarek, i papierośnicę)

Na początek.

FELEK

(groźnie)

Znów pan zaczyna?!!

STARSZY PAN

(wskazując Franka)

Dla niego, panie.

FELEK

(siadając)

Jak?

STARSZY PAN

Dla niego. (*Wskazując portfel*) Mój adres wewnątrz. Jeżeli będzie potrzeba... dodam.

FELEK

I niby co.

STARSZY PAN

To, co uznacie za stosowne.

FELEK

Zaraz. Mnie się widzi, że... nie kijem, to pałką.

STARSZY PAN

Nie, panie.

FELEK

Zaraz. – A co pan ma w tym za widoki?

STARSZY PAN

Ja?

FELEK

Przecie, że pan.

STARSZY PAN

Jak to.

FELEK

Myśli pan, że mię pan pomaluśku „zlasuje”.

STARSZY PAN

Nie rozumiem.

FELEK

No niby, że mnie pan po kropelce ugasi. Jak wapno.

STARSZY PAN

Nie, panie. Proszę mi wierzyć...

FELEK

Kto by ta komu wierzył!

STARSZY PAN

(*drżącym głosem*)

Ale proszę mi wyjątkowo uwierzyć, nie żądam od pana niczego, oprócz...

FELEK

No?

STARSZY PAN
(wyciągając rękę)

...pańskiej ręki.

FELEK

Na ślepo nie ma głupich.

STARSZY PAN

Chcę ją po prostu uścisnąć.

FELEK

Nie będzie mi pan zawracał!...

STARSZY PAN

Naprawdę.

FELEK

A na dokładkę... nic?

STARSZY PAN

Nic.

FELEK

Panie?... bo my tu mamy świadka.

STARSZY PAN

Przy świadku.

FELEK

(po ruszeniu ramionami)

I musi być koniecznie?

STARSZY PAN

Koniecznie.

FELEK

No to... jak musi być koniecznie... (Podając Starszemu Panu rękę) Masz pan.

STARSZY PAN

(ściskając dłoń Felka – gorąco)

Dziękuję panu!

FELEK

(zły – wrywając rękę)

E!... co by pan znowu dziękował! (Biorąc ze stołu zegarek, papierośnicę i portfel) A to sobie pan zabierz.

STARSZY PAN

(protestując)

Ależ...

FELEK

(wciskając przedmioty w ręce Starszego Pana – ostro)

Zabieraj pan!

STARSZY PAN

Kiedy ja w żaden sposób...

FELEK

Gadanie! *(Rozmieszczając przedmioty po kieszeniach Starszego Pana)* Zegarek tu – papierosnica tu – pieniądze tu – i po krzyku.

STARSZY PAN

(osłupiały)

Pan chyba nie wie, co pan robi.

FELEK

Tak się panu przedstawia? To się panu źle przedstawia. Miało wyjść ode mnie. Miał pan pod przymusem. Ale skoro wyszło od pana, próbuj pan z nim. – Tylko przódy... Panie? Niechby-my tak... na odwrót. Niechby tak on panu... *(robiąc ruch liczenia pieniędzy)* „za boleść”. Przyjąłby pan?

STARSZY PAN

(milczy).

No przyjąłby pan?!!

FELEK

(z wybuchem)

STARSZY PAN

(jak wyżej).

FELEK

(nagle zmieniając ton)

Idę po rzeczy. Zaraz wrócę *(szybko wychodzi w prawo).*

STARSZY PAN

(po chwili bezradnego wpatrywania się we Franka – zupełnie roztrzęsiony)

Panie Szywała...

FRANEK

(bez zmiany pozy i bez otwierania oczów zdejmuje sobie okład z głowy i upuszcza go na podłogę).

STARSZY PAN

(podsuwając sobie krzesło i siadając tuż koło Franka)

Kochany panie Szywała... gdybym był wiedział... gdyby mi pan był powiedział, że pan jest w takim... tragicznym położeniu... *(Po chwili)* Cóż, kiedy przypuszczałem... Widzę, robotnik, prawda?... *(szybko poprawiając się)* Nie nie! Złe się wyrażam! Nie „robotnik”, tylko... Tak trudno znaleźć odpowiednie słowo...

FRANEK

(otwiera oczy i wpatruje się w Starszego Pana zupełnie obojętnym, nie zdradzającym absolutnie żadnych uczuć wzrokiem).

STARSZY PAN

(po chwili)

I... no i dlatego właśnie chciałem przynajmniej teraz jakoś... *(Wskazując prawe drzwi)* Bo on fałszywie pojmuję. Przecież gdyby się pan tutaj na dobre po... po ten, to... no to... Jezus Maria! *(Po chwili)* A słowo honoru panu daję, na pańskim miejscu nie zawahałbym się ani przez chwilę... uważałbym to za konieczne... zadośćuczynienie... za rodzaj świadectwa, że wszystko, co było w mojej mocy... *(Sięgając po portfel)* Więc, z tego, wyłącznie z tego powodu *(podając Frankowi portfel)* niech pan będzie tak dobry... tę drobną cząstkę długu...

FRANEK

(robi przeczący ruch głową i ręką).

STARSZY PAN

(błagalnie)

Panie Szywała! Ja bardzo, ja usilnie proszę!

FRANEK

(słabym głosem)

Ja... też... usilnie proszę.

STARSZY PAN

(okropnie zafrasowany, chowając portfel do kieszeni) W takim razie... *(Po chwili wstając)* W takim razie... może jeszcze kiedyś... gdzieś... jakoś... *(Nagle spostrzegając Felka i Zosię, którzy stanęli w prawych drzwiach)* Oh!... *(Szybko podchodzi do stołu i jeszcze szybciej zbiera kapelusz, laskę i rękawiczki).*

FELEK

(który ma czapkę na głowie – jedną walizkę w ręku, a dwie spięte rzemykiem i przewieszzone przez ramię – z olimpijskim spokojem)

Pomaluśku. Pali się?

STARSZY PAN

(zdążając ku lewym drzwiom)

Muszę natychmiast... *(Nagle zwracając się w stronę Zosi)* Bądź... bądź szczęśliwa moje... *(z załamaniem się głosu)* dziecko. *(Zawraca na pięcie i szybko wychodzi).*

FELEK

(stawiając walizki na podłodze – bezpośrednio po słowach Starszego Pana)

Będzie, będzie. *(Nagle prostując się – zupełny dyktator – prawie sucho)* A teraz jazda. Z komornym załatwione – rzeczy poznoszone – *(Idąc w stronę sypialni)* pokój na Grzegórzeckiej czeka – *(Już w sypialni)* krawat, kołnierzyk i pasek *(wracając na scenę)* w garści – *(podnosząc Frankową marynarkę)* nie dziwuj się – *(składając wszystko na kolanach Franka)* odziewaj się. – *(Po chwili z rękami w kieszeniach, sucho)* Przeprowadzka.

FRANEK

(który z rosnącym zdumieniem wodził za Felkiem oczyma – wyciągając ręce)

Felek!

FELEK

Tylko bez takich.

FRANEK

(nagle zrywając się – przy czym złożone rzeczy spadają mu z kolan i są przez Zośkę podnieszone – obejmując Felka za szyję, przyciskając twarz do jego ramienia i wybuchając płaczem)
Felek!!...

FELEK

(z rękami w kieszeniach, widocznie broniący się przed wzruszeniem patykowatą biernością, po chwili) A jak ci się beczenie uprzykrzy, to powiedz.

FRANEK

(zanosząc się od płaczu)

Odtąd... zawsze przy was... dla was... po waszemu...

FELEK

(bierność nie wystarcza. Więc prawą ręką niezgrabnie klepiąc Franka po plecach, a głosowo przechodząc w szorstkość)

Gadaj z nim.

FRANEK

(jak wyżej)

Chociażby boso... chociażby nago...

FELEK

(już zły)

Odziewajże się, do cholery ciężkiej!

FRANEK

(nagle przechodząc z płaczu w rodzaj gorączkowej ekstazy i chwytając Felka za ramię) Za przeprowadzkę! Rozumiesz Felek? Za przeprowadzkę! *(Wskazując podłogę, a potem sufit)* Stąd tam! *(ponownie rzucając się Felkowi na szyję i obcałowując go po obu policzkach)* Rozumiesz, Felek? Stąd tam!

FELEK

(wściekły, odtrącając Franka)

Jeszcze trochę, a jak Boga kocham rznę w mordę *(idzie w prawo i odwrócony plecami do Franka z obrzydzeniem ściera z twarzy jego pocałunki)*.

FRANEK

(zaskoczony, z lękiem)

Bo co!

FELEK

Bo z chłopem nie jestem zwyczajny! *(kładzie ręce do kieszeni)*.

ZOŚKA

(która po podniesieniu Frankowej garderoby starannie otrzepywała ją z kurzu – półgłosem do Franka)

Zeźlił się.

FRANEK
(gorączkowo)

Daj pasek!

ZOŚKA
(wykonując rozkaz)

Masz.

FRANEK
(po szybkim przepasanii się, jak wyżej)

Kołnierzyk i krawatę!

ZOŚKA
(jak wyżej)

Masz.

FELEK
(który widocznie nadśluchiwał, bez odwrócenia głowy)

Gotów?

FRANEK
(z pośpiechem zakładając kołnierzyk)

Za chwilę!

FELEK
(wciąż bez odwrócenia głowy)

Trzymasz się na nogach?

FRANEK
(wiążąc na pamięć i byle jak krawatę)

Trzymam.

FELEK
(po chwili)

Na raz nie będziesz więcej ładował jak dwadzieścia sztuk?

FRANEK
(wciąż gorączkowo, uległy)

Nie będę.

FELEK
Szportówkę i co tam wypadnie dorzucić do koźlarki przyjmiesz?

FRANEK
Od ciebie przyjmę.

FELEK
Jak postawisz na swoim, oddasz?

FRANEK

(wkładając podaną mu przez Zośkę marynarkę)

Oddam.

FELEK

I nie będzie o tym gadania?

FRANEK

(zapinając marynarkę)

Nie będzie.

FELEK

(biorąc Frankową czapkę i rzucając ją na stół)

To kładź czapkę – bierz Zośkę pod rękę – *(schylając się po walizki)* i wal *(zarzuca na ramię)*.

FRANEK

(chcąc odebrać Felkowi trzecią walizkę)

Przecież mogę...

FELEK

(zły – ostro)

Powiadam ci, wal!!

FRANEK

(biorąc Zośkę pod rękę)

Chodź, Zosiu.

ZOŚKA

(idąc z Frankiem ku lewym drzwiom – w tajemnicy)

Franuś?... On tak tylko udaje. Ale po prawdzie...

FRANEK

(przytulając Zośkę do siebie – głęboko wzruszony)

Wiem, Zosiu. Wiem. *(Wychodzą)*.

FELEK

(który nie spuszczał odchodzących z oka – gdy wyszli – kręcąc głową)

Psiakrew... *(Po chwili)* Jedno potknięcie... *(Po chwili)* Steranie, choroby, zastój... *(Po chwili medytacji)* Ha no... Z pomocą Boską... *(Nagle otrząsając się i ruszając naprzód)* Dobra! *(szybko wychodzi w lewo – walizki łomotnęły o za ciasne drzwi)*.

KONIEC

U METY

sztuka w czterech aktach z epilogiem

ZYGMUNTOWI PRZEORSKIEMU
poświęcam

O S O B Y

CIMKIEWICZ, lat 56
CIMKIEWICZOWA, lat 54
LUDA, ich córka, lat 23
PAN FRANCISZEK, lat 36
FELEK, lat 33
ZOSIA, jego żona, lat 26

emeryci:

STARY HRABIA, lat 70
INSPEKTOR, lat 73
RADCA, lat 72
KANONIK, lat 85

PROFESOR WŁOSEK
PROFESOR SŁUPIŃSKI
PAN LEONARD
PANI LEONARDOWA
GŁUCHA PANI
PIERWSZY LUMINARZ
DRUGI LUMINARZ
TRZECI LUMINARZ
STUDENT POD DOBRĄ DATA
KELNER
PŁATNICZY
GOŚCIE WESELNI, MŁODZIEŻ OBOJGA PŁCI, SŁUŻBA

OSOBY EPILOGU

kucharzystki:

MILCIA, lat 53
FRANIA, lat 44
MARYNIA, lat 33

STARY HRABIA
INSPEKTOR
RADCA
ROZLEPIACZ KLEPSYDR

RZECZ DZIEJE SIĘ W KRAKOWIE

AKT PIERWSZY

KAWIARNIA NOWOROLSKIEGO W KRAKOWIE

W głębi duże okno z widokiem na Kościół Mariacki, pomnik Mickiewicza i Szarą Kamienicę. Z lewej i z prawej strony drzwi oraz – w pobliżu okna – kanapki, przed którymi stoją marmurowe stoliki otoczone trzema krzesłami. Przy prawym – od strony widzów – stoliku, zwanym stolikiem emerytów, siedzą: na kanapce – podupadły STARY HRABIA, naprzeciw Hrabiego bardzo stary, zupełnie zramolizowany KANONIK, z boku zaś, zwrócony twarzą do publiczności – zasuszony, najwidoczniej chory na śledzionę – stary RADCA. Wszyscy trzej kipią nad dawno wypitą kawą, nie mając sobie już nic do powiedzenia. W krawatce Hrabiego błyszczą jedyne świadectwo jego błękitnej krwi, a mianowicie spora, złota dziewięciopałkowa korona. Bez tej legitymacji można by go wziąć za przygrubego szlagona o siwym, bujnym wąsie, na którym usiadł zamiast nosa gil. Nad emerytami sterczy PŁATNICZY, dokładający wszelkich sił, aby rozruszać towarzystwo i spełnić zawodowy obowiązek wobec nieśmiertelnie stałych gości.

PŁATNICZY
(zacierając rękę)

Pogoda...

STARY HRABIA
(potakując głową, ospale)

Mmm.

(Pauza).

PŁATNICZY

A zanosilo się na deszcz...

STARY HRABIA
(jak wyżej)

Mmm.

(Pauza).

PŁATNICZY

No tak!

(Pauza i bezruch)

PŁATNICZY

A pana Inspektora jakoś nie widać...

*(W oknie ukazuje się majestatyczna postać: czarny surdut, czarne spodnie, czarny krawat, czarny cylinder na podbródkowej głowie. Chód astmatyczny – oczy jasnoniebieskie, wylupia-
ste, a pod oczami duże pocziwe torby, rodzaj świadectwa, że niegdyś rozmaicie bywało).*

PŁATNICZY

O, właśnie idzie! (ściera serwetą stolik, to znaczy ostatnie miejsce, przeznaczone dla kwartetu).

(Przez lewe drzwi wkracza Inspektor)

PŁATNICZY

Moje uszanowanie, panie Inspektorze!

INSPEKTOR

(z lekkim kiwnięciem głowy)

Kapucyna.

PŁATNICZY

Proszę bardzo *(wychodzi)*.

INSPEKTOR

(po zawieszeniu cylindra na wieszadle, siadając przy stoliku naprzeciw Radcy:)

Powitać.

(Emeryci kiwiają głowami)

INSPEKTOR

(wyjmuje z górnej kieszeni kamizelki cygaro, z dolnej cygarniczkę i bez pośpiechu przygotowuje się do palenia).

RADCA

(po dobrej pauzie)

Cóż tak późno.

INSPEKTOR

(śliniąc ucięty czubek cygara)

Z pogrzebu.

RADCA

O.

STARY HRABIA

(jednocześnie)

Mmmm.

KANONIK

(ani nie drgnął).

(Pauza)

RADCA

Któż taki.

INSPEKTOR

(wkładając cygaro do cygarniczki)

Kolega.

RADCA

O.

(Pauza)

STARY HRABIA

W jakim wieku.

INSPEKTOR
(zapalając cygaro)

Siedemdziesiąt trzy.

RADCA

I już?!

INSPEKTOR

A już.

RADCA

No proszę.

(Pauza).

STARY HRABIA

Płuca?

INSPEKTOR

Serce.

KELNER
(stawiając kawę przed Inspektorem)

Do usług Pana Inspektora *(wychodzi na lewo)*.

INSPEKTOR
(kiwnął głową i zaczyna mieszać łyżeczką kawę)

RADCA
(po pauzie)

To jak Wróbelski z Floriańskiej. *(Po pauzie)* Nigdzie lepszej sztukamięsy nie jadłem.

INSPEKTOR
(popijając kawę)

U Cimkiewiczów, Radco. U Cimkiewiczów.

RADCA

Nie ma porównania! – Tam to był po prostu pasztet. To się po prostu rozpływało. I galon, panie, na palec.

KANONIK
(nagle, podnosząc obie drżące ręce i z trudem dźwigając się – rozbitym, jakby beczącym dyszkantem)
Aaa... flaaaa... aki! *(opada wyczerpany na krzesło i przybiera poprzednią pozę)*.

STARY HRABIA
(jak wyżej)

Mmm.

RADCA
(*jak echo*)

Albo flaki. (*Po chwili dumania*) Szkoda człowieka.

INSPEKTOR

Pewno. Jednak, co sprawiedliwe, to sprawiedliwe. Cimkiewiczze podali onegdaj indyczkę – powiadam państwu, prima. Rumiana, krucha – prima.

STARY HRABIA

Z farszem?

INSPEKTOR

Nawet z truflami.

RADCA

Pi pi pi!... (*Po chwili zjadliwie*) A pomyśleć, uważa hrabia, że ze dwadzieścia pięć lat temu – nie będzie więcej – chodziło się na róg Garncarskiej i Krupniczej do „Cimka” – bo wtedy byli Cimkami – po świecie, mydło, śledzie... Sklepina, panie. Nora. Dzisiaj wety, sorbety... Dopiero co tam wieczorem będzie.

STARY HRABIA

Ja nie idę.

INSPEKTOR

Czemuż tak.

STARY HRABIA

Im większy stół, tym większa fuszerka.

INSPEKTOR

Kiedy sprowadzają, Hrabio, kucharza...

STARY HRABIA
(*przerywając*)

Obojętne. Pamiętam... Czy to w Paryżu?... Nie nie. W Nicei. Jeden z moich znajomych także wydawał córkę. – Wynajął London House – całą górę – wina były doskonałe – za to jedzenie pod pseem. – Dlatego najwyżej dwanaście osób. Najwyżej. W przeciwnym razie szef nie dopilnuje i trzeba łykać same mowy.

KANONIK
(*zachowując się jak wyżej*)

Toooo... samo... jaaaak się zjadą naaa odpust!

STARY HRABIA

Wszędzie to samo.

INSPEKTOR

No, ale będą dotknięci.

RADCA

Niech Inspektor powie „złamani”. Arystokracji, panie, na lekarstwo, a przecież „do garnituru”...

INSPEKTOR

Radca musisz każdemu...

RADCA

Bo ich znam!

INSPEKTOR

To po co Radca u nich bywasz.

RADCA

A Inspektor po co bywasz!

STARY HRABIA

Nie kłóćcie się panowie, W dzisiejszych czasach...

KANONIK

(jak wyżej)

Maaaa...aterializm!

INSPEKTOR

Wyjechał Kanonik z materializmem. Ludzie przyzwoici, pracowici, panna niczego...

RADCA

(zjadliwie)

Brakowało jej tylko tytułu pani profesorowej.

INSPEKTOR

Tęgi chłopak. W trzydziestym którymś roku katedra...

RADCA

(dorzucając)

Przez protekcję...

STARY HRABIA

Dałbyś Radca spokój. Czego pannie Ludzie brakuje, wiadomo. Ale co się dotyczy profesora, wszystkie zagraniczne gazety rozpisywały się o tym, co to wymyślił w związku z tym jakimś tam Pipsztajnem czy Kufsztajnem...

RADCA

Tym gorzej! Tym gorzej!

INSPEKTOR

A to czemu!

RADCA

A to temu, że rozgłos zobowiązuje! – Maluje się toto, stroi się toto... manikury, pedikury... Sam Inspektor nazywałaś ją dawniej koczkodanem.

INSPEKTOR

Pozory często...

RADCA

Łapki na stół! – Gdyby nie kuchnia, to ani Hrabia, ani Inspektor... Bo, między nami powie-
dziawszy, po co? – Rozmowa? Z kim! Z Cimkiewiczem? – O czym. O szmuglach? O pa-
skach? O dostawach wojskowych w czasie wojny?

STARY HRABIA

(machając ręką)

Stare dzieje.

RADCA

Ale etyka, Hrabio! Etyka!

STARY HRABIA

W czasie wojny liczą się z etyką tylko ci, którzy w czasie pokoju trzech zliczyć nie potrafią.

INSPEKTOR

(żałośnie)

Niestety!

RADCA

Czy „niestety”, czy nie „niestety”, w każdym razie nie pojmuję, jak człowiek nauki, zamiast
szukać żony, że się tak wyrażę, w „odpowiednim” środowisku... *(Zmieniając ton)* Jasne! *(Ro-
biąc ruch liczenia pieniędzy)* Pecunia non olet! Inaczej siedziałaby za piecem i... *(machając
ręką)* E!...

STARY HRABIA

(złośliwie)

Po pańską Niuńkę... pardon! „Niućkę” też się zgłoszą.

RADCA

(zakłamanym)

Niech Bóg zachowa!

INSPEKTOR

To po co Radca się ciskasz.

RADCA

Kto się ciska! Ja się ciskam?! *(Zjadliwie)* Tym bardziej, że dosyć języków mnie wyręcza...

STARY HRABIA

(machając ręką)

Każda ma swojego Olesia.

RADCA
(nagle skupiony)

Co za Olesia.

STARY HRABIA
(do Inspektora, wskazując na Radcę)

I plecie nam tu o językach.

RADCA
(zaperzony) Za pozwoleniem! Jeżeli o panie Ludzie mowa, to nie żaden „Oleś”, tylko Leonard. O.

STARY HRABIA
Schowaj się Radca. Schowaj się.

RADCA
Cały Kraków...

STARY HRABIA
Tak, tak. Cały Kraków o „naganiaczu”. A cała Warszawa o „strzelcu”.

RADCA
(zły)
Daruje Hrabia – nie rozumiem.

STARY HRABIA
Toś Radca, widać, z nagonką nigdy nie polował.

RADCA
Owszem, owszem...

STARY HRABIA
Gdzie. W lesie?

RADCA
A gdzieżeś Hrabia chciał.

STARY HRABIA
W Bristolu, w Oazie, w Adrii... W ogóle tam, gdzie na cel bierze się „łanie”, a osłom przypawia się – rogi.

RADCA
(z wystraszonymi oczami)
I pan Leonard...

STARY HRABIA
(pełen wyrozumiałości)
No cóż. Goły jak święty turecki...

RADCA

Na miłość Boską, rajfur?!

STARY HRABIA

Od razu „rajfur”. Antreprenier.

RADCA

A ona niby całkiem... ten?!

STARY HRABIA

Świczki nie trzymałem. W każdym razie przed jakim miesiącem zrobiono jej awanię...

RADCA
(*skwapliwie*)

Kto! Kto!

STARY HRABIA

W jednym salonie jedna z pań odwróciła się do niej plecami i powiedziała na cały głos: „kogo się to dzisiaj nie przyjmuje”.

RADCA

No i cóż dalej!

STARY HRABIA

W braku laku dobry i profesor.

INSPEKTOR
(*który ze zgrozą słuchał*)

Przepraszam Hrabiego. To zanadto poważna sprawa, żeby bez powodów... Dlatego poproszę o bliższe szczegóły. – Bo że panna Luda bywała często w Warszawie...

RADCA

Zawsze z panem Leonardom! Zawsze z panem...

INSPEKTOR

Czekajże Radca! (*Do Hrabiego, ciągnąc dalej*) to się ostatecznie młodym osobom z wyższymi aspiracjami przytrafia. Ale znowu żeby w ten sposób?... Więc przede wszystkim nazwisko, Hrabio. Nazwisko. Oczywiście, o ile Hrabiemu nie robi...

STARY HRABIA

Co by mi robiło. Nic mię nie robi. Książę Aleksander Szczerbiec.

INSPEKTOR I RADCA

Książę Szczerbiec?!

STARY HRABIA

No Szczerbiec. Bardzo sympatyczny chłopak. Przystojny, pieniądze ma...

INSPEKTOR
(*u szczytu zgorszenia*)

I z tym Leonardom przy jednym stoliku?!

STARY HRABIA

Przecie i tacy są potrzebni.

INSPEKTOR

Coś okropnego!

STARY HRABIA

Ależ nic okropnego. Olesia na *Veni Creator* nie nabrali – ona ślubnym welonem „wybieli” swoją reputację – pan Leonard znajdzie nowe źródło dochodów – i wszystko pójdzie jak po maśle.

INSPEKTOR

Ależ profesor, Hrabio! Profesor!

STARY HRABIA

Nie pierwszy i nie ostatni.

RADCA

(który ciężko pracował głową, odkrywczco)

Teraz rozumiem!

KANONIK

(którego okrzyk Radcy wyrwał ze słodkiej drzemki)

Coooo?

STARY HRABIA

Radca dopiero teraz rozumie.

KANONIK

(macha ręką, po czym przeciera sobie chustką oczy).

RADCA

Nie, nie! Nie o to chodzi! Chodzi o to, że dopiero teraz rozumiem, dlaczego wczorajsza bomba nie wpłynęła na zmianę sytuacji,

STARY HRABIA I INSPEKTOR

Jaka bomba!

RADCA

Toście panowie nie słyszeli?

INSPEKTOR

(usprawiedliwiając się)

Do pogrzebu siedziałem w domu.

RADCA

(prawie oburzony)

A Hrabia! Cóż Hrabia robił!

STARY HRABIA

Com robił, tom robił. No jazda. Jazda.

INSPEKTOR

Za pozwoleniem. Przede wszystkim źródło.

RADCA

Ktoś, kogo wszyscy znamy i kto był przy tym obecny.

INSPEKTOR

Wystarcza.

RADCA

A więc słuchajcie, panowie. W czasie proszonej kolacji...

INSPEKTOR

U kogo!

RADCA

U Cimkiewiczów – lokaj wnosi na „srebrnej tacy” –
(*zjadliwie*) Wersal, panie – depeszę, podaje ją profesorowi...

INSPEKTOR

Za pozwoleniem. Widzę tu pewną nieścisłość. Depesz nie adresuje się do domu przyszłych teściów adresata.

RADCA

(*zjadliwie*)

Jeśli się nie mylę, adresaci miewają czasem pokojówki, które, wiedząc, gdzie się ich pan obraca, mogą z własnej inicjatywy...

INSPEKTOR

(*przerywając*)

Słuszne. Słuszne.

RADCA

(*jak wyżej*)

Przypuszczam. (*Do Hrabiego*) Otóż podaje ją profesorowi, profesor, uważa Hrabia, otwiera jak gdyby nigdy nic, nagle (*z akcentem na „a”*) tabło! Zielenieje, pot występuje mu na czoło, zrywa się, siada z powrotem, wreszcie niby to naturalnym głosem: „przepraszam bardzo, muszę z odpowiedzią” – i ku drzwiom! Cóż, kiedy z Cimkiewiczami nie tak łatwo. Cimkiewiczowa i panna Luda zastępują mu drogę, pytają: „co kto, jak” – a Cimkiewicz, jak to Cimkiewicz, zanim się profesor opatrzył, cap za depeszę i czyta.

STARY HRABIA

Masz babo placek!

RADCA

Właśnie. (*Ciągnąc dalej*) Oczywiście robi się straszna awantura. Profesor żąda – notabene w ostrym tonie – natychmiastowego zwrotu. Na to Cimkiewicz – z tym kamiennym spokojem,

co to najlepiej od razu do mysiej dziury – przytaczam dosłownie: „Panie zięciu, nie przypuszczałem, żeby taka «drobnostka» – podkreślił słowo drobnostka – zrobiła na tobie tak silne wrażenie. Masz – tu zwrócił profesorowi depeszę – idź z odpowiedzią, ale nie zapominaj o naszym jutrzejszym (z polska) rande wu. Dobranoc!”

STARY HRABIA

Krótko i węzłowato.

INSPEKTOR

A cóż na to profesor!

RADCA

A nic. Coś tam bąknął, dał nura i tyle go widziano.

INSPEKTOR

No, a po jego wyjściu?

RADCA

Cisza. Obecni zwąchali, że to o grube rzeczy chodzi. i chociaż Cimkiewicz wszystko zwał na „głupstwo, o którym nawet mówić nie warto”, krążą, panie, po mieście pogłoski...

INSPEKTOR I HRABIA

Na przykład?

RADCA

No na przykład – wśród innych – że metryka „pana profesora” należy do kategorii metryk, że się tak wyrażę, „lewicowych”.

INSPEKTOR
(oburzony)

Plotki!

RADCA

Nie twierdzą, że nie plotki, aczkolwiek z drugiej strony, kto jak on, unika najmniejszej wzmianki o swoich stosunkach rodzinnych...

INSPEKTOR
(wzburzony)

Za pozwoleniem! Ani to, ani wczorajsze zajście nie upoważnia...

STARY HRABIA

Kochany Inspektorze. Jeżeli ma ojca pełnej krwi, to między Bogiem a prawdą czysty zysk, bo pani Luda będzie mogła szcycić się czymś lepszym niż tym, że jej panięńskie nazwisko „Cimkiewicz” składa się z tych samych liter, co „Mickiewicz”.

INSPEKTOR

Nigdy nie słyszałem...

RADCA
(uderzając się pięścią w piersi)

Na własne uszy! Na własne uszy!

KANONIK

(wstrząsany starczym, rozkaszlanym śmiechem, zażywając tabakę)

Do...o...obre! Do...o...obre!

(W lewych drzwiach staje PAN FRANCISZEK i nerwowo rozgląda się po scenie, jakby kogoś szukał).

RADCA

(wskazując wzrokiem Pana Franciszka, znacząco)

Uwaga!

INSPEKTOR

(chrząkając)

Khem!

STARY HRABIA

(chrząkając)

Khem!

KANONIK

(który po machnięciu ręką zażywał tabakę, kichając)

Psik!!

(Tymczasem PAN FRANCISZEK, zawiedziony w poszukiwaniach, przechodzi przez scenę i znika w lewych drzwiach).

RADCA

A to pech!

INSPEKTOR

Bo w kawiarni, przy otwartych drzwiach...

STARY HRABIA

Śmiej się, Inspektorze. Ma głowę nabitą czym innym. Nawet nas nie zauważył.

RADCA

(zaniepokojony)

Albo też nie chciał zauważyć. – Wraca!

(Wszyscy czterej przybierają niewinną minę).

PAN FRANCISZEK

(istotnie wrócił, usiadł na kanapce z lewej, kapelusz rzucił na krzesło, wyjął z jednej kieszeni „wieczne pióro”, a z drugiej papier listowy, kopertę i marki, po czym nerwowo zabrał się do pisania. Ale cóż, kiedy po umieszczeniu daty, miejsca pobytu i nagłówka – ani rusz dalej! – Zaczęło się ściąganie brwi, tarcie palcami czoła, przygryzanie dolnej wargi. Wreszcie decyzja – jedna linia, druga linia – i znowu stacja, tym razem, zdaje się, z mozolną zmianą myślowych torów).

RADCA

(do Emerytów, którzy z wyjątkiem Kanonika śledzili każdy ruch Pana Franciszka i porozumiewali się przymrużaniem jednego oka oraz tym specjalnym grymasem ust, mającym obwieszczać, że odkrywa się źródło cudzych niepowodzeń – prawie szeptem)

Coś, panie, tego ten.

STARY HRABIA
(potakując głową)

A jakże.

INSPEKTOR

Może zrywają.

PAN FRANCISZEK
(nagle odkłada pióro, rozpiiera się na kanapce i z rękami w kieszeniach patrzy nic nie widzącym wzrokiem na Emerytów).

RADCA I INSPEKTOR
(spuszczają oczy – zwłaszcza Radca czyni to skwapliwie)

STARY HRABIA
(z półuśmiechem wytrzymuje wzrok Pana Franciszka)

PAN FRANCISZEK
(nagle zrywając się i składając ukłon)

Och, przepraszam...

RADCA I INSPEKTOR
(którzy prawie podskoczyli na krzesłach, oddają ukłony).

STARY HRABIA
W takim dniu wolno Profesorowi nie poznawać nawet rodzonej matki.

PAN FRANCISZEK
(zachwiał się na nogach i dlatego tylko nie upadł, że kurczowo uczeplił się krzesła).

INSPEKTOR
(zrywając się i podbiegając do Pana Franciszka)
Co Profesor wyprawiasz?

PAN FRANCISZEK
(ocierając chustką czoło, lekko zdyszany)
Nic, nic. Już dobrze *(Stukając pierścionkiem w marmur stolika)* Dziękuję. *(do Kelnera, który wszedł z lewej)* Czarna.

KELNER
(obserwując z ciekawością Pana Franciszka)
Proszę bardzo.

INSPEKTOR
(do Kelnera)
I kieliszek koniaku.

PAN FRANCISZEK
(siadając na kanapce)
Tak, tak. I kieliszek koniaku.

KELNER

(po pokręceniu głową)

Proszę bardzo *(wychodzi na lewo)*.

INSPEKTOR

(siadając obok Pana Franciszka)

A często Profesora tak napada?

PAN FRANCISZEK

(ponownie ociera czoło)

Dosyć często. Przy większym zmęczeniu... Ale to nic.

INSPEKTOR

(od czasu do czasu zerkając na list pisany przez pana Franciszka)

Zawsze radziłbym uważać. Przede wszystkim na solucję. 20 minut przed rannym śniadaniem szklaneczkę gorzkiej wody z dwiema pastylkami Vichy, a zapewniam, jak ręką odjął.

PAN FRANCISZEK

(byle coś powiedzieć)

Nie omieszka skorzystać...

INSPEKTOR

(coraz częściej starając się odczytać nagłówek listu)

Bo nie ma gorszej rzeczy niż ucisk żołądka na serce.

PAN FRANCISZEK

(jak wyżej)

Oczywiście.

INSPEKTOR

(wstając i podając mu rękę)

Więc żeby Profesor nie zapomniał: 20 minut przed rannym śniadaniem...

PAN FRANCISZEK

(który również powstał, z dłonią w dłoni Inspektora, już nerwowo)

...i dwie pastylki Vichy. Serdecznie panu dziękuję.

INSPEKTOR

Drobnostka. *(Wraca na swoje miejsce, a od czasu do czasu spogląda ukradkiem na Pana Franciszka)*.

PAN FRANCISZEK

(zaraz po odejściu Inspektora rzucił się do pisania. Teraz poszło na dobre. Zapisał jedną stronę – zabrał się do drugiej i nawet nie zauważył, że Kelner z wiecznym „proszę bardzo” postawił przed nim tackę z czarną kawą i kieliszkiem koniaku).

INSPEKTOR

(gdy usiadł w gronie Emerytów, pochylając się w stronę Rady, prawie szeptem)

Muszę skapitulować. Lewa ręka.

RADCA

(pochylając się w stronę pochylonego Inspektora, również prawie szeptem)
A pisze, panie, do matki, żeby się na ślub nie zwała.

INSPEKTOR

(wciąż prawie szeptem)

Kiedy przygotował znaczki pocztowe.

RADCA

To co.

INSPEKTOR

No to korespondencja zamiejscowa.

RADCA

Dlaczego. Może być równie dobrze i miejscowa.

INSPEKTOR

Za późno, Radco. Ślub o siódmej. Wysłałby umyślnym.

STARY HRABIA

(dołączając swoją głowę do głów Inspektora i Radcy, tak że tworzy się rodzaj poufnego, trójłysinowego listka koniczyny)

Czekajcie, panowie. Inaczej. Bał się jej obecności – nie zawiadomił o ślubie – na pewno marna konduita lub kondycja – mimo to zwiedziła się – postanowiła depeszować, że przyjeżdża – doręczono mu depeszę u Cimkiewiczów – przerażony polecił „z odpowiedzią”, żeby broń Boże tego nie robiła – przez całą noc gryzło go sumienie – teraz usprawiedliwia się listownie – z początku jakoś nie szło...

RADCA

(wtrącając)

Dopiero bodziec Hrabiego...

STARY HRABIA

Co za bodziec.

RADCA

Że w takim dniu wolno mu nawet rodzonej matki nie poznawać...

INSPEKTOR

Radzę opuścić lokal. Na ulicy będziemy swobodniejsi

STARY HRABIA

(wstając)

Słuszne.

RADCA

(wstając)

Słuszne.

INSPEKTOR
(do Kanonika, który zasnął)

Idziemy.

KANONIK
(nie reaguje)

I

INSPEKTOR
(biorąc Kanonika za ramię)

Księżo Kanoniku! Idziemy!

KANONIK
(z trudem powstając)

juuuu...uż?

INSPEKTOR
A już. Inaczej spóźnimy się na obiad.

KANONIK
(bezradny)

Kaaaapelusz, laa...aska...

PŁATNICZY
(nadbiega z lewej)

Do usług Księdza Kanonika!

(Wszyscy czterej, po złożeniu należności na stoliku, zaopatrzeni w zdjęte z wieszadła kapelusze i laski, zwracają się gęsiego w stronę lewych drzwi. Płatniczy zgarnia ze stołu pieniądze – z uśmiechem na ustach patrzy za Emerytami, po czym, podchodząc do okna, śledzi ich dalsze kroki. Tymczasem Emerycy postanowili przed opuszczeniem lokalu pożegnać się z Panem Franciszkiem. Warto? Nie warto? – Jego kawa stoi nie tknięta... w kieliszku złoci się koniak, pióro jeździ po papierze jak opętane... Nie warto. Przeto zniknięcie w drzwiach, ale po chwili – wiedział Płatniczy, co robi – postój na świeżym powietrzu i ożywiona dyskusja. Wskazywania w stronę Pana Franciszka, zaprzeczenia, potwierdzenia, perswazje z jednoczesnym chwytnością się za guzik – wreszcie exodus oczywiście z widocznym dojściem do szeregu nieporozumień).

(W czasie tej sceny wchodzi Cimkiewicz. Krępy, barczysty, o pospolitych rysach twarzy – obejście szorstkie, ale z tym wszystkim powierzchowność ujmująca prostotą i szczerością).

CIMKIEWICZ
(sposstrzegając Pana Franciszka)

Jesteś. To dobrze. *(Wyciągając rękę)* Jak się masz.

PAN FRANCISZEK

(który szybko powstał i schował poprzednio pisany list do kieszeni – ściskając dłoń Cimkiewicza)

Dzień dobry ojcze *(chce ustąpić miejsca na kanapie).*

CIMKIEWICZ
(wieszając kapelusz i laskę na wieszadle)

Siedź, siedź. Czy krzesło, czy kanapa... *(Do Płatniczego)*

Czarna.

PŁATNICZY

(odchodząc od okna)

Proszę bardzo. *(Zbiera naczynie po Emerytach i po trzepnięciu serwetą w marmur stolika, co ma oznaczać sprzątanie, wychodzi w lewo).*

CIMKIEWICZ

(po wytrzymaniu niemiłej pauzy, w czasie której obaj panowie rzucali na siebie badawczymi spojrzeniami) Wybrałem porę obiadową, bo o tym czasie nigdy tu nikogo nie ma, a chciałem ogadać z tobą pewne kombinacje finansowe...

PAN FRANCISZEK

(przerywając – skwapliwie)

Oh... zostawiam to w zupełności... *(urywa, zmrożony wzrokiem Cimkiewicza).*

CIMKIEWICZ

(ciągnąc dalej, jak gdyby Pan Franciszek był ust nie otworzył)

...jednak po wczorajszym zajściu uważam je za nieaktualne, wobec czego przystąpię od razu do... *(bębniąc palcami w stolik) rzeczy.*

PAN FRANCISZEK

(niepewnym głosem)

Słucham.

CIMKIEWICZ

(po wytrzymaniu pauzy)

Od kogo była ta depesza.

PAN FRANCISZEK

(bardzo zmieszany)

Przecież ją ojciec... czytał.

CIMKIEWICZ

(twardo)

Samo imię nikomu nic nie mówi. *(Po chwili)* Oczywiście nikomu oprócz „adresata”. *(po chwili)* Ale skoro „adresat”... *(Widząc, że wchodzi Płatniczy z tacką, na której stoi filiżanka czarnej kawy i szklanka z wodą)* Czekaj. *(do Płatniczego)* Stawiaj pan i odjazd.

PŁATNICZY

(stawiając tackę przed Cimkiewiczem)

Proszę bardzo *(wychodzi w prawo).*

CIMKIEWICZ

(po wyjściu Płatniczego, ciągnąc dalej) ...ale skoro „adresat” zrywa się od stołu, zaczyna kłapać zębami ze strachu...

PAN FRANCISZEK

Wybaczy ojciec...

CIMKIEWICZ

(uderzając dłonią w stół)

Wszyscy widzieli! – *(Ciągnać dalej)* a mimo to nie puszcza pary z gęby, to jego przyszły teść, który pokochał go jak rodzonego syna i chełpił się nim aż do śmieszności, ma obowiązek postąpić tak, jak ja postąpiłem, żeby dowiedzieć się... *(z lekkim wybuchem w głosie)* prawdy! *(po chwili)* Dlatego pytam cię po raz drugi: od kogo była ta depesza.

PAN FRANCISZEK

(po chwili wahania)

Od... szwagra.

CIMKIEWICZ

Czemu kłamiesz.

PAN FRANCISZEK

Nie kłamię.

CIMKIEWICZ

I jego przyjazd wywarł na tobie tak piorunujące wrażenie, że musiałeś natychmiast „z odpowiedzią”, chociaż cię o żadną „odповідź” nie prosił?

PAN FRANCISZEK

(bardzo zmieszany, milczy).

CIMKIEWICZ

A gdzieżeś wysłał tę „odповідź”. Do Paryża? – Jeżeli przyjeżdża dzisiaj, to wczoraj wieczór był już co najmniej w Berlinie.

PAN FRANCISZEK

(przez zaciśnięte gardło)

W Warszawie.

CIMKIEWICZ

„W Warszawie”! Warszawa długa i szeroka.

PAN FRANCISZEK

(najwidoczniej goniąc w piętke)

Staje, a raczej stawał, w Europejskim.

CIMKIEWICZ

I dotąd tam stoi?

PAN FRANCISZEK

Depeszowałem, żeby nie przyjeżdżał.

CIMKIEWICZ

A to czemu! Natłukł się tyle świata, bez jego pomocy byłbyś – cytuję twoje własne słowa – zdychał pod płotem jak pies...

PAN FRANCISZEK

(jak na szpilkach)

Mimo to uznałem za stosowne... *(urywa)*.

CIMKIEWICZ

(zwracając się nagle w prawo)

Panie płatniczy!

PŁATNICZY

(wchodząc)

Proszę bardzo.

CIMKIEWICZ

Niech no pan zamówi na moje konto pilną rozmowę z Warszawą. Pisz pan: pięćset pięćdziesiąt sześć dwadzieścia.

PŁATNICZY

Proszę bardzo. *(Pisząc ołówkiem na mankiecie)* Pięćset pięćdziesiąt sześć dwadzieścia *(wychodzi w lewo – po czym słycać, jak wykonuje polecenie Cimkiewicza)*.

CIMKIEWICZ

(wyjmując papierośnicę i zapalając papierosa)

A my zabierajmy się do kawy *(wstaje, bierze z sąsiedniego stolika gazetę, po czym siada na dawnym miejscu i niby to czyta popijając kawę)*.

(Ciężka pauza urozmaicona szelestem przeglądanej gazety).

PAN FRANCISZEK

(na mękach)

Ojciec mi tego nie zrobi.

CIMKIEWICZ

(zajęty gazetą)

Zrobię.

(Pauza).

PAN FRANCISZEK

To ojciec tego pannie Ludzie nie zrobi.

CIMKIEWICZ

(spoglądając Panu Franciszkowi prosto w oczy)

Ludzie? A cóż to Ludę obchodzi.

(Pauza).

PAN FRANCISZEK

Ojciec wie, że nigdy nie byłbym się odważył posunąć bez wyraźnej... zachęty...

CIMKIEWICZ

(już zajęty gazetą)

Uważałem cię za porządnego człowieka.

PAN FRANCISZEK

Nie myślę wcale o ojcu...

CIMKIEWICZ

(jak wyżej)

Widocznie cię kochała.

PAN FRANCISZEK

(drżącym głosem)

Właśnie.

CIMKIEWICZ

(jak wyżej)

Właśnie.

(Pauza)

PAN FRANCISZEK

Prócz tego ojciec wie, że nie kieruje mną żaden... interes... że byłbym najszcześniejszy, gdyby w ogóle cały posag...

CIMKIEWICZ

(składając gazetę i przerywając, twardo)

Na razie nie wiem nic. Na razie wiem tylko tyle, że twoi rodzice pomarli, zanim ukończyłeś uniwersyteckie studia, że zostałeś z dziesięcioma palcami, że twój szwagier dostarczył ci potrzebnych środków...

PAN FRANCISZEK

A nawet o tym zabronił mi ojciec wspominać...

CIMKIEWICZ

(twardo)

Bo to nikomu nie przynosi ujmy, a ludziom żytym ze sobą wydaje się większym głupstwem niż ludziom... Zresztą... mogłeś próbować po twojemu.

PAN FRANCISZEK

Po mojemu.

CIMKIEWICZ

A po twojemu! Ale widocznie było ci na rękę, nawet „bardzo” na rękę...

PAN FRANCISZEK

Przeciwnie. Zatręwało i zatręwa mi każdą chwilę. Cóż, kiedy... jeżeli nawet to, co nikomu nie przynosi ujmy, może zranić czy zrazić, to trzeba być konsekwentnym...

CIMKIEWICZ

(przerywając i potrząsając wskazującym palcem)

...w oszczędzaniu drugich, nie siebie!

(Dzwonek i „hallo” Płatniczego)

PAN FRANCISZEK

Toteż niech mi ojciec wierzy...

CIMKIEWICZ

Wierzę i dlatego właśnie...

PŁATNICZY

(zjawiając się w lewych drzwiach)
Warszawa mówi! *(znika)*.

CIMKIEWICZ
(szybko wstając)

Idę! *(szybko wychodzi w lewo)*.

PAN FRANCISZEK

(biorąc się oburącz za głowę, półgłosem)
No i cóż teraz będzie. No i cóż teraz będzie.

GŁOS CIMKIEWICZA
(za sceną)

Hallo!

PAN FRANCISZEK
(wstaje i z przerażeniem słucha).

CIMKIEWICZ

Hotel Europejski? – Tutaj Cimkiewicz. – Czy przypadkiem nie stanął u was inżynier Feliks Zajączkowski z Paryża? – *(Po chwili)* Czekam. *(Po dłuższej chwili)* Słucham. *(po chwili)* A czy w ogóle u was kiedykolwiek stawał? *(po chwili)* Dziękuję.

PAN FRANCISZEK
(szybko siada i stara się przybrać obojętny wyraz twarzy).

CIMKTEWICZ

(widocznie wzburzony, wchodzi na scenę, zdejmując z wieszadła kapelusz i laskę, kładzie kapelusz na głowę i wali ku prawym drzwiom).

PAN FRANCISZEK
(który nie spuszczał z Cimkiewicza przerażonego wzroku, gdy tenże dochodził do drzwi, zrywając się)
Ojcze! są przecież okoliczności...

CIMKIEWICZ

(który szybko zwrócił się w stronę Pana Franciszka, wsparty oburącz na lasce)
Nie zwracaj mi głowy okolicznościami, tylko odpowiadaj, kto, skąd i z czym! *(Wyjmując z kieszeni zegarek i potrząsając nim)* Daję ci dwie minuty czasu do namysłu. Odpowiesz? Dobrze. Nie odpowiesz? to ja za ciebie odpowiem.

PAN FRANCISZEK
Mój szwagier, z Warszawy, na ślub.

CIMKIEWICZ

(z obelżywą ironią)

„Twój szwagier, z Warszawy, na ślub”.

PAN FRANCISZEK

(z lekkim rozdrażnieniem)

Tak jest – mój szwagier, z Warszawy, na ślub.

CIMKIEWICZ

(bardzo twardo)

Jesteś kłamcą, masz brudną... *(zacina się)*

PAN FRANCISZEK

(jak uderzony batem, prostując się, ostro)

Chciał pan powiedzieć „przeszłość”?

CIMKIEWICZ

(który widocznie się zmieszał, nadrabiając miną)

Com chciał powiedzieć, tom chciał powiedzieć – w każdym razie ukrywasz coś, co może cię skompromitować, i zadajesz się z jakimś indywiduum, które trzyma cię w garści i które, wężąc gruby posag mojej córki...

PAN FRANCISZEK

(zdławionym głosem)

Za pozwoleniem! – Początkowo zdumiewała mię trafność pańskich spostrzeżeń. Obecnie przeraża mię ich poziom. I gdyby nie fakt, że mam brudną, nie tyle „przeszłość”, ile „teraźniejszość”, to czułbym się w prawie zakończyć naszą rozmowę stwierdzeniem, że dotychczas obracał się pan w towarzystwie samych łajdaków i świntuchów *(przy ostatnim słowie usiadł)*.

CIMKIEWICZ

(groźnie)

Panie Szywalski!

PAN FRANCISZEK

W nieobecności pańskiej córki „Szywała”, panie... *(z wybuchem)* „Cimek”!!

CIMKIEWICZ

(który silnie drgnął, nagle niejako dziadzieje, zdejmując kapelusz, wiesz go wraz z laską na wieszadle, po czym zajmuje dawne miejsce)

PAN FRANCISZEK

(oparty rękami o stół jak mówca lub prelegent, nie spuszczać z oka Cimkiewicza, z coraz widoczniejszym wzburzeniem, po chwili)

A co się dotyczy *(z naciskiem)* „moich” brudactw, niech pańską ciekawość zaspokoi ten szczegół, że kiedyś nosił na grzbiecie nie frak, nie smoking, nie marynarki, ale łachmany i cegły – tak, szanowny panie, po półtora centnara, przez osiem godzin dziennie, żeby móc nocą, w norze na sześć osób, przy kartach, kłótniach, pijatykach, pracować dalej naukowo – że w tych okropnych czasach to pańskie „indywiduum” – „wężąc”, zamiast „grubego posagu” pańskiej córki, gruby upadek moich sił fizycznych i moralnych – zaczęło harować za dwóch, byle mię dopchać do doktoratu, a w zamian ja, „profesor doktor Franciszek Szywalski”

ski”, „zrywam się od stołu” i „pędzę z odpowiedzią”:nie przyjeżdżaj, ponieważ twoja obecność... (*siadając*). Resztę niech sobie pan dośpiewa.

CIMKIEWICZ

(*starając się, ale na próżno, utrzymać w dawnym tonie, po chwili*)

Nie miałem zamiaru krzywdzić. Nie mam zwyczaju grzebać w cudzych sprawach. Znam przebijanie się łokciami przez życie i rozumiem potrzebę... innej beczki. Jednak prosta uczciwość... (*Z goryczą*) „Komu to o niej gadać”. Prawda? – (*Z lekkim wybuchem*) Otóż nieprawda, bo tutaj o mnie nie chodzi! Ja o „wysokich progach” nigdy nie marzyłem. Mnie ani karty, ani klótnie, ani pijatyki nie zamącały spokoju. Dopiero gdym w ordynarne (*pokazując swoje ręce*) o! w takie chamskie łapska dostał filigranowe cacko, mimozę, którą wystarcza palcem dotknąć – sam wiesz najlepiej czy przesadzam – dopiero wtedy musiałem dla niej – (*bijąc się pięścią w piersi*) Bóg mi świadkiem, wyłącznie dla niej – wszystko precz! Nazwisko precz, środowisko precz, skrupuły precz... (*Po chwili wpatrywania się w pana Franciszka*) Gardzisz mną?

PAN FRANCISZEK

Bynajmniej. Niech ojciec mówi dalej.

CIMKIEWICZ

Bo tak się dziwnie patrzysz...

PAN FRANCISZEK

Współczuję.

CIMKIEWICZ

Współczujesz? – Współczuj. – Współczuj! Czarna robota zostawia czarne ślady. (*Wskazując okno*) Tam, na szerokim świecie, zmyjesz je byle czym! Wódką! Koniakiem! Szampanem! Przyjdą złopać! – A co będą o tobie za plecami? po cichu? żeby do ciebie „przypadkiem nie doszło”? (*Machając ręką*) mniejsza! – Ale widzisz (*pukając się palcem w czoło*), tu? – Tu żaden szampan nie poradzi! Z tym trzeba się mieć na baczności! Inaczej ci, którzy z bliska patrzą – a tylko bliscy z bliska patrzą – zobaczą przez twoje oczy, jak przez szybę sklepową, cały kram – z wyjątkiem tego (*potrząsając pięściami*), że twoje chamskie łapska potrafią dla ich szczęścia nie tylko kraść, ale w danym razie byłyby w stanie i... zabijać!

(*Panem Franciszkiem wstrząsa silny dreszcz*).

CIMKIEWICZ

Co ci jest!

PAN FRANCISZEK

(*z niesamowitym spokojem*)

Nic. Ucieszyłem się, że ojciec mówi to samo.

CIMKIEWICZ

(*z widoczną ulgą*)

Co ty?

PAN FRANCISZEK

(*z niesamowitym spokojem*)

Nie. Co niegdyś moja matka. Tylko że moja matka to... zrobiła.

CIMKIEWICZ
(z przerażeniem)

Zrobiła?!...

PAN FRANCISZEK

(już tragiczny w swoim spokoju)

Tak. Zrobiła. Zabrakło mi na wpisowe, na książki, na ubranie... zagroziłem – po chłopsku – że się powieszę... uciekłem szukać (z goryczą) „stosowniejszej” pracy... i... zrobiła.

CIMKIEWICZ

(opadając na krzesło – z łokciami na stoliku i z twarzą ukrytą w dłoniach, półgłosem)
Jezus Maria!...

PAN FRANCISZEK

A to był... A to był... mój starszy...

CIMKIEWICZ
(bez głosu i bez ruchu)

Jezus Maria!

PAN FRANCISZEK

Tak. *(po chwili)* Jako chłopiec ze stryjem do Ameryki... Po dwudziestu latach bez zapowiedzi... Chciał zrobić niespodziankę... Rodzice na targu... Zdrożony zasnął... nie poznali... W walizce dolary... *(Po chwili jakby budząc się)* No i musiałem również wszystko precz. Nazwisko precz, środowisko precz, w końcu i „prostą uczciwość” precz... *(Po chwili)* Chyba wystarczy. *(po chwili)* Tak. Wystarczy. *(Wstając, zdejmując z palca zaręczynowy pierścionek i kładąc go przed Cimkiewiczem)* Więc nie pozostaje mi nic innego, jak oddać ten pierścionek do pańskiej dyspozycji i... *(zwracając się w lewo i wołając do Płatniczego)* Płacić!

PŁATNICZY
(wchodząc)

Proszę bardzo.

CIMKIEWICZ

(który do tej pory nie zmienił ani pozy, ani nie wykonał najmniejszego ruchu, zrywając się, z wybuchem do Płatniczego, prawie ryczy)

Jazda!!!

PŁATNICZY
(z pyskiem)

Nie potrzebuje pan krzyknąć!!

CIMKIEWICZ
(nagle pokornie)

Przepraszam pana. Najmocniej pana przepraszam. Będzie pan łaskaw... trochę później.

PŁATNICZY
(jeszcze obrażony, wyniośle)

Proszę bardzo. *(Odchodząc mruczy pod nosem)* Ale nie potrzebuje pan krzyknąć.

CIMKIEWICZ

(siadając i dając znak Franciszkowi, by to samo uczynił – zupełnie bez głosu)
Siadaj.

PAN FRANCISZEK

(jak skazaniec, śledząc każdy ruch Cimkiewicza, siada)

CIMKIEWICZ

(po chwili bawienia się pierścionkiem, podając go Franciszkowi, już zupełnie szeptem)
Włóż to na palec.

PAN FRANCISZEK

(zrywając się i wyciągając obie ręce w stronę Cimkiewicza, z wybuchem wdzięczności)
Ojczel!!

CIMKIEWICZ

(wciąż szeptem, twardo)

Cicho!

(Pauza, w czasie której Pan Franciszek zupełnie zgaszony, usiadł i powoli włożył pierścionek na palec).

CIMKIEWICZ

(ciężko, nie patrząc na Pana Franciszka)
Trzeba mi było od razu.

PAN FRANCISZEK

(jakby ze łkaniem w głosie)

Ojczel...

CIMKIEWICZ

(jak wyżej)

Rozumiem.

PAN FRANCISZEK

Przecież Ludę tak samo... jak ojciec...

CIMKIEWICZ

(ciężko)

Powiedziałem, że rozumiem. *(po chwili)* Gdzie matka.

PAN FRANCISZEK

Matka?... Naprawdę nie żyje.

CIMKIEWICZ

Akt zejścia?

PAN FRANCISZEK

Umarła w szpitalu... obłąkanych.

Słowo? CIMKIEWICZ

Słowo. PAN FRANCISZEK

A ojciec? CIMKIEWICZ

Także naprawdę umarł. PAN FRANCISZEK

Gdzie. CIMKIEWICZ

W kryminale. PAN FRANCISZEK
(po chwili wahania)

Za co. CIMKIEWICZ

Za spółnictwo. PAN FRANCISZEK

Też dla ciebie? CIMKIEWICZ

Nie. PAN FRANCISZEK

Pospolity zbrodniarz. CIMKIEWICZ

Alkoholik. *(Szybko dodaje)* Ale sam się oskarżył.
PAN FRANCISZEK
(z widocznie wyschniętym gardłem)

Obojętne. *(Po chwili)* A szwagier w Warszawie. Nie w Paryżu. CIMKIEWICZ

Tak. PAN FRANCISZEK
(wyjmując z kieszeni poprzednio pisany list i kładąc przed Cimkiewiczem)

I nie Zajączkowski. CIMKIEWICZ

Nie. PAN FRANCISZEK

CIMKIEWICZ
I nie przedsiębiorca budowlany.

PAN FRANCISZEK
Bałem się...

CIMKIEWICZ
(uderzając dłonią w stół)
Rozumiem! *(po chwili)* Co robi.

PAN FRANCISZEK
Nosił razem ze mną cegły... obecnie... szofer.

CIMKIEWICZ
Ma własny wóz?

PAN FRANCISZEK
Taksówkę.
(Pauza).

CIMKIEWICZ
I wziął cię na swoje barki.

PAN FRANCISZEK
I mnie, i moją siostrę.

CIMKIEWICZ
To chyba od ust sobie odejmował.

PAN FRANCISZEK
Z początku tak.
(Druga pauza).

CIMKIEWICZ
O wszystkim wie?

PAN FRANCISZEK
O wszystkim.
(Trzecia pauza).

CIMKIEWICZ
Twoja depesza... poskutkuje?

PAN FRANCISZEK
Pospieszny już wykluczony. Wracam z dworca.

CIMKIEWICZ
(wyjmując z kieszeni portfel)
Czekaj. *(Wyjmując z portfela „kieszonkowy” krakowski rozkład jazdy i szukając w nim późniejszych pociągów z Warszawy)* Jest jeszcze osobowy. Siedemnasta pięćdziesiąt.

PAN FRANCISZEK

Za późny.

CIMKIEWICZ
(*chowając portfel do kieszeni*)

No i jest jeszcze własny wóz.

PAN FRANCISZEK

Wozem?

CIMKIEWICZ

Czemu nie.

PAN FRANCISZEK
(*po chwili*)

Wątpię.

CIMKIEWICZ
(*biorąc list od Pana. Franciszka*)

A to?

PAN FRANCISZEK

Wyjaśnienie.

(*Czwarta pauza.*)

CIMKIEWICZ
(*odrzucając list*)

Powtarzam, o mnie nie chodzi. Mnie i pałką nie ubije. Ale muszę cię ostrzec, że gdyby przypadkiem przyjechał...

PAN FRANCISZEK
(*z bolesnym skurczem ust zasłania oczy.*)

CIMKIEWICZ

Uspokój się. Jeżeli taki szlachetny chłopak...

PAN FRANCISZEK
(*podając Cimkiewiczowi list*)

Niech ojciec przeczyta.

CIMKIEWICZ
(*po chwili czytania, odrzucając list*)

Bzdury! – Napisz mu tak: I ja, i mój teść włączymy za sobą... Albo nie. Inaczej. Napiszesz mu, że obaj mamy do czynienia z istotą przerozoną. Z naszą księżniczką z naszej bajki i że wiary w tę bajkę za żadną cenę utracić nie chcemy! (*Opanowując się*) Bo gdybyśmy ją utracili (*prawie z lękiem*), to co! (*Znów opanowany*) Mówią o niej „egoistka”. Mówią o niej „przewrócone w głowie”. Niechaj mówią! Bylebyśmy im racji przyznać nie musieli! – A chcąc tego uniknąć, nie trzeba wystawiać na próby. Wszak jesteśmy ludźmi realnymi! – Cóż nam po próbach i dowodach. My bez prób wiemy, że najpiękniejsze ciało napelnia cię wstrętem, jeżeli sięgniesz do wnętrzości. – (*Po chwili*) To samo, widzisz, z charakterem.

PAN FRANCISZEK

Jeżeli dobrze zrozumiałem, obawia się ojciec...

CIMKIEWICZ

(prawie gorączkowo)

Niczego się nie obawiam! Nie ma człowieka bez wad, ale i nie ma wielu panien z jej zaletami. Ten wdzięk! To wzięcie! Ta inteligencja! Ta kultura! – *(Po chwili)* Wreszcie... po pierwszym dziecku nauczy się służyć, jak ja jej dotąd służyłem, i będziecie mieli raj na ziemi...

PAN FRANCISZEK

...pod warunkiem, że o moim szwagrze...

CIMKIEWICZ

Tak jest, pod warunkiem, że o twoim szwagrze i o naszych przeszłościach cicho sza!

PAN FRANCISZEK

(drżącymi palcami masując sobie skroń)

Dołożę wszelkich starań...

CIMKIEWICZ

Za mało! Odpowiedz „tak” albo „nie”!

PAN FRANCISZEK

(bezzadnie)

A jeśli przypadkiem przyjedzie...

CIMKIEWICZOWA

(wystrojona, zawsze o jeden stopień w hierarchii sukien za wysoko – brwi hebanowe, wargi karminowe, policzki róże róż, biust sprzed 30 lat, a z tym wszystkim jakaś kurza poczciwość, pełna ustawicznych przejęć i niepokojów – wpadając i załamując ręce)

Jessus! Jessus! A wy tu jeszcze siedzicie! *(Ten okrzyk nie zgadza się z rzeczywistością, gdyż obaj panowie powstali odpowiednio zamaskowani. Pan Franciszek szybko schował do kieszeni poprzednio pisany list)*. Mielicie czekać na mnie w Grandzie. Idę do Granda, ani śladu! Idę do Starego Teatru, ani śladu! Myślę sobie: „na pewno tu”. No i naturalnie tu! Zmiłujcie się! Ręce mi po prostu odpadają! Cały dom do góry nogami! Za trzy godziny zaczną się schodzić... Jessus! Byłabym na śmierć zapomniała! Cóż depesza!

CIMKIEWICZ

(który jednocześnie z „byłabym zapomniała” zawołał na Płatniczego „płacić”, do Cimkiewiczowej)

Na szczęście nic groźnego.

CIMKIEWICZOWA

Chwała Bogu! Luduska była w takim stanie... *(Do Płatniczego, który wszedł z lewej)* Panie Płatniczy! Ciastek. 40 sztuk tortowych. Najpóźniej na godzinę piątą, jak było umówione. A oprócz tego na wagę murzynki... Co ja mówię! Nie murzynki, tylko te, te te!... No! Już mam! Trzy kilo takich, co to, wie pan, z wierzchu andrut, a w środku... I co jeszcze. *(Rzucając się do stolika Emerytów, nie „otwierając”, ale „rozszarpując” ręczną torebkę – po „przycupnięciu” na krześle wyjmując z niej mnóstwo karteczek i zaczynając je odczytywać półgłosem)* Zaraz, zaraz! Owoce już, sery już, wina likiery już, lody już, wódki już, przekąski już...

CIMKIEWICZ

(który z posągowym zaznaczeniem „świętej cierpliwości” przeczekał nawałnicę słów aż do „zaraz, zaraz”, wskazując nie wypite kawy i nie tknięty koniak)

Razem.

PŁATNICZY

(który nie poskqpił Cimkiewiczowej „proszę bardzo“)

Dwie czarne, koniak... *(bierze pieniądze i wydaje resztę).*

CIMKIEWICZOWA

(bezpośrednio po „przekąski już”)

Jessus! Cukierki!!

PŁATNICZY

(jeszcze zajęty wydawaniem reszty)

Zamówione, proszę pani.

CIMKIEWICZOWA

(opadając na krzesło z ulgą)

Aż ognie na mnie uderzyły! *(Nagle wstając, zgarniając papierki i wrzucając do torebki)* Bo jak człowiek ma tyle na głowie... *(Do męża)* No to chodźmy. Zjemy raz dwa i do domu. *(do Franciszka, z przymileniem)* Już tam usychamy z tęsknoty... *(Do Płatniczego, spiesząc na lewo)* Żeby pan tylko nie zapomniał. *(Tuż przy drzwiach do męża)* Grand! *(Już za drzwiami do Płatniczego)* Najpóźniej na godzinę piątą.

PŁATNICZY

(który wyszedł za Cimkiewiczową)

Z zegarkiem w ręku, proszę pani. Wszystko będzie załatwione a la minut. Uszanowanie.

CIMKIEWICZ

(który do tej chwili zachowywał się jak wyżej – do Pana Franciszka krótko)
Chodź *(wychodzi w lewo).*

PAN FRANCISZEK

(który przez cały czas, Bóg raczy wiedzieć po co, gładził kapelusz, nie odrywając wzroku od tej zbędnej czynności – bezpośrednio po „chodź” Cimkiewicza) Idę *(idzie kilka kroków w lewo – nagle przystając i przecierając ręką czoło – prawie bez głosu)* A jeśli... przypadkiem... przyjedzie...

ZASŁONA

AKT DRUGI

U CIMKIEWICZÓW

Sula jadalna oświetlona a giorno. Z lewej i prawej drzwi, pootwierane na oścież, prowadzące do dalszych apartamentów. W głębi dwa wielkie okna z zapuszczonymi storami. Urządzenie? Trudno określić. Splendor wystawy sklepowej. Wszystko bajecznie nowe, bajecznie nieosobiste i nudne, jak wagon restauracyjny. W środku sceny – prawie przez całą szerokość – biesiadny stół. Na pierwszym miejscu, po prawej ręce wyfraczonego PANA FRANCISZKA, siedzi LUDA z CIMKIEWICZÓW SZYWALSKA w ślubnej sukni. Piękna, przerafinowana księżniczka z Cimkiewiczowskiej bajki. Każdy ruch umie na pamięć. Gdziekolwiek się ukaże, budzi sensację. Czym? – Stylem i strojami. Ludzie złośliwi szepczą sobie wprawdzie do ucha; że zmanierowana, że pozuje na tę a tę aktorkę lub na tę a tę olbrzymią damę, co na jedno wychodzi, ale ona tego nie słyszy, a Cimkiewicz i Pan Franciszek tego nie widzą. Dokoła stołu śmietanka towarzystwa. Komandorie z gwiazdami i bez gwiazd błyszczą na białym tle wygorsowanych koszul i świadczą o hojności władz, odznaczających za zasługi częstokroć dla nich obce i niezrozumiałe. Stroje pań, pełne mozolnego wysiłku, ażeby były i do stanu, i nad stan, rywalizują ze sobą przede wszystkim o cenę. Nie brakuje nikogo. Poważne i mądre głowy uczonych sąsiadują z poetami, artyści malarze fraternizują z historykami sztuki oraz z konserwatorami zabytków. Nic dziwnego, że lada chwila muszą paść słowa „Kochajmy się!” Ponieważ atoli wysłuchano wielu mów, a jak wiadomo, po uczuciowych napięciach zawsze następuje odprężenie – przeto w chwili podnoszenia się zasłony – już przy lodach i szampanie – panuje cos w rodzaju nudy, odzwianianej rytmicznym stukotem łyżeczek o talerze i okraszzonej gwarem młodzieży płci obojga, bawiącej się wyśmianiem w sąsiednim pokoju po lewej.

KANONIK

(wstając, uderzając łyżeczką w talerzyk z lodami, który trzyma w lewej ręce, i przerywając milczenie)

Aaa...nana...sssowe! *(siada)*.

(Uśmiechy).

LUDA

(z czarującym uśmiechem)

Smakują księżdu Kanonikowi?

KANONIK

(zajęty jedzeniem, nie reaguje).

STARY HRABIA

(podchmielony, do Ludy)

Komuż by nie smakowały. *(Do Profesora Włoska)* Ale po tych „pryfixach” i „sufiksach” profesora...

PROFESOR WŁOSEK

Za pozwoleniem. „Prefiksach”, czyli po polsku „przedrostkach”.

STARY HRABIA

Tak, tak, tak. Chciałem powiedzieć, po tych „przedrostkach” profesora może coś więcej usłyszymy.

(Uśmiechy i spojrzenia, mające wyrazić, że będzie zabawa).

PROFESOR WŁOSEK

(bardzo poważnie)

Jeżeli pani nie zmęczona...

LUDA

(z czarującym ożywieniem)

Przeciwnie, panie profesorze. Tak rzadko mam sposobność korzystać z pańskiej łaskawości...

PROFESOR WŁOSEK

Poruszę więc zagadnienie znaków pisarskich, w pierwszym rzędzie przecinka.

STARY HRABIA

Doskonale!

LUDA

(anioł dobroci)

Bardzo ciekawe.

(Biesiadnicy szepcą sobie złośliwe uwagi na temat Profesora Włoska)

CIMKIEWICZOWA

(która rozrzewniając oszalałym wzrokiem lustrowała stół, czy niczego nikomu nie brakuje, nagle do Służącego, wskazując kieliszek Profesora Włoska)

Jessus! Kieliszek profesora pusty!

PROFESOR WŁOSEK

(powstrzymując Służącego)

Dziękuję, nie używam.

LUDA

(na mękach, z lodowatym spokojem)

Profesor, mam, podziękował.

CIMKIEWICZOWA

(do Służącego, zmieszana)

To nie nalewaj.

(Służący nie wie, co robić).

LUDA

(jak wyżej)

Skoro zaczął...

STARY HRABIA

Tak, tak. Skoro zaczął, niech sobie dokończy, a my wracajmy do przecinków.

*(Stół zajaśniał dyskretnymi uśmiechami)
(Służący napelnił kieliszek Profesora Włoska)*

PROFESOR WŁOSEK

(bezpośrednio po słowach Hrabiego)

Najchętniej. *(Po chwili)* Utało się mniemanie, że przed spójnikiem „i” nie należy umieszczać przecinka. Mniemanie to jest moim zdaniem błędne. Zachodzi bowiem zasadnicza różnica pomiędzy powiedzeniem: „pies i kot nie żyją w zgodzie”, a powiedzeniem: „poszedłem na spacer i spotkałem znajomego”.

STARY HRABIA

O ile profesor nie żyje z tym znajomym jak pies z kotem.

(Uśmiechy tają się coraz usilniej, lecz mozolniej).

PROFESOR WŁOSEK

(bardzo poważnie i rzeczowo)

Hrabia mię nie zrozumiał. Nie chodzi o bliższe określenie mojego stosunku do spotkanego znajomego, natomiast chodzi o różnicę między spójnikiem „i”, przed którym nie powinno się umieszczać przecinków, i tymże spójnikiem „i”, przed którym, moim zdaniem, przecinki są pożądane. *(Po umoczeniu ust w szampanie)* Ażeby uniknąć dalszych nieporozumień, zamiast: „poszedłem na spacer i spotkałem znajomego” weźmy przykład klasyczny, wyjęty z dzieł Marii Konopnickiej *(do LUDY)*, który pani łatwo znajdzie w *Popularnym podręczniku metodycznym* Zenona Klemensiewicza, Marii Majewiczówny i Tadeusza Lehr-Spławińskiego – wydanie drugie, strona 210, a który brzmi: „niedługo też pilnował Marysi i muchy łąpał” – bez przecinka – „lecz wkrótce wyciągnął się i zasnął” – moim zdaniem, wobec następstwa dokonanych czynności, z przecinkiem.

STARY HRABIA

Profesorze! Ja bym mu nawet zrobił „przycinek”, że się zachował jak nygus!

(Uśmiechy nie dały się opanować, stół zarżał).

GLUCHA PANI

(nadstawiając słuchawkę)

Co się stało!

STARY HRABIA

(któremu Głuchą Panią dano za sąsiadkę, podniesionym głosem do słuchawki)

Przy Marysi muchy łąpał, a potem wyciągnął się i zasnął.

GLUCHA PANI

(zaciekawiona)

Kto! Kto!

STARY HRABIA

(jak wyżej, zły)

Nygus!

(Stół, oprócz osłupiałych Cimkiewiczów, uprzejmej Ludy, Pana Franciszka, któremu daleko do wesela, Pana Leonarda, który widocznie nie znosi Starego Hrabiego, Kanonika, zajętego lodami, wreszcie Profesora Słupskiego – zarżał głośno).

PROFESOR WŁOSEK

(nieporuszony)

Wybaczy Hrabia, lecz w tym przykładzie jest mowa o psie, nazwanym przez autorkę Kurta.

(Rozradowanie stołu bynajmniej nie ustało. Ludzie zaczęli ryczeć. Na szczęście dla Profesora Włoska Profesor Słupiński zaczął dzwonić w szklanę)

SZEPTY

(nagle i skupione)

Pst! Pst! Cicho! Profesor Słupiński mówi! Profesor Słupiński mówi! Profesor Słupiński mówi!

GŁUCHA PANI

(jak wyżej)

Co się stało!

STARY HRABIA

(coraz bardziej zirytowany sąsiadką)

Profesor Słupiński mówi!!

ZBIOROWY SYK

Psst!

(W drzwiach lewych gromadzi się coraz większa ilość rozochoczonej i silnie zarumienionej młodzieży. Barwy korporacyjne żenią się uroczym z sukienkami koleżanek).

PROFESOR SŁUPIŃSKI

(wstał. Wszystkie spojrzenia skupiły się na jego postaci. Bo też i było na co patrzeć Przemila, gołębia łagodna, blisko 90-letnia twarz, okolona puklami śnieżnobiałych włosów – prostota i skromność na tle olbrzymiej wiedzy – krajowe i zagraniczne ordery, świadczące o europejskiej sławie – krótko: starowina w aureoli powszechnej czci i powszechnego podziwu). (Scenę zaległa podniesieniowa cisza)

CIMKIEWICZOWA

(wstaje na znak uszanowania)

LUDA

(coraz chłodniej, ale z rosnącym wewnętrznym rozdrażnieniem)

Niech się mama nie męczy.

CIMKIEWICZOWA

(nabożnie wpatrzona w Profesora Słupińskiego)

Taki szacowny...

LUDA

(już okropnie sucho)

Nie racja!

CIMKIEWICZOWA

(siadając pokornie)

Już siedzę.

(Ten drobny incydent przeszedł niespostrzeżenie, całą uwagę pochłonął Profesor Słupiński).

STARY HRABIA

(rzucając groźne spojrzenie w stronę Profesora Słupinskiego)

Z pomocą Bożą siódmy numer.

SYKI

Pssst!

(I oto z ust Profesora SŁUPINSKIEGO zaczyna się wydobywać coś, co należałoby nazwać cichuteńkim, na jednym wysokim tonie opartym, brzęczeniem komara, wśród którego liczne „ć”, „ś”, „ż” oraz kombinacje, jak „ść”, „źdź”, „szcz”, wzmocnione przez fałszywe zęby, świadczą, że mowa jest wygłaszana, a raczej czytana po polsku. Oczywiście brzęczenie przerywają kropki i pauzy. Ale to nic. Szyje wydłużają się coraz bardziej, coraz więcej dłoni, przyłożonych do uszu, stara się w ten sposób zastąpić megafony – coraz większa ilość luminarzy opuszcza miejsca, otacza Profesora Słupińskiego i chłonie z bliska jego słowa – a Profesor Słupiński brzęczy i brzęczy, od czasu do czasu zwracając się do Pana Franciszka i lekimi skinieniami głowy pozwalając się domyślać, że każde słowo wynosi go pod niebiosa).

CIMKIEWICZOWA

(długi czas walczy ze wzruszeniem, ale wszystko ma swoje granice, więc zaczyna się zalewać łzami i przez zapomnienie ociera łzy serwetą).

LUDA

(dobitym półgłosem)

Mamo. Mamo.

(Tymczasem i Luda musi ustąpić, gdyż jednocześnie okrażają stół ustne depesze, których biurem są Luminarze, podsłuchujący profesora Słupinskiego).

I LUMINARZ

(do sąsiada półgłosem)

Nazwał go wschodzącą gwiazdą nauki!

PIERWSZA DEPEZA

(oczywiście prawie szeptem)

Wschodząca gwiazda nauki! Gwiazda nauki! Nauki! Nauki!...

GŁUCHA PANI

(nie panując nad głosem, jak wyżej)

Co się stało!?

STARY HRABIA

(bardzo zły i bardzo głośno)

Gwiazda nauki!

GŁUCHA PANI

Gdzie jazda?

STARY HRABIA

Gwiazda! Gwiazda!

SYKI

Psst! Psst!

II LUMINARZ

I to nie tylko rodzimej, ale i światowej.

DRUGA DEPEZA

Ale i światowej! Ale i światowej! Światowej! Światowej! Światowej!

CIMKIEWICZOWA

(nie może się powstrzymać od głośnego beknięcia).

LUDA

O nom du ciel, maman...

CIMKIEWICZOWA

(wstrzymując płacz i wymawiając „s” jak „ś”)

Si si si maszer...

SYKI

Psst! Psst!

I LUMINARZ

Jego krytyka teorii względności...

III LUMINARZ

(dorzucając)

Einsteina...

TRZECIA DEPEZA

Einstein! Einstein! Polski Einstein! Polski Einstein! Polski Einstein!

DODATKI DO DEPEZY

Fiu, fiu, fiu! No, no, no! To mu kadzi!

(Odpowiedź salonowej intelektualistki)

Bo też niepospolity umysł.

SYKI

Psst!

II LUMINARZ

Stawia go w rzędzie uczonych...

CZWARTA DEPEZA

W rzędzie uczonych! W rzędzie uczonych! Uczonych! Uczonych! Uczonych!

I LUMINARZ

(zanim ostatnia depesza obiegła stół)

...którzy przynoszą chlubę...

PIĄTA DEPEZA

Przynosi chlubę! Przynosi chlubę! Chlubę! Chlubę! Chlubę!

II LUMINARZ

(bezpośrednio po Pierwszym Luminarzu)

...naszej prastarej Wszechnicy!

SZÓSTA DEPESZA

(jak wyżej)

Naszej prastarej Wszechnicy! Naszej prastarej Wszechnicy! Wszechnicy! Wszechnicy!
Wszechnicy!

PROFESOR SŁUPIŃSKI

(brzęcząc dalej, odkłada kartkę, z której czytał, i podnosi kieliszek).

GŁOSY

Wstawać panowie! Wstawać!

(Szurgot odsuwanych krzeseł, wszyscy powstali).

PROFESOR SŁUPIŃSKI

(nadhudzim wysiłkiem zdobywając się na najsilniejszy ton)

Zdrowie... najmłodszego... kolegi!

STÓŁ

(dyskretnie klaszcząc, szemrze)

Brawo! Brawo? *(Podnosząc kieliszki)* Niech żyje!

(Ale dystynkcję stołu zagłuszył żywioł Młodzieży, która tłumnie, z kieliszkami w dłoniach, wyległa z sąsiedniego pokoju i postanowiła urządzić spontaniczną manifestację, a więc)

CHÓR MŁODZIEŻY

(obojga płci, podnosząc kieliszki)

Wiwat!! Wiwat!! Niech żyje!! Niech żyje!!

STUDENT POD DOBRĄ DATA

(intonuje)

Sto lat! Sto lat!!...

CHÓR MŁODZIEŻY

(podchwytuje melodię)

...niech żyje, żyje nam... itd.

(kiedy wyciągnięto ostatnie „nam” nad siły, więc okraszone wielką ilością kogutów)

STUDENT POD DOBRĄ DATA

Jeszcze raz, jeszcze raz...

CHÓR MŁODZIEŻY

(jak wyżej)

...niech żyje, żyje nam itd.

(W czasie opisanej owacji STÓŁ czekał cierpliwie na trącenie się kieliszkiem z Panem Franciszkiem, który obchodzenie stołu zaczął oczywiście od Profesora Słupińskiego. Cierpliwość ta zdradzała się niechętnymi spojrzeniami w stronę roz... powiedzmy „rozśpiewanej” młodzieży, jednakowoż padały słowa)

- Nie, co ci wyprawiają!
- Jak młodzież, kolego. Jak młodzież *(akcent lwowski)*.
- Po prostu uszy bolą!
- Ale ryczą!
- Z pewnością się popili.

- Po co ich było zapraszać?
- Rozbuchane to, rozhukane...
- Jak młodzież, panowie. Jak młodzież.

CIMKIEWICZOWA

(również nie traciła czasu. Natychmiastowo po mowie rzuciła się na Profesora Słupińskiego, chwyciła go za obie ręce i zalewając się radosnymi łzami, chlipliwie)

Panie Profesorze! Czcigodny panie profesorze! Jakżeż mam za te cudne słowa...

PROFESOR SŁUPIŃSKI

(tłumaczy się skromniutko)

Ależ łaskawa pani, obowiązek. Prosty obowiązek.

CIMKIEWICZOWA

(nie dopuszczając go do słowa, ciągnie dalej)

Najpiękniejszy dzień w moim życiu! Taki zaszczyt dla naszego domu! Taka znakomitość, jak pan profesor, nie tylko we własnej osobie, ale jeszcze te słowa! Te cudne słowa! Tak od serca! Tak wzniośle, że nawet nic wiem, jak wyrazić...

PROFESOR SŁUPIŃSKI

(jednocześnie wijąc się z nieśmiałości)

Ależ łaskawa pani... Ależ łaskawa pani... byłem najszczęśliwszy...

LUDA

(która nie spuszczała wzroku z Cimkiewiczowej, podchodzi i niby to słodko, lecz ze słodyczą ludzi doprowadzonych do rozpacz)

Mamo. Mamo. Niech mama dopuści Frania. Czeka już od godziny, żeby się trącić z profesorem.

CIMKIEWICZOWA

(potulnie)

Dobrze, moje dziecko. *(Do Profesora z dygiem)* Przepraszam.

PROFESOR SŁUPIŃSKI

Ależ łaskawa pani...

LUDA

(po odciągnięciu Cimkiewiczowej na bok, ze sztucznym uśmiechem dla galerii, ale twardo)
Mama zachowuje się niemożliwie. Szasta się mama jak pokojówka...

CIMKIEWICZOWA

Przecie musiałam...

LUDA

Nic mama nie musiała. Niech mama siedzi spokojnie. Im spokojniej, tym będzie lepiej. Trzeba umieć panować nad sobą!

CIMKIEWICZOWA

Dobrze, moje dziecko. Dobrze.

OBIE

(zajmując dawne miejsca).

(Pomimo że ta scenka była odegrana według wszelkich przepisów savoir vivre'u, zauważono ją)

GŁOS KOBIECY

Beszta matkę.

GŁOS MĘSKI

Nie mogła jej schować do szafy, jak to zwykle robi...

GŁOS KOBIECY

Toteż uważał pan? Nie spuszcza z niej oka.

GŁOS MĘSKI

Za to Cimkiewicz wytresowany. Przez cały obiad ani mru, mru.

PAN FRANCISZEK

(natychmiast po ustąpieniu Cimkiewiczowej, Ściskając dłoń Profesora Słupińskiego)

Pozwoli pan profesor, że za pańską dobroć i pobłażliwość...

PROFESOR SŁUPIŃSKI

Tylko wytrwale, chłopcze. Tylko wytrwale.

PAN FRANCISZEK

(obchodzi stół i trąca się kieliszkiem z biesiadnikami, przy ustawicznych „Dziękuję”... „Najserdeczniej dziękuję” itp.)

(W czasie tej zbiorowej wielogłosowej sceny MŁODZIEŻ dojechała do drugiego końcowego „Nam”. Wówczas)

STUDENT POD DOBRĄ DATA

I jeszcze raz, i jeszcze raz...

PAN FRANCISZEK

(szybko opuszczając stół, podchodzi do młodzieży i ściskając liczne dłonie)

Moi panowie! Moi kochani panowie! Trzysta lat będzie stanowczo za dużo. Znudziłbym się i wam, i sobie...

CHÓR MŁODZIEŻY

(entuzjastycznie)

My byśmy za Panem Profesorem do piekła!

PAN FRANCISZEK

Tymczasem do kieliszków, panowie! Do kieliszków.

KILKA GŁOSÓW

Rrrrozkaz!

(Młodzież, gwarnie i ze śmiechem wtacza się do sąsiedniego pokoju).

PAN FRANCISZEK
(wraca do obchodzenia stołu jak wyżej).

STARY HRABIA
(do Profesora Włoska, wskazując na resztę wychodzącej Młodzieży)
Ci przy Marysiach much nie łapią.
(Profesor Włosek może byłby cos odpowiedział, ale w tej chwili zjawił się Służący z pliką depesz na tacy).

CIMKIEWICZOWA
(która mimo uwag LUDY nie mogła się powstrzymać od pilnowania porządku, spostrzegając depesze i podskakując na krzesle)
Jesus! Depesze!

LUDA
(w rozpaczy, z umęczonym spokojem)
Właśnie przynosi.

CIMKIEWICZOWA
(usprawiedliwiając się, do biesiadników)
Byłabym na śmierć zapomniała.

LUDA
(wskazując Służącego)
Wystarczy, że on pamięta. (Do Służącego, wskazując pana Leonarda) Proszę podać panu Leonardowi – (Do Leonarda) który jako stary przyjaciel zechce je głośno przeczytać.

PAN LEONARD
(fotogeniczna postać, z wiecznym jakby znakiem zapytania w brwiach, upozowany na amerykańsko-angielskiego „gwiazdora”, wstając z ukłonem)
Pani...

STARY HRABIA
(trącając nożem w szklankę i wstając)
Przepraszam! Przepraszam!

CIMKIEWICZOWA I KILKA OSÓB
(ze znaczącym mrugnięciem)
Hrabia mówi!

STARY HRABIA
Nic nie mówię. Chciałem tylko zaproponować, żeby nie wszystkie, bo to wytrzymać nie można! (siada).

GŁUCHA PANI
(jak wyżej)
Co się stało!

STARY HRABIA
(wściekły)
Nic się nie stało! (śmiech).

STARY HRABIA

(wstając ponownie)

A państwo nie macie się co śmiać. Po dobrym obiedzie i po siedmiu mowach każdy woli czarną kawę z kieliszkiem koniaku niż jakieś tam frazesy i nazwiska, które nikogo nic a nic nie obchodzą *(siadając)*. Chyba jednego profesora Włoska.

PROFESOR WŁOSEK

Za pozwoleniem! Włoseka!

STARY HRABIA

Po jakiemu!

PROFESOR WŁOSEK

Po takiemu, że tak się odmienia moje nazwisko!

STARY HRABIA

Według metodycznego podręcznika tych tam z muchami?

PROFESOR WŁOSEK

(groźnie, wstając)

Niech się Hrabia nie zapomina! Hrabia mnie ciągle prowokuje!

DWAJ MODERATORZY

(ciągnąc Profesora za poły od fraka, jednocześnie)

Profesorze! Nie warto, najwidoczniej urżnięty.

PROFESOR WŁOSEK

(siadając, tak żeby wszyscy słyszeli)

Dureń!

(STÓŁ, który dotąd coraz weselej zabawiał się talerzami, wpada w konsternację).

GŁUCHA PANI

(bezpośrednio po „dureń”)

Co się stało!

STARY HRABIA

(do słuchawki, wściekły)

Chciał mię wystrychnąć na dudeka!

(Część STOŁU zarżała, przez delikatność krótko a węzłowato).

PROFESOR WŁOSEK

(ponownie się zerwał)

PAN LEONARD

(który czekał, aż się te wschodnioeuropejskie dzieci uspokoją, wyniośle, zakładając monokl, do Profesora Włoska)

Zaczynam.

PROFESOR WŁOSEK

(zbity z tropu siada)

GŁOSY
(wśród ulgowych oklasków)

Brawo!

INNE GŁOSY

- Umiał się znaleźć.
- A mogła wyniknąć awantura.

STARY HRABIA
(do Leonarda)

Tylko zrób pan trochę weselszą, taką „warszawską” minę!

PAN LEONARD
(nie zwracając uwagi na Hrabiego)

Można?

GŁOSY

Prosimy! Prosimy!

PAN LEONARD

(francuszczyzną przewyższającą Komedie Francuską)

Paryż... „Mille voeux de bonheur pour mon eminent confrere qui m'a fait gouter la beaute de l'admirable ville de Cracovie et pour sa charmante epouse qui m'a mis aux pieds de la femme polonaise vaillante dans le malheur douce dans la prosperite et inoubliable comme les premieres amours stop Nieche (*poprawia monoki, jakby na stronie*) Zaraz. (*Po chwili*) No tak, nieche chions.

(*Kilka osób, między nimi Stary Hrabia – ryknęło śmiechem*)

PAN LEONARD

(*obojętny na zachowanie się barbarzyńców, po chwili namysłu*)

Rozumiem. Pomyłka telegrafisty. Miało być po polsku:
niech żyją!

GŁOSY
(wśród frenetycznych oklasków)

Brawo! Brawo!

PAN LEONARD

Podpis: Roger Laritournelle (*odkłada depeszę*).

GŁOS

Sorbona!

INNE GŁOSY

Przetłumaczyć! Przetłumaczyć!

PAN LEONARD

(*biorąc ponownie depeszę, z pobłażliwą nonszalancją*)

Tysiąc życzeń szczęścia dla mojego znakomitego kolegi...

SZMER

Ho, ho, ho!

LUDA

(bardzo przymilnie)

Takiego mam męża.

KILKA OSÓB

(do Ludy, klaszcząc)

Brawo! Brawo!

PAN LEONARD

(który raczył przeczekać)

Można dalej?

GŁOSY

Prosimy!

PAN LEONARD

(tłumacząc)

który dał mi skosztować piękność podziwianego miasta Krakowa...

STARY HRABIA

(do Leonarda, podnosząc dwa palce)

W kwestii formalnej. Zamiast „gouter” – skosztować, byłoby jeszcze stosowniej „podwieczorkować”.

PROFESOR WŁOSEK

(zrywając się)

Hrabia nie jest tutaj sam! Nie tylko dla Hrabiego się tłumaczy!

STARY HRABIA

(wściekły)

Przecież Bramy Floriańskiej nie polizał!

(Śmiech).

PAN LEONARD

(do Hrabiego wyniośle)

Można dalej?

STARY HRABIA

Jedź pan.

PAN LEONARD

(z ukłonem)

Najuprzejmiej za łaskawe pozwolenie dziękuję.

PROFESOR WŁOSEK

(do Leonarda)

Brawo!

PAN LEONARD

(tłumacząc)

...i dla jego czarującej małżonki, która mnie położyła w nogach kobiety polskiej...

STARY HRABIA

(do pani Leonardowej)

A w tej kwestii pani, jako żona pana Leonarda, powinna go nauczyć, że kobieta polska nie jest ani łóżkiem, ani trumną.

PANI LEONARDOWA

(śmiejąc się)

Oh!... jego poglądy na tę „kwestię” są mi zupełnie obojętne.

PAN LEONARD

(do żony, z ukłonem)

Nawzajem.

(Śmiech)

STARY HRABIA

Dobrze wiedzieć.

(Śmiech pod przewodnictwem pani Leonardowej).

PAN LEONARD

(po wzruszeniu ramionami tłumaczy)

...kobiety polskiej, dzielnej w nieszczęściu, słodkiej w powodzeniu i niezapomnianej jak pierwsza miłość. Stop. Niech żyją *(odkłada depeszę)*.

GŁOSY

- Ślicznie! Ślicznie!
- Tylko Francuzi tak potrafią.
- Nic dziwnego, stara kultura...

PAN LEONARD

(po cierpliwym przeczekaniu)

Można dalej?

GŁOSY

Prosimy! Prosimy!

PAN LEONARD

(po poprawieniu monokla, biorąc drugą depeszę, czyta)
Berlin.

GŁOSY

Nawet Berlin!

PAN LEONARD

„Herzliche Gluckwunsche fur das junge Ehepaar das mit der polnischen Nation eigenen und allgemein bekannten Gastfreundlichkeit mir bei dem gründlichen Besuch der bewunderungswürdigen Schönheiten der sich in der alterthumlichen Stadt Krakau seit Jahrhunderten befindenden Schätze gutigst begestanden ist Hellmuth Bernikstock”.

GŁOSY PORWANE

Brawo! Brawo! Brawo!

STARY HRABIA

(jednocześnie)

Te derdidasy piszą! Niech ich kule biją!

PAN LEONARD

Można dalej?

KILKA GŁOSÓW

Prosimy.

PAN LEONARD

(biorąc trzecią depezę, czyta)

Wieliczka.

(Czyjeś parsknięcie, krótkie, podobne do suchego kaszlu)

(Po ponownym wzruszeniu ramionami, czyta)

Najserdeczniejsze życzenia... i tak dalej... Walery Łupek *(Odkłada, czyta następną)* Wieliczka. W tak uroczystym dniu... i tak dalej... Maria z Kudlików Rzymbecka. *(Odkłada, następną czyta)* Wieliczka...

STARY HRABIA

Przesolisz pan! Przesolisz!

(Stół ryknął, ale się natychmiast pohamował).

LUDA

(która po zagranicznych depeżach robiła skromną minę, biorąc wszystkie hołdy do siebie, siedzi jak na mękach).

PAN LEONARD

(po przejrzeniu kilku depeż czyta)

Niech Bóg...

STARY HRABIA

Ale skąd! Skąd!

PROFESOR WŁOSEK

Z nieba, panie Hrabio! Z nieba!

(Wszystkie głowy zwracają się w prawą stronę, bo oto jakby z trzeciego pokoju i przez zamknięte drzwi zaczęły dolatywać krzyki najwidoczniej kłócących się mężczyzn. Jeden głos widocznie napada, drugi się broni. Nagle trzask jakby przemocą otworzonych drzwi i głosy stają się słowami).

GŁOS I

I tak nie puszczę! Mam wyraźny nakaz!

GŁOS II

Kusz psiakrew, bo panu łeb rozwalę!

GŁOS KOBIECY
(rozdzierający)

Daj spokój! Dajże spokój!

GŁOS I

(jednocześnie z głosem kobiecym wśród widocznego szamotania się)
Zawołam policję!! Zawołam policję!!

GŁOS II

Kusz!!!

PROFESOR WŁOSEK

(zrywa się, zatrząskuje drzwi i pędem wraca na miejsce).

PAN FRANCISZEK

(zerwał się błady jak ściana i zamieniony w słup soli patrzy w prawe drzwi).

CIMKIEWICZ

(również powstał, posągowo spokojny, gotów na wszystko).

KILKA PAR

(przytuliło się trwożnie do sąsiadów).

CIMKIEWICZOWA

(przez zaciśnięte gardło)

Jesus Maria! Co się tam dzieje!

LUDA

(białym głosem, ale opanowana)

Spokojnie, mamó. Spokojnie.

GŁOSY

(po chwilowym zamarciu)

Napad!

CIMKIEWICZ

(stanowczo a bez ruchu)

Proszę nie robić paniki!

INNE GŁOSY

Do telefonu!

MŁODZIEŻ

(wałąc się z lewej – niektórzy z butelkami w ręku zamiast broni)

Jesteśmy!

PROFESOR WŁOSEK

(nagle jak oszalały, wskazując posadzkę)

Panowie tu, *(wskazując lewe drzwi)* Panie tam!

PANIE

(spłoszone, spiesząc ku lewym drzwiom)

Uciekajmy!

CIMKIEWICZ

(ostro)

Proszę nie robić paniki i nie przedsiębrać żadnych kroków! Absolutnie żadnych kroków! Od tego jestem ja! *(rusza ku prawym drzwiom)*.

(Stanowczość Cimkiewicza poskutkowała. Wszystko znieruchomiało ze wzrokiem wbitym w prawe drzwi. Nagle z piersi kobiet wyrywa się krótkie, przeraźliwe „A”! – Cimkiewicz, który zrobił zaledwie kilka kroków, staje jak wryty, bo oto drzwi się otwierają i w progu zjawia się Felek, ubrany w paradną czarną marynarkę, biały atlasowy krawat i lakiery).

FELEK

(po bohaterskim zdobyciu drzwi traci rezon. Bo też i niecodzienny widok przedstawia się jego oczom. W lewych drzwiach zafascynowane strachem i zdjęte niezdrową ciekawością – co zwykle idzie w parze – stłoczone, strojne panie – mężczyźni (zwłaszcza Młodzież) gotowi do boju – awantura, której nie miał zamiaru wywołać. Więc składając okradziony ukłon, tonem pokornych wyjaśnień, które jednak mieszają się z zawodowym przejęciem i z koniecznością gadania, żeby jakoś wybrnąć z głupiej sytuacji – coraz głupszej wobec rosnącego zdumienia i przerażenia słuchaczy)

Przepraszam bardzo... wyjechalimy wczoraj po południu... mieliśmy dzisiaj z Częstochowy na szóstą... cóż kiedy jadę, jadę... wtem motor nawala... kontroluję – delko w porządku, rozdzielacz w porządku, iskra jest... zapuszczam motor – idzie... Łączę bieg, daję gaz – nawala... Szukam defektu w motorze... Zgłupiałem – wszystko w porządku... Puszczam drugi raz – dwieście metrów idzie jak cyż... Znowu nawala, znowu staje... Zabieram się do mamki... Oba zbiorniczki pełne, ale cos mi niewyraźnie... Rozbieram całą mamkę – oglądam – przedmuchuję – aż nareszcie przychodzę do dziurki powietrznej... Patrzę – dziurka zatkana... *(nagle urywa, zmieszany widokiem osłupienia, z jakim goście weselni słuchają jego słów – więc zwracając się w stronę prawych drzwi dość niepewnym, jakby szukającym ratunku głosem)* No chodźże Zosiu, chodźże. *(Do gości, bardzo zmieszany)* I tak.

SZEPT

(pełen grozy)

Wariat!

DOKTOR X

(z palcem na ustach, półgłosem)

Nie drażnić!

(W czasie tych słów staje we drzwiach bardzo onieśmielona ZOSIA z dzieckiem na rękę i dwoma chłopcami, trzymającymi się kurczowo jej spódnicy).

FELEK

(który wciąż wodził zakłopotanym wzrokiem po biesiadnikach, nagle spostrzega Pana Franciszka i rozjaśniając gębę) Serwus Fr...! (ale urywa, widząc, że Pan Franciszek patrzy na niego boleśnie przerażonym wzrokiem i zamiast rzucić mu się na szyję, mnie w lewej ręce serwetę, a prawą przesuwając po czole. Po chwili, wpatrując się w Ludę i ściągając brwi, półgłosem)

Ki diabli.

ZOSIA
(ciągnąc Felka za marynarkę)

Feluś!

FELEK
(wciąż zapatrzony w Ludę, odruchowo opędzając się od Zosi – bez podnoszenia głosu)
Zostaw.

ZOSIA
(bardzo cicho, a błagalnie, jak wyżej)
Będzie nieszczęście.

FELEK
(wodząc skupionym wzrokiem po scenie, jak gdyby kogoś szukał)
Nic nie będzie. *(Nagle spostrzegając Pana Leonarda)* Rany Bo...

ZOSIA
Choć raz mię przecie usłuchaj.

FELEK
(zajęty Leonardem, jak wyżej)
Zostaw.

CIMKIEWICZ
(który cały czas nieruchomy z założonymi na piersiach rękami)
Czego pan sobie życzy.

FELEK
(nie spuszczać oka z Pana Leonarda i jednocześnie wyjmując z kieszeni dwuzłotówkę – jak echo – szkaradnie głucho)
Czego ja sobie życzę?

CIMKIEWICZ
(ostrzej)
Zapytałem, czego pan sobie życzy.

DOKTOR X
(podchodząc do Cimkiewicza, półgłosem)
Nie drażnić!

FELEK
(z niesamowitym spokojem do Doktora)
Nie drzyj się pan. *(Do Zosi)* Zabieraj dzieci. *(Daje jej dwa złote)* Bierz taksówkę. Zaraz wrócę.

ZOSIA
Lepiej by razem, Feluś.

FELEK
Powiadam ci, zaraz wrócę.

ZOSIA
(zagarniając dzieci i wychodząc, bliska płaczu)
Żeby się człowiek przegadał...

GŁOS KOBIECY

Nieszczęśliwa kobieta...

FELEK

(w stronę głosu, jakby od niechcenia)

Cicho tam. *(Do Cimkiewicza)* Życzę sobie – pohulać – na weselu. *(Podciągając spodnie w pasie i „poprawiając się w sobie”, jakby na stronie, ale dostyśzalnie)* I pohulamy, dranie jedne. *(Z rękami w kieszeniach, następując, ale bardzo wolno, na Pana Leonarda, który ostrożnie cofa się, tak że w końcu zostaje przyparty do muru)* Mam „elegancki” wóz – wożę „eleganckich” gości po „eleganckich” nocnych lokalach – spotykam się przed nimi z takim Bronkiem, co to jeździ taką „Hispano-Suizą” takiego księcia „Olesia” – jak między szoferami mówi się o tym i o owym... *(Nagle wyciągając rękę, ostro)* Zajac Feliks!

PAN LEONARD

(przylepiony do ściany, na bawelnianych nogach, ściskając dłoń Felka)

Le... le... leonard...

FELEK

(robiąc gest spluwania pod nogi Pana Leonarda)

Tfu! *(Nacierając na Profesora Włoska)* Zajac Feliks!

PROFESOR WŁOSEK

(przykucając i bełkocąc)

Wł...wł...s...sek.

FELEK

(nie czekając na bełkot Profesora Włoska i nacierając na Radcę)

Zajac Feliks!

RADCA

(skwapliwie ściskając dłoń Felka)

mblmwsnicz

FELEK

(jak wyżej, idąc z wyciągniętą ręką w stronę Pana Franciszka, już przez zupełnie zaciśnięte zęby, z okropnym spokojem)

Zajac Feliks.

PAN FRANCISZEK

(opuszcza głowę i zasłania twarz dłonią).

CIMKIEWICZ

(wskazując Pana Franciszka – znacząco, a dobitnie)

Profesor Doktor Franciszek Szywalski.

FELEK

(z rękami w kieszeniach, wpatrując się w Pana Franciszka jakby z podziwem)

Profesor Doktor Franciszek Szywalski. *(Do jakby skamieniałej Ludy, wskazując Franciszka)* Jurny chłop. Dopiero będzie zabawa!

CIMKIEWICZ
(wskazując prawe drzwi, groźnie)

Precz!

FELEK
(wałąc w stół pięścią, tak że wszystkie szklanki podskakują, ryczy)

Kusz!!!!

(Robi się straszne zamieszanie).

PANIE
(pierzchając przez lewe drzwi)

A!!

CIMKIEWICZ OWA
(rozpaczliwie)

Luda! Luda!

KILKU Z MŁODZIEŻY

Brać go!

DOKTOR X
(wymachując rękami i hamując Młodzież)
Nie drażnić! Na miłość Boską nie drażnić!!

INNE GŁOSY
Wariat! Wariat! Wariat!

LUDA
(nie zareagowała na okrzyk Cimkiewiczowej, ale z coraz większym skupieniem obserwuje Cimkiewicza, Felka i Pana Franciszka).

PAN FRANCISZEK
(ani nie drgnął, nagle wykonując ten typowo rozpaczliwy gest: wbicie czoła w splecione ramiona i wałąc się twarzą na stół, półgłosem) Jezu!

FELEK I CIMKIEWICZ
(nie spuszczaają z siebie oka, jak ludzie, mający rozpocząć śmiertelną bitkę)

FELEK
(po okrzyku Pana Franciszka szybko zwraca się w jego stronę)

CIMKIEWICZ
(ostro, ale nie podnosząc głosu) Niech się pan na mnie patrzy, panie Zając. (Z naciskiem) „Tylko” na mnie. Rozumie pan?

FELEK
(uderzony tonem Cimkiewicza, biorąc się pod boki – znów z niepokojącym spokojem)
Jak?

DOKTOR X
(do Cimkiewicza)

Na miłość boską, łagodniej!

FELEK
(do Doktora)

Nie wadzić!! *(Do Cimkiewicza jak wyżej)* Więc jak?

CIMKIEWICZ
(wskazując prawe drzwi)

Schody moje, sień moja, te drzwi moje...

FELEK
(zginając się w pasie i biorąc się obiema rękami za kolana)
Fiuuu! *(w tej pozycji patrzy paskudnym wzrokiem w Cimkiewicza).*

CIMKIEWICZ
(pukając się palcem w piersi)
Dlatego „ja” tutaj za wszystko odpowiadam.

FELEK
(bez zmiany pozy)
Pan?

CIMKIEWICZ
Ja!

FELEK
A latał pan kiedy bez portek?

CIMKIEWICZ
(nadrabiając miną, niby ostro)
Nie latałem.

FELEK
A obliczał pan kiedy, ile też to cegieł trzeba na jedną mądrą głowę?

CIMKIEWICZ
(coraz sztuczniejszy)
Nie obliczałem.

SZEPT
(pozostałych przy drzwiach gości)
Stanowczo wariat!

FELEK
(nie spuszczać oka z Cimkiewicza)
Pańskie szczęście. Bo inaczej po tym „odpowiedaniu za wszystko” byłby pan, za przeproszeniem, skończoną świnia. *(Wskazującym palcem mierząc w nos Cimkiewicza)* O.

CIMKIEWICZ

Tak pan sądzi.

FELEK

Tak sędzę. Ale skoro portki i cegły insza inszość, a pańskie „odpowiadanie za wszystko” insza inszość, no to... (*biorąc Franciszka za kołnierz i dźwigając ze stołu*) – nie bój się pan, panie profesorze, usiądź pan sobie po ludzku – nic ci się złego nie stanie – (*Do Cimkiewicza*) My zaś, we dwójczkę, na osobności... (*Zwracając się do gości z odpowiednim gestem*) Odjazd.

DOKTOR X

(*do gości półgłosem*)

Nie oponować!

CIMKIEWICZ

(*wskazując lewe drzwi*)

Zechcecie państwo najlaskawiej...

(*Reszta gości wychodzi w lewo*)

FELEK

(*do Ludy, która nie rusza się z miejsca*)

Paniusia też.

LUDA

(*przez zaciśnięte gardło*)

Ja zostanę.

FELEK

(*kładąc rękę do tylnej kieszeni od spodni*)

Zostanie paniusia?

LUDA

(*która spostrzegła ruch Felka*)

Niech pan strzela.

CIMKIEWICZOWA

(*rozpaczliwie*)

Luda!!

FELEK

(*wciąż z ręką w kieszeni, ostro*)

Nie lubię mokrej roboty. Wolę suchą. Odjazd.

LUDA

(*zdławionym głosem*)

I ojciec... mimo to... żadnych kroków?

CIMKIEWICZ

Żadnych. Idźcie.

LUDA

(do Cimkiewiczowej sucho)

Idziemy, mamó. *(Do Felka wyniośle, wychodząc na lewo)* O panu dowiem się później.

CIMKIEWICZOWA

(roztrzęsiona, podążając za Ludą, wśród trwożnych ukłonów w stronę Felka)

Ż...ż...ż...żegnám! *(wychodzi)*.

FELEK

(wyjmując rękę z kieszeni i podchodząc do lewych drzwi)

Cholera, psiakrew! *(Zamykając jedno skrzydło drzwi)* „O panu dowiem się później”. *(Zamykając drugie skrzydło)* Żeby nam kto nie wlaź. *(Opierając się plecami o drzwi, krzyżując ręce na piersiach, przymrużając jedno oko i patrząc to na Cimkiewicza, to na Pana Franciszka)* Przez chwilę postoi się, o tak...

CIMKIEWICZ

(nie wie, co począć z Felkowymi spojrzeniami, spuścił więc głowę, wzrok wbił w posadzkę i nerwowo bawi się łańcuszkiem od zegarka).

PAN FRANCISZEK

(zupełny trup, siedzi tak, jak Felek go posadził).

FELEK

(po wytrzymaniu pauzy)

...i będzie można pleść, co komu ślina na język przyniesie. Wariat, złodziej, *(do Cimkiewicza)* pański bękart... *(Nagle ostro)* Ale już do mnie ani słowa, bo wtedy „ja” gębę rozpuszczę!

PAN FRANCISZEK

(nagle zrywając się)

Felek! Dzisiejszy dzień to piekło! Widziałeś! Serce mi się do was rwało! A widziałeś! Nic! Nic! byle ode mnie nie odeszła! Felek! Ja ją przecież tak samo, jak ty Zosię! Zupełnie tak samo...

FELEK

(który stał bez ruchu i nie spuszczał oka z Pana Franciszka, twardo)

Ślus!!

PAN FRANCISZEK

(zgaszony opada na krzesło)

FELEK

(po chwili, z niesamowitym spokojem, do Cimkiewicza, wskazując Pana Franciszka)

To pan i za to odpowiada?

CIMKIEWICZ

(siląc się na pewność siebie, niby szorstko)

I za to.

FELEK

I choć panu nie zataił (*wskazując na Pana Franciszka, potem na siebie*) jak my ze sobą niby ten, kazał pan przede mną schody, drzwi...

CIMKIEWICZ
(*jak wyżej*)

Tak.

FELEK

Że niby... (*wskazując Pana Franciszka*) „tu” za dużo wiem, a (*wskazując prawe drzwi*) „tam” za mało znaczą.

CIMKIEWICZ
(*jak wyżej*)

Tak.

FELEK

Morowiec z pana.

CIMKIEWICZ
(*jak wyżej*)

Cieszy minie pańskie uznanie.

FELEK

Ale i ze mnie morowiec. (*po chwili*) Jakby pan z biedy to i owo – sztama. Jakby pan z biedy, siekierą, niechby i własne dziecko – sztama. Ale dla ludzkich oczów paskudzić naszego Franusia? Nie chyci, panie. Nie chyci. Nie po to my go uratowali, żebyście mu u mety – (*z nagłym wybuchem*) ryj!!

CIMKIEWICZ
(*pojednawczo*)

Panie Zając...

FELEK
(*waląc pięścią w stół*)

Małpie go nie dam!!!!

CIMKIEWICZ

Panie Zając...

FELEK
(*szalejąc*)

Nie dam!! Taki ślub?!!! Takie buty?!! Odeszłaby go psiakrew jedna?!! Jakby się do nas przyznał, toby go odeszła psiakrew jedna?!!

CIMKIEWICZ
(*bardzo pojednawczo*)

Niech się pan uspokoi, panie Zając. Niech się pan uspokoi. Chciał otwarcie. Zabroniłem. A zabroniłem, bo również i ja (*uderzając się palcem w piersi*) tu za dużo wiem, a (*wskazując lewe drzwi*) tam za mało znaczą.

FELEK

Bujaj pan głupszych ode mnie! Zabronił pan, bo pan obmyślił sobie, że jak wylezie szydło z „jej” worka, to będzie mogła bez ceremonii z pyskiem: „a ty co?”

CIMKIEWICZ

(gorączkowo)

Nie, panie Zając! Słowo honoru panu daję, o żadnych szydłach nie ma mowy! Zwierzyliśmy się wzajemnie z najwstydlivszych rzeczy! Bo, widzi pan, nazywałem się (*zniżając głos i lekliwie spoglądając na lewe drzwi*) Cimek – moja żona była prostą robotnicą – zacząłem z dziesięcioma palcami – najtwardsze życie znam na wylot – więc na różne te i na siekiereę potrafię patrzeć realniej (*wskazując lewe drzwi*) od tych tam wyfraczonych mądrali, z którymi ona chętniej i bliżej niż ze mną... chociażbym za nią diabłu duszę sprzedał...

FELEK

(który słuchał z rosnącym skupieniem)

Poczkaj pan. Powiadasz pan... najwstydlivsze rzeczy?

CIMKIEWICZ

(roztrzęsiony)

Tak, panie Zając, wszystko, co kiedykolwiek...

FELEK

(siada)

Poczkaj pan. Krakowskie i niekrakowskie?

CIMKIEWICZ

Poza Krakowem nic się takiego nie działo.

FELEK

Nic? Ani w Warszawie?

CIMKIEWICZ

Z Warszawą nawiązałem stosunki znacznie później. Już jako (*z gorzką ironią*) „zrobiony człowiek”.

FELEK

To pięknie. (*Po chwili, wskazując lewe drzwi*) A... A ona?

CIMKIEWICZ

(gorzko)

Ona? – O interesach nawet słyszeć nie chce... Jej w głowie tylko teatry, dansingi, „arystokratyczne” salony...

FELEK

To pięknie. A pan w tych salonach... nie ten?

CIMKIEWICZ

Cóż bym tam robił.

FELEK

(jakby na stronie)

To bardzo pięknie. *(Zmieniając temat)* I powiadasz pan, żeście zaczęli niby... z niczego.

CIMKIEWICZ

Mieliśmy maleńki sklepik...

FELEK

Zawsze coś.

CIMKIEWICZ

Obdłużony, panie Zając! Po same uszy obdłużony!

FELEK

Toście musieli *(ilustrując gestem ściąganie)* „zdrowo”...

CIMKIEWICZ

Byleby ona nie musiała!

FELEK

I tak się górnice nosi?

CIMKIEWICZ

(z goryczą)

Już inny świat!

FELEK

Wyszorowany na glanc.

CIMKIEWICZ

A wyszorowany na glanc!

FELEK

I wszystko jej śmierdzi.

CIMKIEWICZ

A śmierdzi!

FELEK

(wstając)

I ja, i Franuś... *(Nagle do Pana Franciszka, ostro)* Dawaj ją tu!

PAN FRANCISZEK

(podnosi głowę i błędnym wzrokiem patrzy w Felka).

CIMKIEWICZ

(wstając z lękiem)

Co pan zamierza robić.

FELEK

Zatkać jej nos.

CIMKIEWICZ
(nagle groźnie)

Panie!!!

FELEK
(jeszcze groźniej)

Panie?! Czy o dziwkę chodzi, czy o żonę! – Bo tylko dziwki nie wiedzą, z kim śpią!

CIMKIEWICZ

(jakby złamany, biorąc Felka pod ramię, prowadząc zaskoczzonego nagle zmianą w stronę stołu i sadzając na krześle)

Słuchaj pan, panie Zając (Siadając obok niego i częstując go papierosem i ogniem) Spróbujmy po dobroci. – Przy papierosie. – Jak starzy, dobrzy znajomi. – (po chwili) Widzi pan. Ja sam zmieniłem skórę. Co niegdyś wydawało mi się koniecznością, obecnie cięży mi jak ołów! – A cóż dopiero ona. – (Po cichu, robiąc pauzy) Przyszła do gotowego... o nic ją głowa nie bolała... na tych, którzy zamiast „mieć” muszą „zdobywać”, patrzyła od dziecka przez okno... nigdy nie przestąpiła progu ich nor... nigdy nie zrozumiała, co znaczy „móc jeść”, więc gdybyśmy nagle, prosto z mostu, to nie byłaby w stanie ani ocenić, ani odczuć... Do jej świadomości doszłyby tylko nagie fakta, a w naszym wypadku nagie fakta byłyby większym kłamstwem niż milczenie... (Wskazując Pana Franciszka) Chciał podzegać rodziców? – Jego matka chciała popełnić zbrodnię? – Ja chciałem tak, a nie inaczej? Niech się pan zastanowi, panie Zając, i jeżeli mimo to uzna pan za stosowne burzyć mu osobiste szczęście i świetnie rozpoczętą karierę – (wskazując lewe drzwi) proszę.

FELEK

(któremu papieros dawno wypadł z ręki, po kilkakrotnym spojrzeniu na Pana Franciszka i podrapaniu się w głowę)

Ha no... skoro pan w tych salonach nie ten... i skoro aż o burzeniu szczęścia mowa... to nie ma co. (Podchodzi do Pana Franciszka i podaje mu rękę) Z Panem Bogiem, Franek (ściska jego dłoń). Z Panem Bogiem (wciąż z dłonią w jego dłoni) A jakby ci dogadzało odwiedzić nas, przyjdź jutro do południa – Hotel Polski – uradziliśmy ze szykiem – głupstwo takie... (chce odejść).

PAN FRANCISZEK

(który podczas rozmowy Felka z Cimkiewiczem kilka razy podnosił wzrok pełen niepokoju – nagle chwytając Felka za ramię, zdławionym głosem)

Felek!... Co między... szoferami... w Warszawie!

FELEK

(który bystro spojrział na Pana Franciszka, ruszając ramionami)

Stara bieda. Za wszystko trzeba drogo płacić. (Sucho) Serwus (szybko wychodzi na prawo).

PAN FRANCISZEK

Felek! Co między szofe... (Przesuwając ręką po czole, głucho). Poszedł. (po chwili) Poszedł. (Robi się żaloszny nastrój. Cimkiewicz z założonymi w tył rękami zaczyna chodzić po scenie, od czasu do czasu rzucając niepewne spojrzenia w stronę Pana Franciszka. Pan Franciszek zaś siada na dawnym miejscu i zaczyna się bawić kieliszkiem, wlepiając weń oczy. Ale te oczy nabierają coraz bardziej niepokojącego wyrazu. Jakaś zaciętość, determinacja).

CIMKIEWICZ
(nagle przystaje)

PAN FRANCISZEK

(nie odrywając yizroku od kieliszka, bardzo wolno, jakby sennie)

Słyszał ojciec?

CIMKIEWICZ

(ponownie chodząc, bardzo chwiejnym głosem)

A tak, mój chłopcze. Za wszystko trzeba drogo płacić.

PAN FRANCISZEK

(wciąż bawiąc się kieliszkiem, bardzo wolno)

Jemu – też.

CIMKIEWICZ

(okradziony, nadrabiając miną)

Zapłacisz.

PAN FRANCISZEK

(jak wyżej)

Kiedy.

CIMKIEWICZ

Choćby... jutro w hotelu. – A jak poczujesz się na silnych nogach... Z ludźmi jak z ludźmi! – Ci sami, którzy by jednogłośnie, że twoja przeszłość „kompromituje” i tak dalej... raz jak porośniesz w piórka: „bohater”!

PAN FRANCISZEK

A dzisiaj – co.

CIMKIEWICZ

(szorstko)

Mamy wybór?!

PAN FRANCISZEK

(jak wyżej)

Nie mamy.

CIMKIEWICZ

No więc! – *(Po chwili)* Bo gdyby był przynajmniej nie wyjechał z tym lataniem i z tym dzwiganiami cegieł.

PAN FRANCISZEK

(jak wyżej, cedząc głoski)

To – drobiazg.

CIMKIEWICZ

(z nagłą irytacją)

Dla ciebie! Nie dla zatuszowania sprawy! – *(Po chwili)* Od razu wszyscy, gdzie, co, jak... „Pan profesor bez portek!” – Ładna historia i ładny temat dla młodzieży! – *(Po chwili chodzenia)* Myślisz, że mnie to także nie kosztuje? – Złoty chłopak! – Do rany przyłożyć! Ale co mam z nim począć?! No powiedz mi, co mam z nim począć!

PAN FRANCISZEK

Zwołać gości i – wytłumaczyć.

CIMKIEWICZ

(okłamując siebie samego)

Że wariat? Złodziej? – Przez gardło mi nie przejdzie!

PAN FRANCISZEK

(jak wyżej, zupełnie niesamowity)

Pomogę ojcu.

CIMKIEWICZ

(nagle zaniepokojony zachowaniem się Pana Franciszka)

Ty coś knujesz.

PAN FRANCISZEK

(coraz uporczywiej wpatrując się w kieliszek)

Bynajmniej.

CIMKIEWICZ

(z rosnącym niepokojem)

Słuchaj no! już nie jesteś sam na świecie i nie tylko za swój honor odpowiadasz.

PAN FRANCISZEK

Wiem.

CIMKIEWICZ

Okłamaliśmy ją.

PAN FRANCISZEK

Wiem.

CIMKIEWICZ

To również zobowiązuje. Może nawet więcej niż tamto.

PAN FRANCISZEK

Wiem.

CIMKIEWICZ

Ona cię... kocha.

PAN FRANCISZEK

(zrywając się gwałtownie)

Na miłość Boską, wiem!

CIMKIEWICZ

Nie potrzebujesz się unosić.

PAN FRANCISZEK

(siadając i wracając do bawienia się kieliszkiem)

Oczywiście.

CIMKIEWICZ

Tym bardziej, że dopiero przed kilku godzinami poznałem całą prawdę. Postawiłeś mi wobec faktów dokonanych. Zawiązałeś mi ręce. Na zrywanie bez skandalu było za późno.

PAN FRANCISZEK

Pewno.

CIMKIEWICZ

(po chwili chodzenia, niepewnym głosem)

Więc... tłumaczmy?

PAN FRANCISZEK

Tłumaczmy.

CIMKIEWICZ

(nagle tonem człowieka, który chce zwalić winę na drugich)

Skoro żądasz... *(Po chwili z dłonią na klamce lewych drzwi)* Ale stanowczo żądasz?

PAN FRANCISZEK

(bardzo niesamowicie i bardzo wolno)

Stanowczo żądam.

CIMKIEWICZ

(po chwili badawczego wpatrywania się w Pana Franciszka – z nagłą decyzją)

Zgoda! *(wychodząc w lewo i zostawiając drzwi otwarte, przez które dolatuje gwar ogólnej rozmowy)* Szanowni państwo...

TEMAT GWARU Z LEWEJ

- Nareszcie!
- Czegóż chciał!
- Cóż gadał!
- Niechże pan opowiada!
- Ze szczegółami!
- Tak, tak! Z najdrobniejszymi szczegółami!
- Bo to niezmiernie ciekawe!
- Prosimy!
- Słuchamy!
- Silentium, szanowni państwo! Silentium!

GŁOS CIMKIEWICZA

Otóż... *(chrząka)* No nic! Całą awanturę zlikwidowało się pomyślnie. – Biedaczysko zupełnie pomyłony...

GŁOSY Z LEWEJ

Niesłychane!

GŁOS CIMKIEWICZA

Wobec tego, idąc za wskazówkami Doktora...

PAN FRANCISZEK

(który od chwili przestał się bawić kieliszkiem, podniósł głowę i nadsluchiwał, jakby na stronie)

Brnie dalej. Brnie dalej.

GŁOS CIMKIEWICZA

(jednocześnie)

...staralem się jak najłagodniej...

GŁOSY Z LEWEJ

- Na pewno symulant!
- Gdzieżby się odważył...
- Z żoną? z dziećmi?
- Otóż to!
- Zatrzymywała go wszelkimi środkami...
- Nie, nie! Nie ma wątpliwości...
- Tym bardziej, że takie wypadki...

PAN FRANCISZEK

(nagle zrywa się na równe nogi, przypada do lewych drzwi, zamyka je w sposób graniczący z zatrzaśnięciem, po czym, jakby wyczerpany, wlokąc się w stronę stołu, trąc czoło i ciężko siadając na pierwszym z brzegu krześle, głucho)

To przecie zwariować można...

(Siedzi nieruchomo, z łokciami na stole, a twarzą ukrytą w dłoniach, ale po chwili prawa ręka opada bezwładnie na stół, jakby sięgała po kieliszek. Ten ruch pociąga za sobą spostrzeżenie, że kieliszek jest prawie pełny. Senne ujęcie kieliszka i podniesienie go do ust. Po kilku łykach ręka z kieliszkiem ponownie opada, kieliszek traci podstawkę, a szampan wylewa się na obrus. Chwila bezmyślnego wodzenia palcem po mokrej plamie, sięgnięcie po sąsiedni niedopity kieliszek. Wychylenie go duszkiem i ponowna katastrofa. Głupawy uśmiech na widok potłuczonego szkła, wreszcie wbicie łokci w stół, zatopienie palców we włosach i głuche, tragiczne)

To przecież zwariować można!...

(Lewe drzwi, przez które wciąż dolatywał gwar zmieszanych głosów – otwierają się – gwar oczywiście wzmocnić – i wchodzi, a raczej wynosi się „po angielsku” STARY HRABIA w towarzystwie INSPEKTORA. Stary Hrabia po koniakach, więc i w odpowiedniej „kondycji”. Spostrzega Pana Franciszka, wskazuje go Inspektorowi, po czym przykłada palec do ust, polecając milczenie. Inspektor porozumiewawczo kiwnął głową i obaj panowie zdążają na palcach – nieco chwiejnie – w prawo. Ale trudno powstrzymać się od uwag, więc już w pobliżu drzwi)

STARY HRABIA

(ponownie wskazując Pana Franciszka, szeptem budzącym umarłych)

Nie mówiłem? Cimkiewicz łże jak z nut.

INSPEKTOR

(licytując w szepcie Hrabiego)

Na pewno lewa ręka.

STARY HRABIA

(jak wyżej)

Ciszej!

INSPEKTOR

(bezsukutecznie starając się opanować szept, jeszcze głośnieji)
Tylko nie ta, o którejśmy myśleli.

STARY HRABIA

A czyja.

INSPEKTOR

(znacząco wskazuje prawe drzwi, a potem lewe).

STARY HRABIA

(przeoczy głową i wskazuje na Pana Franciszka, a potem na prawe drzwi).

INSPEKTOR

Hrabia mnie nie rozumie.

STARY HRABIA

(zniecierpliwiony)

Et! *(Biorąc Inspektora pod ramię i prowadząc ku drzwiom)* Nieślubny brat Zająca!

INSPEKTOR

(wskazując kciukiem Pana Franciszka)

On?

STARY HRABIA

No!

INSPEKTOR

(wciąż szeptem)

To Radca będzie tryumfował!

STARY HRABIA

Pał go diabli! *(wychodzą).*

PAN FRANCISZEK

(nieruchomy).

(Bezpośrednio po wyjściu Starego Hrabiego – znów wzmocnienie gwaru – wchodzi przez lewe drzwi PROFESOR WŁOSEK).

PROFESOR WŁOSEK

*(przystaje. Poza Pana Franciszka widocznie go niepokoi, więc podchodząc i lekko dotykając jego ramienia) Panie kolego! (Po chwili) Panie kolego! (Bezruch Pana Franciszka działa prze-
rażająco. Paniczna, oglądająca się za siebie, ucieczka w prawo, a Pan Franciszek – nierucho-
my). (Bezpośrednio po wyjściu Profesora Włoska wynoszenie się KANONIKA i RADCY.
Kanonik nic nie widzi, nic nie słyszy, ale za to Radca obserwuje za dwóch. Od razu odgadł
wszystko, na dowód czego trąca Kanonika łokciem, wskazuje na Pana Franciszka i objaśnia
sytuację szeregiem podgardlanych, technicznych prztyczków).*

KANONIK

Pi...i...i...i!?

RADCA

Pssst! *(przeszli)*.

(I oto wchodzi LUDA).

(Po zatrzymaniu się blisko drzwi i po chwili baczego, a jednocześnie pełnego strachu wpatrywania się w Pana Franciszka, podchodząc ku niemu parę kroków, niepewnym, ale starającym się o słodczy głos)

Kto to był... Franiu?

PAN FRANCISZEK

(silnie drgnął, ale nie zmienił pozy).

LUDA

(bardzo słodko)

Kto to był, Franiu.

PAN FRANCISZEK

(wciąż bez zmiany pozy i prawie bez głosu)

Chodź... bliżej, Luduś... Chodź... bliżej...

LUDA

(siadając naprzeciwko Pana Franciszka)

Do opowiadań ojca nie przywiązuję żadnej wagi. Sądzę, że Franio... również.

PAN FRANCISZEK

(jak wyżej, wyciągając przez stół rękę)

...podaj mi rękę...

LUDA

(podając rękę)

Człowiek anormalny nie działałby tak celowo...

PAN FRANCISZEK

(pieszcząc dłoń Ludy i ciągnąc dalej)

...powiedz... że mnie... kochasz...

LUDA

(ciągnąc dalej)

...ani tak... naiwnie...

PAN FRANCISZEK

(jak wyżej)

...i że tylko dlatego... przystałaś na nasze... małżeństwo...

LUDA

(po chwili wpatrywania się w Pana Franciszka)

Zaczynam Frania nie rozumieć.

PAN FRANCISZEK

Strach... okropny strach...

LUDA

Przede mną?

PAN FRANCISZEK
(wciąż pieszcząc jej dłoń)

... długa... okropnie długa... męka...

LUDA
(cofając rękę i powstając)

Jaka męka?

PAN FRANCISZEK
Nagle nadspodziewane... szczęście... *(Powstając i składając ręce jak do modlitwy)* Luduś! Powiedz, że mnie kochasz! Powiedz, że mnie kochasz!! Bo widzisz... ja... Chociażbyś mi nawet... Chociażbyś mi nawet... najgorsze... ja bym cię tym bardziej... tym goręcej...

LUDA
(z przerażeniem w oczach)

Kto to był!

PAN FRANCISZEK
Mój... *(opadając na krzesło i przybierając poprzednią pozę)* szwagier.

LUDA
(z szeroko rozwartymi oczami)

Kto?!!

PAN FRANCISZEK
(po chwili, nie zmieniając pozy)

Jestem... synem... zbrodniarzy...

CIMKIEWICZ
(który stanął w drzwiach, zamknął je na klucz i nie postrzeżony, z zapartym oddechem, niejako przykuty do miejsca słuchał, u szczytu przerażenia)
Milcz!

LUDA
(przerażona, do Cimkiewicza półgłosem)
Co on mówi... co on mówi...

PAN FRANCISZEK
(powoli, w czasie zupełnego ściemniania się sceny)
którzy... przed trzynastu... laty...

ZASŁONA

*(Po pauzie zasłona idzie w górę, po czym scena rozjaśnia się).
(Teraz znów Ludę zważyło z nóg. Opadła na krzesło, zarzuciła ramiona na stół i tak wplotła w nie głowę, że oprócz bieli welonu nic nie widać).*

CIMKIEWICZ I CIMKIEWICZOWA

(stoją za plecami Ludy, bezradni, zrozpaczeni, wpatrzeni w jej istic kataleptyczny bezruch).

DOKTOR X

(mówiąc w drzwiach do sąsiedniego pokoju z lewej)

Już można, tylko prosimy jak najciszej, bo jeszcze zupełnie nie minęło.

(Przez scenę zaczyna przeciągać korowód gości idących z tysiącnymi ostrożnościami, co pociąga za sobą liczne tracenie równowagi oraz komiczne niezgrabności gestów. Rzecz jasna, wszystkie oczy – słabsze, damskie, przy pomocy lornetek – wlepiają się w Ludę, z tym typowo towarzyskim, bezbolesnym, więc i miniastym współczuciem. Kilka osób obojga płci podchodzi do Cimkiewicza i wymienia z nim milczące, ale za to wymowne uściski dłoni).

UPRZEJMY GOŚĆ

(patrzac litośnie w Ludę – bez zatrzymywania się, jakby na stronie)

Biedactwo, nastraszyło się tego draba...

DOKTOR X

(do Cimkiewicza – czule)

Niestety, muszę również pożegnać... Więc od razu do łóżka. – 20 kropeł waleriany i wszystko minie bez śladu.

CIMKIEWICZ

(ściskając dłoń Doktora)

Dziękuję panu Doktorowi.

DOKTOR X

Uszanowanie. *(Po ukłonie, złożonym w stronę Cimkiewiczowej, zamyka korowód gości).*

(Pauza bez ruchu).

LUDA

(powoli podnosi głowę i błędnym, ale jednocześnie ostrożnym wzrokiem wodzi po scenie. Na końcu lustracji, oglądając się za siebie i spostrzegając Cimkiewicza, tym jakby zapłakany, ale ze złości zapłakany dyszkantem, przy jednoczesnym komizmie roztrzęsionej brody i maski zabeczanego dzieciaka. Przy końcu zdań zniżyć głos najwyżej o jeden ton i nie bać się pełnego komizmu)

Nie stójcie tak nade mną!... Zostawcie mnie samą!... Trzeba się było informować!... Od czego jesteście rodzicami!... I cóż ja teraz zrobię!... Cóż ja teraz zrobię!... Ale z wami zawsze tak!... Ciągłe gadanie o sercu! A jak co do czego przyjdzie!... Są przecież biura wywiadowcze!... Mogliście wynająć detektywa!... *(Ponownie padając na stół, z falą wściekłego beku)* I cóż ja teraz zrobię!!

CIMKIEWICZOWA

(trącąc męża łokciem)

Przemów do niej.

CIMKIEWICZ

Lepiej ty. Lepiej ty.

CIMKIEWICZOWA

(składając ręce, z wybuchem uczuć, płaczkliwie)

Dziecino moja najdroższa! Dziubusiu moja najukochańsza! *(Uderzając w bek)* Kiedy nie mogę! *(grają we dwie)*.

CIMKIEWICZ

Luduś!...

LUDA

(podnosząc głowę, jak wyżej)

Nieprawda!... Nikt ojcu nie uwierzy!... Po całej Polsce się rozniesie!... Nie będę żoną bandyty!... Nie będę żoną bandyty?... *(trzecie opadnięcie na stół, ponowna fala beku)*.

CIMKIEWICZ

(oszałały z rozpacz, do żony)

Przynies walerianę!

CIMKIEWICZOWA

(potakuje głową i wybiega na lewo).

CIMKIEWICZ

(bezpośrednio po „walerianę“)

Luduś, rozumiem dobrze...

LUDA

(jak wyżej)

Nic ojciec nie rozumie!... U nikogo ojciec nie bywa!... Ojcu się zdaje, że rozwód wystarczy!... *(Prawie zrywając się)* A rozwód nie wystarczy!... Pograży mnie jeszcze bardziej!... Powiedzą, że moja wina!... *(Czwarte opadnięcie na stół i fala beku)* Dość natykałam się awanij!...

CIMKIEWICZ

Luduś! Wierzaj mi! Nikomu przez myśl nie przejdzie! Zastanów się tylko! Wpada tutaj jak wariat! Dla niewtajemniczonych plecie trzy po trzy!...

CIMKIEWICZOWA

(wpadając ze szklanką wody w dłoń)

Waleriana! *(Podchodząc do Ludy, głaszcząc ją po welonie i podsuwając szklankę)* Zażyj kodusiu! Zażyj!

LUDA

(odtrącając szklankę, która pada na ziemię, tłucze się i woda opryskuje Cimkiewiczową)
Niech mi mama da święty spokój!...

CIMKIEWICZOWA

(chwytając ze stołu serwetę i na pamięć czyszcząc suknię, do Cimkiewicza, wciąż płaczkliwie)
Nie ma rady!

CIMKIEWICZ

(z odpowiednim gestem)

Później.

CIMKIEWICZOWA

(po oczyszczeniu sukni i odrzuceniu serwety siada w pewnej odległości od Ludy i wpatruje się w nią, przytakując żałośnie głową).

CIMKIEWICZ

(z założonymi w tył rakami chodzi po scenie, spoglądając na Ludę strapionym wzrokiem).

LUDA

(której płacz uspokaja się z wolna – tak ze od czasu do czasu, coraz rzadziej, wydobywa się z krtani pojedynczy szloch, podobny do krótkich, a głośnych wciągań nosem powietrza – podnosi głowę, podpira ją na rękę, patrzy przed siebie, ale jakby nagle zmieniła się w inną osobę. Koniec komizmu, zaczyna się coś w rodzaju tragicznej tępoty i wyczerpania. Więc prawie bez głosu, krótko)

Gdzie poszedł.

CIMKIEWICZ

(po chwili, drżącym głosem)

Nie wiem.

LUDA

(jak wyżej, po chwili)

Trzeba go będzie sprowadzić. *(Po chwili)* Trzeba mu będzie zamknąć usta. *(Po chwili, bezradnie trąc czoło)* Ale jak *(po chwili)* Ale jak.

CIMKIEWICZ

(nieśmiało)

Luduś... jeżeli mi pozwolisz parę słów... na jego obronę...

LUDA

(jak wyżej)

Mówię o tamtym, nie o nim.

CIMKIEWICZ

Tamten... w Hotelu Polskim.

LUDA

(jak wyżej)

Niech ojciec zaraz idzie.

CIMKIEWICZ

Najchętniej. Jednak z nim... też trzeba jakoś...

LUDA

(jak wyżej)

Przez adwokata. Z nim przez adwokata.

CIMKIEWICZ

(nagle błagalnie)

Luduś! To taki nieszczęśliwy człowiek! To człowiek, który cię tak szczerze kocha! Zastanów się przez noc! Staraj się wstawić w jego położenie! Nie miał odwagi! Nie miał sumienia! Bądź co bądź rodzona matka! W chwili szalu! Chcąc go ratować przed nieuniknioną katastro-

fą! Ty nie wiesz, co się jest w stanie zrobić dla dziecka, skoro się nie widzi innej drogi, a w dziecku wyższe aspira... *(urywa, przerażony zachowaniem się Ludy, która powstała, ściągnęła brwi i jakimś groźnie skupionym wzrokiem sparaliżowała mu język).*

LUDA

(po chwili, suchym, jakby lekko zdyszonym głosem, drżąc z oburzenia)

Dobrze. Skoro ojciec nie widział i nie widzi innej drogi, żeby moje wyższe aspiracje... to dobrze. Proszę wezwać obu. Na dziewiątą rano.

CIMKIEWICZ

(zupełnie wystraszony tonem Ludy)

Kiedy... bynajmniej nie narzucam...

LUDA

(prawie krzycząc)

Proszę wezwać obu na dziewiątą rano! *(szybko wychodzi).*

CIMKIEWICZ

(osłupiały)

Masz sobie! *(Po chwili, trąc czoło) Iść?... Nie iść?... (Po chwili z nagłą determinacją) Pójdę! (wychodzi na prawo).*

CIMKIEWICZOWA

(dopiero teraz dając pełny upust wezbranym uczuciom i becząc na cały głos)

A tak się ładnie składało!... *(litera „o” brzmi w dalszym ciągu łkań).*

ZASŁONA

AKT TRZECI

POKÓJ W HOTELU POLSKIM

Z lewej drzwi. Obok szafa. W głębi dwa bliźniacze łóżka, zwrócone nogami w stronę widowni. W głowach łóżek szafki nocne, w nogach otomana. Z prawej dwa okna z zapuszczonymi storami. Między oknami stolik, odgrywający rolę toaletki. Na stoliku karafka z wodą i szklanka. Nad stolikiem lustro. Na środku sufitu dwuramienny pająk, zaopatrzone w nieodzowne kwietne kielichy, z których wylaniają się naiwnie obnażone żarówki. Nieład życia rodzinnego. Tu dziecinne buciki, tam dziecinne ubranka. Tu flaszka z mlekiem, tam resztki prowiantowej kolacji, wydobytej z walizki i spożytej na porozkładanych „czerwoniakach”. Dużo było roboty, zanim się „to” najadło, rozebrało, dało ułożyć w lewym łóżku i nareszcie, główka przy główce, posnęło.

Toteż ZOSIA w szlafroczkach i pantoflach, ubożonych na gołe nogi, siedzi na otomance zadumana, bezradna i bynajmniej nie wesoła. Bo w dodatku zajście u Cimkiewiczów... Po Felku można się wszystkiego spodziewać... Jak go poniesie... Mówił, że zaraz przyjdzie... Nareszcie jest! – Ba! Ale jaki! – Ucieka ze wzrokiem, niby to najnaturalniej podchodzi do toaletki, wypróżnia kieszenie, chowa portfel pod poduszkę prawego łóżka – nakręca zegarek, składa go razem z brauningiem na szafce nocnej – papierośnicę, chociaż srebrną, prawie rzuca na toaletkę – zdejmuje marynarkę i starannie wiesza ją na krzesło – to samo robi z kamizelką – rozwiązuje krawatę, odpina kołnierzyk, otwiera koszulę na piersiach – przypomina sobie, że jest w czapce – rozgląda się za wieszadłem – jazda z czapką byle gdzie. – Przez chwilę majstruje coś koło nosa, bacznie przyglądając się w lustrze temu zbędnemu zajęciu – wreszcie sięga po papierośnicę i wyjmuje papierosa. Wymienione czynności mają jednakowoż niesamowite podłoże, o czym świadczą spojrzenia, rzucane ukradkiem na Zosię, która również śledzi ukradkiem każdy jego ruch. Najgorzej, skoro się spojrzenia spotkają. Wówczas następuje wzrokowy karambol: oczy odbijają się jak kule bilardowe i biegną w przeciwnych kierunkach, po czym, dla dodania sobie prestiżu, najlepiej – męska rzecz – pogwizdać. Ale nie za długo – wystarczy parę luźnych tonów. Oczywiście trzeba z tym raz skończyć. Przede wszystkim więcej światła, bo lampka na prawej szafce, okryta zielonym abażurem, nie wystarcza – a zatem – do kontaktu przy drzwiach.

FELEK

(po przekręceniu kontaktu, siadając koło Zosi, wciąż unikając jej wzroku, ale za to wyjmując z kieszeni od spodni zapalniczkę i z przejęciem zapalając papierosa, z rozbijającą sztuczną naturalnością)

I cóż tam nowego, Zosiu.

ZOSIA

(unikając Felkowego wzroku)

A nic, Feluś.

FELEK

(po poświstaniu)

Bo to nam źle?

ZOSIA
(*jak wyżej*)

Żeby tak wszystkim na świecie...

FELEK
Pokój elegancki... Przewietrzyć się nie zawadzi...

ZOSIA
No.

FELEK
(*nagle zły*)
Gadajże co, do cholery ciężkiej!

ZOSIA
Przecie gadam.

FELEK
(*mruczy*)
Akurat. (*po chwili*) Wyjdziemy jutro w południe.

ZOSIA
Może by lepiej z rana.

FELEK
Niby czemu! Uciekać nie potrzebujemy.

ZOSIA
Pewno, że nie potrzebujemy.

FELEK
No więc. (*Po pauzie*) Zawsze musisz inaczej.

ZOSIA
Ja naprawdę, Feluś...

FELEK
Bujanie! (*po pauzie*) Myślisz, że tam od razu brewerie...

ZOSIA
(*szybko*)

Nie, Feluś.

FELEK
...a ja tymczasem nic. (*Po pauzie*) Człowiek zrobił swoje... nie wymawiając, pchał go jak mógł... (*Zmieniając ton*) Zostało co z kolacji?

ZOSIA
(*szybko wstając i podchodząc do walizki*)
Przecie, że zostało.

FELEK

To dawaj.

ZOSIA

(podając bułki z szynką, zawinięte w papier)

Masz, Feluś. Masz.

FELEK

(po rzuceniu papierosa na posadzkę, rozwijając i jedząc bułki)

Głupota i tyle.

ZOSIA

Kiedy on...

FELEK

Co mi on! Chce? – dobrze. Nie chce? – drugie dobrze. Napraszać mu się nie będę.

ZOSIA

Tak nim okrutnie zatrzęsło...

FELEK

Mną także, psiakrew, zatrzęsło! *(Po chwili)* Żeby nie te baki i nie ty, to rany boskie!... *(Po chwili)* Swoim porządkiem użyli. Popamiętają ruski miesiąc.

ZOSIA

(głaszcząc Felka po głowie)

Więc... nabroiłeś, Feluś.

FELEK

(usuwając głowę)

Zostaw! – *(Po pauzie)* Bo jak my go wzięli na siebie, obiecywał zawsze przy nas, „po naszymu”... Obślinił mi całą gębę... „Za przeprowadzkę” powiada. *(Wskazuje posadzkę, a potem sufit)* „Stąd tam” powiada. Piękne mi „tam”. *(Po chwili)* Widziałaś ją?

ZOSIA

Przecie, że widziałam.

FELEK

I akurat na nią musiał trafić! Wszyscy wiali, aż im się z portek kurzyło, a ona beskurcja jedna *(udając wyniosły ton Ludy)* „O panu dowiem się później”.

ZOSIA

(z zapartym oddechem)

Więc ich porozganiałeś.

FELEK

(nadrabiając miną)

A porozganiałem! Załgali go, zaświnili go, nastraszyli, że go odleci...

ZOSIA

Chyba ci rozum odjęło.

FELEK

Mogą sobie i tak tłumaczyć.

ZOSIA

A mówiłam, żebyśmy się bez zaproszenia nie pchali! Franuś na takie rzeczy za miętki! Jak go odleci, nie przetrzyma! Uparłeś się...

FELEK

Pisał.

ZOSIA

O ślubie pisał. O zaproszeniu nie pisał. A jakby chciał, to byłby napisał. A nie napisał. Ani słóweczkiem nie napisał!

FELEK

(stając z rozkraczonymi nogami)

Długo tak jeszcze będzie?

ZOSIA

Ale na ciebie nie ma rady! Jak sobie do głowy przybierzesz, to żeby nie wiem co, musisz postawić na swoim. I poty będziesz zachodził, poty będziesz dowodził... A wszyscy nie mogą tak, jak ty! – Jednego stać na serce, drugiego nie stać na serce, i cóż on poradzi, chociażbyś mu leworwerem groził! – Wydalimy tylko pieniędzy, zwaliliśmy się jak głupi, na toś na niego harował, żeby mu od razu wszystko popsuć... Bo cóż on cię teraz obchodzi! *(Ze łzami w głosie)* Jak świnia, to świnia, a jak nie świnia, to trzeba było poczekać, aż się wyklaruje! – Ale na ciebie nie ma rady! *(Popłakując)* Żeby się człowiek przegadał...

FELEK

Skończyłaś?

ZOSIA

E!... Nie udawaj, Feluś! Sam wiesz najlepiej, że potem cię tylko skręca...

FELEK

Nic mię nie skręca – to raz. Nic mu nie popsulem – to dwa. Rozeszlimy się w zgodzie – to trzy. A ze starym, to my się nawet pokumali.

ZOSIA

(wciąż popłakując)

Co ty pleciesz! Co ty pleciesz!

FELEK

(siadając obok Zosi i bijąc się w piersi)

Jak Boga kocham! Poczęstował mnie papierosem i „słuchaj pan, panie Zając – powiada. – Spróbujmy – powiada – po dobroci”. I spróbowałimy po dobroci, i doszlimy ze sobą do końca.

ZOSIA

Ale z Franusiem toście do końca nie doszli! Z Franusiem to się dopiero zacznie! Zachciało ci się profesura, który by z nami, po naszymu... Gdzież takiego widział! Przy ceglarce?! W garażu?! – Pomogłeś mu wleźć między wrony – wlaź – niechże sobie tam paraduje, niech się sobie żeni do smaku, bylemy na tym nie ucierpieli!

FELEK

(wściekły)

Co mamy ucierpieć! Guzik mamy ucierpieć!

ZOSIA

(gwałtownie)

Nieprawda, Feluś! Tyś jeszcze mięk szy od niego!

FELEK

(groźnie)

Zośka!

ZOSIA

A mięk szy! Pysk to masz! Ale jak co do czego przyjdzie, to nawet byś muchy nie zabił!

FELEK

(coraz wściekniejszy)

Więc mam zabijać!!

ZOSIA

Kto powiada, że masz zabijać!

FELEK

Ty powiadasz, że mam zabijać!

ZOSIA

Pobudź dzieci! Pobudź dzieci!

FELEK

(z wściekłością rzucając się na marynarkę i nie mogąc jej nałożyć)

Psiakrew, sobacza, do cholery ciężkiej!

ZOSIA

Pięknie Feluś. Pięknie.

FELEK

(przerywając borykanie się z marynarką)

Jeszcze słowo, a pójdę.

ZOSIA

(pewna zwycięstwa, siadając na prawym łóżku, sucho)

A idź sobie.

FELEK
(z marynarką w dłoni)

Jak Boga Kocham, pójdę!

ZOSIA

Tylko jak pójdziesz, to nie wracaj.

FELEK
(wciągając marynarkę na jeden rękaw)

Dobra!!!

ZOSIA

I kamizelki nie zapomnij.

FELEK
(przystając naciągając marynarkę)

Wiedziałem, żeś głupia, ale nie wiedziałem, żeś taka głupia!

ZOSIA

Człowiek się uczy do śmierci.

FELEK
(rzucając marynarkę na krzesło i podchodząc do łóżka) Bo i o co ci chodzi! Szwagierstwo zataiłem, jeszcze coś więcej zataiłem, wzięli mnie za wariata... (siada na łóżku obok Zosi).

ZOSIA

A za co mieli brać.

FELEK
(kilkakrotnie spojrzawszy na bądź co bądź czarującoobrażoną Zosię, trącając ją łokciem pod bok)
Zosiu?... (Po chwili) Wiesz ty, co to za jedna?

ZOSIA
(ruszając ramionami)

Skąd mam wiedzieć.

FELEK
To ci powiem. (Po chwili) Ta od Bronkowego księcia.

ZOSIA

Jak?!

FELEK
A tak. Ta od Bronkowego księcia. Spaskudził ją, potem zwyczajnie dał nogę... nawinał się Franuś... każdy go w pole wyprowadzi... stary jak tabaka w rogu...

ZOSIA
(załamując ręce)

Rany Boskie!... i tyś to przed nim zataił?!

FELEK

Łatwo ci gadać. Niechby na ciebie takie oczy postawił, jak na mnie, to też byś zataiła. *(Prawie tragicznie, machając ręką)* Stracony chłop i tyle.

ZOSIA

(prawie szeptem)

Rany Bo...

(Pukanie do drzwi).

FELEK

(szybko wstając)

Pukają! *(W stronę drzwi głośno)* Kto tam!

PAN FRANCISZEK

(w rozpiętym paltocie, świecący frakową koszulą i krawatką – rozczochrany – blady jak ściana – zupełnie bez głosu – wchodząc)

Ja..

FELEK

(jakby ujrzał upiora)

Ty?!!!

PAN FRANCISZEK

(gorączkowo zdejmujecie paltot i wraz z kapeluszem rzucając na otomanę – bardzo nerwowo) Cicho, cicho. Ja. Trochę z wami... Trochę z wami... Żeby w zupełnym spokoju... Najzupełniejszym spokoju... *(Nagle idąc w stronę łóżek)* Aha! Dzieci. *(Głaszcząc po kolei główki dzieci)* To Feluś... to Zosia... a to Franuś. – Dla mnie Franuś! *(Ze drżeniem w głosie)* Dla mnie Franuś... *(Nagle siada na łóżku i zwrócony plecami do Felka i Zosi, wybucha spazmatycznym płaczem).*

ZOSIA I FELEK

(osłupiałym, bezradnym wzrokiem patrzą na Pana Franciszka).

PAN FRANCISZEK

(po długim płaczu, w pełnym szale rozpaczy, bijąc się pięściami w czoło) Bo po co było gadać!! Po co było gadać!! *(po chwili tępego patrzenia przed siebie, machając ręką – głucho)* Wszystko jedno. *(Po chwili wstając i idąc w stronę otomany)* Czy wcześniej, czy później... *(strącając kapelusz i paltot na posadzkę).* Dlatego będzie najlepiej *(kładąc się na otomanie plecami do widowni)* po staremu... we troje... *(po chwili bezruchu, na wół powstając, względnie zrywając się, do Felka)* Co mówisz?

FELEK

(zupełnie okradziony)

Ja?... Nic Franuś. Gdzie bym zaś.

PAN FRANCISZEK

(kładąc się jak wyżej)

Dziękuję ci. Wiedziałem, że mnie nie wyrzucicie. *(po chwili ustawicznego poprawiania się)* Tak źle i tak niedobrze... *(Po chwili)* Zosiu?

ZOSIA
(*podchodząc*)

Co, Franuś. Co.

PAN FRANCISZEK
(*biorąc ją za rękę i sadzając obok siebie*)

Po dowiedzeniu się... o matusi (*wskazując na Felka*) on cię... tym goręcej. Prawda?

ZOSIA
(*ruszając ramionami i rzucając Folkowi niby niechętnie spojrzenie*)

Lizuśnik taki!...

PAN FRANCISZEK
A ty Felek! Gdyby ze strachu, że ją porzucisz, zataiła... i gdyby ci dopiero w ostatniej chwili... w dzień ślubu... Co byś zrobił.

PELEK
(*po chwili wahania, technicznie*)

Spałeś z nią?

ZOSIA
(*zgorziona nietaktem Felka*)

Dajże spokój!

FELEK
(*do Zosi ostro*)

Na ceregiele nie pora! (*Siadając po drugiej stronie Pana Franciszka i kładąc dłoń na jego kolanie*) Jakiś z nią nie spał, to pluń, psiakrew, i dziękuj Bogu, żeś się zawczasu opatrzył.

PAN FRANCISZEK
(*rozpaczliwie, bezradny, wyłamując sobie kurczowo splecione palce*)
Nie mam sił.

FELEK
To weź babę za łeb. Albo jesteś mężem, albo nie jesteś mężem.

PAN FRANCISZEK
(*jak wyżej*)

Nie mam prawa.

FELEK
Masz prawo! Zataiłeś przed nią „śmierdzącą rodzinę”, ona zataiła przed tobą „śmierdzące serce”. Rozumiesz?

PAN FRANCISZEK
(*kryjąc twarz w dłonie, z wyrzutem*)
Felek!

FELEK

A tak! Inaczej byś nie wdepnął! Ale skoroś wdepnął, było mi wyraźnie napisać: „stało się nieszczęście – zakochałem się w draniu – nie przyjeżdżaj” – – i byłbym nie przyjechał. I nie miałbym żalu do ciebie. Z kobietą jak z nowym wozem. Żeby najlepsza firma, dopiero po roku wiesz, coś kupił.

PAN FRANCISZEK

(nie odsłaniając twarzy, wykonuje całym ciałem ruch wahadłowy, właściwy ludziom wijącym się z bólu).

FELEK

(po chwili)

Cóżeś jej naplótł.

PAN FRANCISZEK

(który po otarciu chustką czoła wycierał spalone wargi – macha ręką).

FELEK

Wszystko?

PAN FRANCISZEK

(potakuje głową i chowa chustkę do kieszeni).

FELEK

(zły)

Toś osioł!

ZOSIA

(z wyrzutem)

Feluś!

FELEK

A osioł! Babom się ze wszystkiego nie spowiada! *(Silne pukanie do drzwi).*

FELEK

(ostro)

Kto tam!

GŁOS CIMKIEWICZA

(zmieniony, jakby proszalny)

Cimkiewicz.

PAN FRANCISZEK

(zrywa się na równe nogi, nerwowo poprawia włosy, krawatę oraz kamizelkę).

ZOSIA

(rzucając się do porządkowania nieco rozgrzebanego łóżka)

Rany Boskie!

FELEK

(zwracając głowę w stronę drzwi i podchodząc do toaletki)
Za chwilę! *(Po szybkim włożeniu i zapięciu marynarki)* Można! *(Wszyscy troje maskują się na swój sposób. Felek „bierze” na cierpliwość. Zosia udaje, że w tę cierpliwość wierzy, Pan Franciszek pokrywa lęk prawie rycerską postawą, z którą nie licują oczy zbitego i skopanego psa).*

CIMKIEWICZ

(jakby o 10 lat starszy, bez śladu dawnej energii, miękko)
Najmocniej przepraszam, że o tak niewłaściwej porze, ale... *(wskazuje jakby wyczerpanym gestem na Pana Franciszka).*

FELEK

(nie ruszając się z miejsca)

Prosimy.

CIMKIEWICZ

(pod drzwiami, również nie ruszając się)
Moja córka... *(gest wyrażający bezradność).*

FELEK

(wskazując Zosię)

Moja żona.

CIMKIEWICZ

(podchodząc do Zosi z wyciągniętą ręką)
Ach... wybacz pani.

ZOSIA

Nie szkodzi.

CIMKIEWICZ

(ściskając rękę Zosi)
Cimkiewicz.

ZOSIA

Zającowa.

FELEK

(wciąż nieruchomy)
Wiadomo.

(Ciężka, kłopotliwa pauza)

FELEK

(nagle wskazując otomankę i jakby wystrzelając)
Najlepiej będzie tu.

CIMKIEWICZ

(siadając na otomanie)
Dziękuję panu.

(Znów pauza).

FELEK

(nagle podchodzi do toaletki, bierze papierośnicę, wreszcie częstując Cimkiewicza)
Może pan... papierosa zapali...

CIMKIEWICZ
(biorąc papierosa)

Dziękuję panu.

FELEK

(po schowaniu papierośnicy do kieszeni, podaje zapalniczkę)

Ogień...

CIMKIEWICZ
(po zapaleniu papierosa)

Dziękuję panu. *(Po chwili, kręcąc papierosem w palcach)* Moja córka... *(„powoli podnosi głowę i kolejno, szklanym wzrokiem patrzy przez chwilę na Zosię, potem na Pana Franciszka, wreszcie zatrzymuje się na Felku).*

FELEK

(po wytrzymaniu wzroku Cimkiewicza)

A pan?

CIMKIEWICZ
(opuszczając głowę z goryczą)

Cóż ja!

PAN FRANCISZEK
(silnie drgnął).

FELEK

To niby ślus?

CIMKIEWICZ
(rozkłada ręce, a potem bezwładnie opuszcza je na kolana).

FELEK

A niby czemu. *(Po pauzie, wskazując Pana Franciszka)* Namówił matkę? – *(Po chwili)* Był wtedy w domu? *(po chwili)* Nie wyszedł na ludzi?

CIMKIEWICZ

(jak wyżej).

FELEK

No to czemu.

CIMKIEWICZ
(prawie bez głosu)

Tyle na raz... Tak późno...

FELEK
(z wybuchem)

Bo ją na swoje nieszczęście kocha!!

ZOSIA
(otwarła usta, jakby miała krzyknąć ze strachu, ale natychmiast zasłoniła je dłonią)

PAN FRANCISZEK
(drżącą ręką daje znak Folkowi, żeby milczał)

CIMKIEWICZ
(bezpośrednio po wybuchu Felka, boleśnie kiwając głową).

Wiem.

FELEK
No! (chodząc wielkimi krokami po scenie). Ale wyszlifowana na glanc! Ale wszystko jej śmierdzi! (Wskazując na Cimkiewicza) Nawet pan jej śmierdzi!

CIMKIEWICZ
(jak wyżej)

Wiem.

FELEK
(stając przed Cimkiewiczem z rozkraczonymi nogami)
I pan jej za to na pysk nie wyrzuci?!

CIMKIEWICZ
Też kocham.

FELEK
Pięknie pan kocha. Jakby trafiła na innego, a nie na mnie...

CIMKIEWICZ
(przerywając)
Bóg mi świadkiem...

FELEK
(przerywając)
Że co! Że zamiast folgować było prać!

CIMKIEWICZ
(budzący litość)
Panie Zając. Nie wziął pan pod uwagę okoliczności łagodzących. Spadło na nią jak grom. Pełno gości... Wszystkie oczy zwrócone... niebywały skandal...

PAN FRANCISZEK
(który najwidoczniej rozdygotany, wciąż szarpał ślubną obrączkę, zdejmując i nakładając ją na palec, zupełnie zdławionym głosem do Cimkiewicza)
Kłamstwo! (Do Felka) Chciałem otwarciem! Nie pozwolił! Chciałem zwrócić pierścione! Kazał mi z powrotem na palec!

CIMKIEWICZ

(również do Felka)

Parę godzin przed ślubem, panie Zając!

PAN FRANCISZEK

(wciąż do Felka, podczas słów Cimkiewicza)

A jako powód... A jako powód... że filigranowe cacko! Że mimoza!

CIMKIEWICZ

(gwałtownie)

Miałeś milczeć!

PAN FRANCISZEK

A moje sumienie?! A mój honor?! A moje długie wdzięczności *(wskazując Felka i Zosię)* wobec nich?!

CIMKIEWICZ

(krzyczy)

A honor mojego domu!!!

PAN FRANCISZEK

(wprost ryczy)

Pluję na pański dom!!!

CIMKIEWICZ

(podnosząc pięść do uderzenia)

Jak pan śmie!!!

PAN FRANCISZEK

Łotry!!

(Obaj rzucają się na siebie).

ZOSIA

Rany Boskie!

FELEK

(który bezpośrednio po „Kłamstwo” Pana Franciszka powstał z łóżka, zdjął marynarkę i, widziony instynktem fachowca, zakasał rękawy u koszuli, rzucając się między zapasników i roztrzacając ich na dwie strony)

Spokój!!!

CIMKIEWICZ I PAN FRANCISZEK

(dyszają jak miechy kowalskie, są oszołomieni, prawie nieprzytomni).

(Po chwili Cimkiewicz zatacza się na otomanę, a Pan Franciszek na krzesło przed toaletką – wreszcie obaj wyjmują chustki do nosa i ocierają zroszone potem twarze).

FELEK

(przyprawdzając do porządku rękawy od koszuli i nie spuszczać oka z wojowniczych gości, jakby na stronie)

Wzięło ich.

(Po opuszczeniu rękawów, dojściu do toaletki, nalaniu wody do szklanki, podchodząc do Cimkiewicza i podając mu szklankę – technicznie)

Pij pan.

CIMKIEWICZ

(kiwa głową, pije duszkiem kilka łyków i oddaje szklankę Felkowi, Ten podaje ją Panu Franciszkowi)

FELEK

Pij Franuś.

PAN FRANCISZEK

(po wypiciu reszty wody ze szklanki, zachowuje się jak Cimkiewicz)

FELEK

(po postawieniu szklanki na toalecie, przywołuje gestem Zosię)

ZOSIA

(po kiwnięciu głową podchodzi do Felka)

FELEK

(do Zosi szeptem)

Nie było innej rady. Byliby się na śmierć pozabijali.

ZOSIA

(szeptem)

No przecie.

FELEK

Może by jakoś... *(wskazując głową Cimkiewicza)* przeprosić...

CIMKIEWICZ

(bez ruchu)

Za wszystko odpowiadam tylko ja.

FELEK

(krzywiąc się odpowiednio, daje Zosi znak ręką, żeby odeszła)

ZOSIA

(siada na prawym łóżku)

FELEK

(skrobiąc się w kark i kręcąc głową, bada przez chwilę sytuację, po czym skrada się na palcach, siada na łóżku koło Zosi i przykładając palec do ust, nakazuje milczenie).

ZOSIA

(potakuje głową)

CIMKIEWICZ

(po pauzie, bez ruchu, z wzrokiem wbitym w posadzkę, głucho)

Bo ma pan rację, panie Szywalski. – Ma pan zupełną rację. – Nie parę godzin przed ślubem, ale jedna godzina wystarczała. *(po chwili)* Wolno panu pluć na mój dom. – *(Po chwili)* Ale nie wolno panu przypuszczać, że działałem z niskich pobudek. – Nie. – Cenię pana za pański charakter. Cenię pana za pańskie serce, kiedy – pamięta pan – czułem się w obowiązku odkryć *(uderzając się w piersi)* moje karty i pan zamiast pogardy... współczucie. *(Po chwili)* A przede wszystkim cenię pana za to, że pan był gotów zerwać, choć wiem, jak pan ją bezgranicznie... *(po chwili)* Nie mogłem przyjąć tej ofiary. – Nie mogłem. – *(Po chwili)* Stałem po pańskiej stronie. *(Po chwili, prawie z wybuchem)* Bo uczciwszego męża nie znajdzie! *(Po chwili, głucho)* Chodź pan.

PAN FRANCISZEK

(który podniósł głowę i z osłupieniem słuchał, a potem wbił łokcie w kolana i twarz zatopił w dłoniach, podchodzi do otomanki i siada obok Cimkiewicza).

CIMKIEWICZ

(który na chwilę nie oderwał wzroku od posadzki)

A jeśli przed chwilą... rzuciłem się na pana...

PAN FRANCISZEK

(nagłym ruchem bierze Cimkiewicza w ramiona)

CIMKIEWICZ

(obejmując go)

Do czegośmy doszli!

FELEK

(do Zosi bardzo cicho)

Los, psiakrew.

ZOSIA

(głęboko wzruszona, macha ręką).

CIMKIEWICZ

(otrząsając się)

Rzeczowo, chłopcze. Rzeczowo.

PAN FRANCISZEK

(ocierając chustką czoło)

Słucham.

CIMKIEWICZ

(po chwili)

Nadzieja mała. – Jednakowoż... Jeżeli ci to nie sprawi jeszcze większego bólu niż zaparcie się twoich najbliższych... spróbujemy wspólnymi siłami...

PAN FRANCISZEK

(wciąż bez głosu)

Kiedy.

CIMKIEWICZ

Z początku nie chciała o niczym słyszeć... w końcu zrozumiała, że tak nie można... i... *(Po chwili)* Jutro.

PAN FRANCISZEK

O której.

CIMKIEWICZ

O... dziewiątej rano.

PAN FRANCISZEK
(prawie szeptem)

Dobrze.

CIMKIEWICZ

Ale... żeby... ponieważ chce, jak mówi... oczyścić się w oczach... *(urywa)*.

PAN FRANCISZEK

Dla ojca nawet i to.

CIMKIEWICZ

Nie nie. Myślisz o gościach. Tymczasem chodzi wyłącznie o... pana, panie Zajac.

ZOSIA

(powstając żywo, do Cimkiewicza)

Z niego nie będzie pociechy!

FELEK

(który także wstał)

Właśnie, że będzie.

CIMKIEWICZ
(wyciąga rękę)

FELEK

(nie przyjmując wyciągniętej ręki)

Pomaluśku. – Tylko uważa pan... niby, że tak powiem... jak mię podleci, panie, to wtedy niby co.

CIMKIEWICZ
(rozkładając ręce)

Jej wola.

FELEK

(siadając koło Pana Franciszka i trącając go łokciem)

A jak ty miarkujesz, Franuś. Iść?

PAN FRANCISZEK

(który propozycję Cimkiewicza przyjął z widocznym niepokojem, milczy)

FELEK

Może być gruch. Obiecać, obiecuję, a i tak może być gruch! *(Po raz drugi trącając go)* No, jakże, Franuś: Iść?

PAN FRANCISZEK

(po chwili wyłamywania sobie palców, prawie z nienawiścią, przez zaciśnięte zęby)
Niech raz usłyszy!

FELEK

(patrzac na Pana Franciszka badawczo i grożac mu palcem)
Tylko... żebyś mi potem nie wymawiał...

PAN FRANCISZEK

(sucho)

Nie będę.

FELEK

(do Cimkiewicza)

Ani pan.

CIMKIEWICZ

Ani ja.

FELEK

Bo widzi pan, to jest tak. Wszystko ścierpę. I krzyk, i wymyślanie, i w zęby... ale tego „tiu tiu tiu” na spokojne, a z góry. *(Zrywając się)* Panie! Jak sobie przypomnę... *(Zmieniając ton)* Musi po ludzku.

CIMKIEWICZ

Tak, tak. Musi po ludzku. Z drugiej strony, zechce pan uwzględnić... Ona już inaczej nie potrafi! – Więc gdyby przypadkiem wydawało się panu, że specjalnie w stosunku do pana, to proszę mi wierzyć, byłby pan w błędzie, ponieważ weszło jej w krew i... no i... *(Nagle chwytając Felka za obie ręce i potrząsając nimi serdecznie)* Panie Zając! Pański szwagier tyle panu zawdzięcza, niechże panu zawdzięcza jeszcze to!

FELEK

(z lekkim ruchem ramion)

Mogę nie puszczać pary.

CIMKIEWICZ

Przeciwnie! W razie odrzucenia i moich, i jego próśb...

FELEK

(wirywając dłonie z dłoni Cimkiewicza, stanowczo)

Nie strzymam! *(chodzi po scenie)*.

CIMKIEWICZ

(chodząc trop w trop za Felkiem)

Strzyma pan.

FELEK

(zły)

A ja powiadam, że nie strzymam! *(chodzi dalej)*.

ZOSIA

Gdzieżby strzymał!

CIMKIEWICZ

(jak wyżej, prawie błagalnie)

Był pan naocznym świadkiem! Dzielił się pan z nim ostatnim kawałkiem chleba!

FELEK

(przystając)

Żadnym „ostatnim”. Nikt się „ostatnim” nie dzieli! *(chodzi dalej)*.

CIMKIEWICZ

Oczywiście, że nikt. Ale jako świadek i bezinteresowny przyjaciel potrafi pan skuteczniej od nas przemówić jej prosto do serca... bo przecież niemożliwe, żeby go całkiem brakowało...

FELEK

(wstrząśnięty ostatnim zdaniem Cimkiewicza, szorstko) Czekaj pan! *(Podchodząc do Pana Franciszka)* Franuś? Masz jej dość czy nie masz jej dość. Gadaj.

PAN FRANCISZEK

(który z ponownym budzeniem się nadziei śledził tę scenę, milczy).

FELEK

Franuś. Choćby nawet nie wiem co. Choćby nawet to, co ci się z tymi szoferami przywidziało – wolisz przy niej?

PAN FRANCISZEK

(potakuje głową)

FELEK

Na sumienie wolisz przy niej?

PAN FRANCISZEK

(jak wyżej)

FELEK

(do Cimkiewicza)

No to... strzymam.

CIMKIEWICZ

(chwytając dłonie Felka)

Panie Zajac!

FELEK

Trudno. Nieszczęścia chodzą po ludziach.

CIMKIEWICZ

(z bólem)

A chodzą! *(Kłaniając się Zosi)* Żegnam panią.

ZOSIA

Dobranoc...

CIMKIEWICZ

(do Felka)

Więc o dziewiątej.

FELEK

O dziewiątej.

CIMKIEWICZ

(idąc w stronę drzwi, jakby na stronie)

I może jakoś wybrniemy... *(wychodzi)*.

(Krótka pauza i zupełny bezruch).

PAN FRANCISZEK

(machinalnie podnosi paltot i zaczyna go nakładać na lewe ramie)

FELEK

(miętko)

Zostaw. Co byś tam w pustym mieszkaniu...

PAN FRANCISZEK

(zdejmując palto)

Jeżeli mi... pozwolicie...

FELEK

Otomanka jest...

PAN FRANCISZEK

(nie tyle kładzie się, ile pada jak długi na otomankę)

ZOSIA

(szybko podchodząc do prawego łóżka)

Damy ci Jaśka pod głowę...

PAN FRANCISZEK

(zupełnie podobny do nieboszczyka, daje sobie lekko unieść głowę i podsunąć poduszkę).

FELEK

(który przyglądał się tej operacji, idąc po pled złożony na walizce)

Przykryjemy cię pledem...

ZOSIA

(podchodząc do kontaktu)

Zgasimy światło... *(po przekręceniu kontaktu stoi w miejscu i litośnie kiwa głową, wpatrując się w brata).*

FELEK

(przy świetle lampki na szafce nocnej, troskliwie okrywając Pana Franciszka pledem)
...i będziesz po staremu... we troje... *(To chwili wpatrywania się w niego, z dłonią przy ustach, szeptem do Zosi) Śpi.*

ZASŁONA

AKT CZWARTY

U LUDY

Ultramodern salonik. Z prawej na oścież otwarte drzwi, w głębi dwa okna. Obowiązkowa lampa na mahoniowej podstawie, ozdobiona olbrzymim i jak parasol na gładko obciągniętym abażurem. Meble puszą się pstrymi fornirami, które odwracają uwagę od ich pocziwej biedermajerowszczyzny. Wszystko bezwzględnie celowe, oczyszczone z grzesznej fantazji zdobnictwa. Z lewej pod lampą „kącik” Ludy. Z prawej kanapa i okrągły stół, ozdobiony luksusowymi okazami ilustrowanych dzieł i otoczony wyścielanymi krzesłami. Na ścianie orgia LUD impresjonistycznych, futurystycznych, kubistycznych, formistycznych, aż do „abstrakcyj” włącznie. Biurko, na biurku telefon. W tym ujmująco lodowatym otoczeniu siedzi

LUDA, ubrana w bajeczną dernier cri pyjamę i poleruje sobie paznokcie.

Po chwili wchodzi widocznie zafrasowany CIMKIEWICZ i wręcz tragiczna CIMKIEWICZOWA, pomimo że przywdziała wizytową suknię i twarz przystroiła jak na bal. Brylantowe kolczyki robią wrażenie, że płacze nawet uszami).

CIMKIEWICZ

(podchodząc do Ludy i całując ją we włosy)

Dzień dobry, Luda.

LUDA

(nie przerywając zajęcia, chłodno)

Dzień dobry, ojczu.

CIMKIEWICZOWA

(zachowując się jak mąż, boleściwie)

Dzień dobry, kotuleńko...

LUDA

(jak wyżej)

Dzień dobry, mamu...

(I Cimkiewicz i Cimkiewiczowa, ta ostatnia kiwając głową, stoją chwilę nad Ludą, po czym on z gestem „cóż robić” siada z prawej i zaczyna nerwowo, byle coś zrobić z rękami, wertować jedno z ilustrowanych dzieł, spoglądając co chwila na Ludę, to na zegarek).

LUDA

(bardzo sucho)

Przyjdą?

CIMKIEWICZ

Przyjdą.

LUDA

To dobrze.

CIMKIEWICZOWA

(po szeregu westchnięć i chrząknięć, mających zagaić rozmowę, siada naprzeciw Ludy, z widocznym trudem znosi udrękę milczenia, wreszcie, nie mogąc dłużej wytrzymać, płacząco, z dodatkiem nieśmiałości) Jak się czujesz?

LUDA

(jak wyżej)

Jak zwykle.

CIMKIEWICZOWA

Chwała Bogu.

(Pauza)

CIMKIEWICZOWA

A jak spałaś.

LUDA

(jak wyżej)

Jak zwykle.

CIMKIEWICZOWA

Chwała Bogu.

(Pauza).

CIMKIEWICZ

(po raz trzeci spogląda na zegarek).

LUDA

Która?

CIMKIEWICZ

(nagle zamykając książkę i wstając)

Za parę minut dziewiąta. (Z założonymi w tył rękami zaczyna chodzić po scenie. Jego niepokój zdradza się ustawicznym splataniem i rozplatanem palców).

(Pauza)

CIMKIEWICZOWA

Najgorsze to to czekanie.

LUDA

(wciąż zajęta paznokciami)

Jeżeli mamę denerwuje...

CIMKIEWICZOWA

(z wybuchem uczuć)

Gdzieżbym cię w takiej chwili opuszczała...

LUDA

Skoro tak...

(Pauza)

CIMKIEWICZOWA
(po chwili wahania)

A nie przebierzesz się choć trochę?...

LUDA

Nie.

CIMKIEWICZOWA

Bo ludzie prości...

LUDA

Nikt o dziewiątej wizytowych sukien nie kładzie.

CIMKIEWICZOWA
(skubiąc swoją suknię)

Przecie zupełnie pojedyncza.

LUDA

Najzupełniej.

(Pauza)

CIMKIEWICZ

(który od chwili stał w oknie i niby patrzył na ulicę, nagle zwracając się do Ludy)
Luda?...

LUDA
(lodowato)

Słucham...

CIMKIEWICZ

Po moim powrocie od nich... miałem zamiar poruszyć... pewną... że tak powiem... „delikatną” sprawę... ale cóż, kiedy zamknęłaś się w sypialni...

LUDA

(która przy „delikatnej sprawie” z niepokojem spojrzała na Cimkiewicza, jak wyżej)
Byłam zmęczona.

CIMKIEWICZ

Tak tak – byłaś zmęczona... a chociażbyś nawet nie była zmęczona, byłbym prawdopodobnie dał spokój, bo... Jak to w życiu! Tu obowiązek, honor... Tam znowu względy natury „uczuciowej”...

LUDA

(bardzo górną i agresywnie)

Jeżeli chodzi o warszawskie plotki, to zechce się ojciec zwrócić z nimi do szoferów. Jeżeli zaś chodzi o inne „względy natury uczuciowej”, to, o ile mi się zdaje, zostały wzięte pod uwagę wczoraj.

CIMKIEWICZ

Tak tak. Ale... uważasz... czasem pominie się jakiś ważny szczegół...

LUDA

Na przykład?

CIMKIEWICZ

No na przykład... z obawy przed czymś za silnym wstrząsem... w nadziei, że... wspólne życie... ułatwi... *(po chwili wahania)* dojdzie do... porozumienia...

LUDA

(jak wyżej, cedząc głoski i dopowiadając)

...unika się paniki i nie przedsięwzięje się żadnych kroków?

CIMKIEWICZ

(zaskoczony)

W jakim celu wyrażasz się w tej formie.

LUDA

Żeby „wyjaśnić” powód, dla którego pan Zając, zamiast zlecieć ze schodów, co licowałoby ze znaną gwałtownością ojca...

CIMKIEWICZOWA

(która siedziała jak na rozżarzonych węglach)

Sam doktor zabronił go drażnić!

LUDA

(do Cimkiewiczowej z prostotą, jakby chodziło o drobiazg)

To i mama była wtajemniczona?

CIMKIEWICZOWA

(bijąc się w piersi)

Bogiem się świadczę...

LUDA

(do Cimkiewicza)

A ojciec kim?

CIMKIEWICZ

(prawie, że zapominając języka w gębie)

Na... na jakich danych...

LUDA

Czemu się ojciec zapiera.

CIMKIEWICZ

Bynajmniej się nie zapieram. Mogłem równie dobrze... zwąchać pismo nosem... Bandyci nie włączą się z rodzinami...

LUDA

A to przerażone: „Milcz!” – kiedy zaczął o swoich rodzicach?

CIMKIEWICZ
(*tracąc głowę*)

Pan Zając?

LUDA
(*z politowaniem*)

Kochany ojciec.

CIMKIEWICZ
Ach tak! – No cóż, każdemu wolno się przerazić...

LUDA
A ta gorliwa „apologia” po jego ucieczce, do, jak się okazuje, hotelu?

CIMKIEWICZ
(*z rozpaczy, gwałtownie*)
To trzeba mi było od razu, żebym go tutaj nie sprowadzał!

LUDA
(*z wybuchem*)
Mnie też, żebym go od razu jak psa!!

CIMKIEWICZOWA
Jesus Maria!

LUDA
(*już opanowana*)
Niestety... skoro był „upoważniony”... skoro miał prawo zaręczać się bez zrzucenia maski...

CIMKIEWICZ
(*przeżony*)
Nieprawda!

LUDA
(*ostro*)
Teraz „ja” mówię? – (*po chwili znów opanowana, kończąc poprzednie zdanie*) to pozostały mi dwa wyjścia: albo zerwać przede wszystkim z ojcem, a następnie z nim, albo przystąpić do waszej „spółki” i dla ratowania honoru domu...

CIMKIEWICZ
(*przerywając*)
Słuchaj, Luda. Jesteś o tyle niesprawiedliwa, że ja również... nie wiedziałem... nic.

LUDA
(*uderzając dłonią w poręcz fotela*)
Znowu!

CIMKIEWICZOWA
Bóg świadkiem!...

CIMKIEWICZ

(do żony)

Zostaw! *(Do Ludy)* Wiedziałem tylko, że... ze wsi... że zamożny szwagier pomagał... że człowiek o wybitnych zdolnościach... że przywiązany do ciebie może nawet więcej ode mnie... A reszta?... Cóżem miał począć?... – Z jednej strony takie okropne nieszczęście... z drugiej” strony niebywały skandal... Na odproszenie gości za późno...

LUDA

(która słuchała z rosnącym napięciem)

Co to znaczy?

CIMKIEWICZ

To znaczy, że... że wyjawiał mi... parę godzin... przed tobą.

LUDA

Jak to „parę godzin przede mną?”

CIMKIEWICZ

No... tobie wieczorem... mnie w południe...

LUDA

(powstając)

W jakie południe!

CIMKIEWICZ

No... przedślubne.

LUDA

Co ojciec opowiada!

CIMKIEWICZ

Przecież tłumaczyłem.

LUDA

Co ojciec tłumaczył!

CIMKIEWICZ

Że z jednej strony takie okropne nieszczęście...

LUDA

(prawie z tryumfem)

Ależ to skończone łajdactwo! Ależ to najpospolitszy szantażysta!!

CIMKIEWICZ

(gorączkowo)

Mylisz się!

LUDA

Nie myślę się! Zagroził ojcu skandalem! Przymusił ojca do milczenia!

CIMKIEWICZ

Na miłość Boską!...

LUDA

(prawie goniąc po scenie)

I ja głupia! I ja idiotka przez całą noc łamałam sobie głowę nad sposobami... Niech teraz spróbują! Niech się ośmielą słowo pisnąć! *(Rzucając się na fotel, mściwie i zwycięsko)* Zobaczmy, kto walczy lepszą bronią!

CIMKIEWICZ

(do żony, która i tak zerwała się i stróżowała przy drzwiach)

Pilnuj drzwi! *(Siada obok Ludy)* Luduś! Przysięgam ci na wszystkie świętości, żadnych łajdactw nie było! Żadnych szantażów nie było! Postępowałem zgodnie z sumieniem i chociażbyście mnie odsadzili od czci i wiary, będę go nadal uważał za jednego z najporządniejszych ludzi, jakich znam!

LUDA

(bardzo z góry)

Rzecz zapatrywania. Gdybym miała „rodziców z przeszłością”...

CIMKIEWICZ

(który zacisnął pięści, przerywa)

Dzieci rodziców nie wybierają!

LUDA

(z naciskiem)

Ale za nich odpowiadają. *(Kończąc poprzednie zdanie)* i gdyby starano się o moją rękę, to zapewniam ojca, wolałabym „kamienie tłuc”...

CIMKIEWICZ

(gwałtownie)

W pizamie?!

LUDA

(ostro)

Co ojciec przez to chce powiedzieć!

CIMKIEWICZ

(drżąc ze wzburzenia)

Że kamienie najłatwiej tłuc – językiem!

LUDA

(jak wyżej)

W braku silniejszych argumentów.

CIMKIEWICZ

Nie igraj z ogniem, Luda!

LUDA

(sucho)

Terror?

CIMKIEWICZ

Powtarzam ci, nie igraj z ogniem! Są argumenty tak silne...

CIMKIEWICZOWA

(która zajmowała się wyłącznie stróżowaniem, co pociągało za sobą prawie ustawiczną nieobecność górnej połowy ciała – rzucając się na fotel, prawie z szałem) Idą!

(Wśród gorączkowych zabiegów przybiera „salonową” pozę, przy czym pojawiają się na jej ustach przelotne, rozpaczliwie ćwiczebne półśmiechy).

LUDA

(bezpośrednio po okrzyku Cimkiewiczowej)

Chwała Bogu.

CIMKIEWICZ

Czy chwała Bogu, to się dopiero poka...

CIMKIEWICZOWA

Lokaj?

LOKAJ

Pan profesor i ten jakiś tam z Warszawy.

LUDA

(po wielkopansku)

Prosić!

CIMKIEWICZ

(prawie gwałtownie)

Proś!

LOKAJ

(wychodzi).

CIMKIEWICZ

(do Ludy)

Ha no... Zrobiłem swoje... ostrzegałem...

(W drzwiach stają zmarnowany Pan Franciszek i raczej speszony Felek).

CIMKIEWICZOWA

(nie mogąc wstrzymać okrzyku)

Już są!

FELEK

(z dość niezgrabnym ukłonem do Cimkiewiczowej)

A przyszlimy.

PAN FRANCISZEK

(składa zimny ukłon).

LUDA

(która przelotnie spojrzała na Cimkiewicza wertującego kartki jak wyżej – podchodząc do Felka i podając mu rękę)

Witam pana.

FELEK

Uszanowanie *(okradziony całuje jej rękę, po czym ociera sobie usta dłonią).*

LUDA

(ignorując Franciszka i przedstawiając matce Felka)

Pozwoli mama... Pan Feliks Zając...

CIMKIEWICZOWA

(przygwożdżona do fotela)

Miałam przyjemność wczoraj wieczór...

FELEK

(coraz bardziej okradziony, nagle waląc w stronę Cimkiewiczowej, chwytając jej rękę i całując)

Uszanowanie!

CIMKIEWICZOWA

(podskoczyła ze strachu na fotelu)

LUDA

(siadając na dawnym miejscu i wskazując Felkowi fotel)

Będzie pan łaskaw...

FELEK

(pociągając Franciszka za marynarkę)

Chodźże, Franuś.

PAN FRANCISZEK

(który kurczowo zacisnął pięści, przez zęby, krótko, półgłosem)

Zostaw.

LUDA

(powtórnie wskazując fotel, do Felka)

Będzie pan łaskaw „usiąść”.

FELEK

(dziwaczny)

My... we dwóch.

LUDA

(z naciskiem)

Będzie pan łaskaw „usiąść”, panie Zając.

FELEK

(po spojrzeniu na Pana Franciszka i ruszeniu ramionami)

Do usług *(siada).*

(Pauza)

CIMKIEWICZ

*(do tej pory palcem nie ruszył, nagle podchodząc do Pana Franciszka i demonstracyjnie wy-
ciągając rękę)*

Jak się masz!

PAN FRANCISZEK

(robiąc przeczący ruch ręką, jak wyżej)

Nie, nie!

CIMKIEWICZ

(po prawie nienawistnym spojrzeniu w stronę Ludy, przez zaciśnięte zęby)
Racja *(szybko wraca na dawne miejsce i ponownie wertuje dzieło jak w poczekalni).*

LUDA

(nie spuszczać oka z Cimkiewicza)

Ślicznie.

FELEK

(poprawił się na fotelu tak, jak się poprawia przed wyruszeniem w bój)

LUDA

*(zaznaczając, że Pan Franciszek dla niej nie istnieje i podając Folkowi srebrne pudełko z pa-
pierosami)*

Pali pan?

FELEK

(prawie szorstko)

Nie palę.

LUDA

(badawczo wpatrując się w Felka)

Szkoda. *(Zapalając papierosa po włożeniu go do długiej cygarniczki)* Oryginalne tureckie.
Prezent od księcia Aleksandra Szczerbca. *(Nagle z bajeczną prostotą)* Zna go pan?

FELEK

(po szybkim spojrzeniu na Ludę, zamaskowany)

Ma zgrabny wóz.

LUDA

(nie spuszczać z niego oka)

I doskonałego szofera.

FELEK

(bez drgnięcia powiekami)

A dobrze jeździ.

LUDA

(jak wyżej)

Poza tym bardzo miły chłopak.

FELEK
(nie reaguje).

LUDA
Sprytny, taktowny... Na przykład raz w „Algierze”... Wybraliśmy się z księciem...

CIMKIEWICZ
(który podniósł głowę i ze ściągniętymi brwiami słuchał, uderza obiema pięściami w stół, jak człowiek starający się w ten sposób powstrzymać wybuch).

LUDA
(do Cimkiewicza uprzejmie)
Czy ojciec sobie czego życzy?

CIMKIEWICZ
(po gwałtownym poprawieniu się na krześle i wściekłym spojrzeniu w stronę Ludy, dalej wertuje kartki).

PAN FRANCISZEK
(z nagłym ukłonem, krótko)
Żegnam *(zawraca na pięcie).*

FELEK
(szybko wstaje)

CIMKIEWICZ
(zrywając się, do Pana Franciszka)
Zostań!

PAN FRANCISZEK
(przybiera poprzednią pozę – wciąż pod drzwiami).
FELEK I CIMKIEWICZ
(siadają)
(Ciężka pauza).

LUDA
(bębniąc palcami lewej ręki po poręczy fotela, a prawą odkładając papierosa, cedząc słowa, niby niedbale)
Więc państwo prosto z Warszawy.

CIMKIEWICZ
(z wybuchem w głosie)
A skąd!

LUDA
(do Cimkiewicza, jak wyżej)
Myślałam, że z Paryża.

FELEK

(nie mogąc dłużej wytrzymać, wystrzela)

Bo to ja wszystkiego narobiłem! Moja żona doradzała, żebyśmy się nie pchali, ale jak sobie do głowy przybiore, to potem żeby nie wiem co, no i jest!

LUDA

Myli się pan. Właśnie chciałam podziękować panu za pańskie przybycie i przeprosić za afront, jaki pana spotkał w naszym domu.

FELEK

(mruczy pod nosem na stronie)

Było mię od razu na pysk i tyle.

LUDA

Co pan mówi?

FELEK

Nic, nic. Tak sobie.

LUDA

Niestety nie wiedziałam, z kim mam do czynienia...
Podano mi „falszywe” nazwisko, podano mi „falszywy” adres...

FELEK

A bo my ciągle w ruchu.

LUDA

(po uprzejmym przeczekaniu ciągnie dalej)

...wskutek czego figurował pan na liście gości jako...

CIMKIEWICZ

(który nerwowo zaciskał pięści i co chwila przenosił wzrok z Ludy na Pana Franciszka, ostro)
Przepraszam!

LUDA

(z góry i sucho)

Przepraszam!

CIMKIEWICZ

(z gestem oddającym głos)

Proszę!

LUDA

(do Felka, ciągnąc dalej)

...jako przedsiębiorca budowlany...

FELEK

A bo my ciągle zmieniamy.

LUDA

Jednakowoż, mimo że państwo ciągle zmieniacie, nie pojmuję, w jakim celu pan Szywała...

CIMKIEWICZ

Za pozwoleniem! Szywalski.

LUDA

(oddając głos Cimkiewiczowi)

Proszę!

CIMKIEWICZ

(jak wyżej)

Proszę!

CIMKIEWICZOWA

(półgłosem)

Jesus!...

FELEK

(udręczonym wzrokiem wciąż wodzi po obecnych)

LUDA

(po chwili, ciągnąc dalej)

...w jakim celu „pan Szywała” uważał za konieczne nawet i pańską osobę przedstawić w świetle „korzystniejszym”...

FELEK

(po spojrzeniu na Pana Franciszka)

Zawsze niby... szykowniej.

LUDA

Zależy, panie Zając. Może posiadam dużo wad – może nie mam serca – i to możliwe – ale gdyby ktoś odegrał w moim życiu taką rolę, jaką pan odegrał w życiu pana Szywały...

CIMKIEWICZ

To co!

LUDA

(do Cimkiewicza, cedząc słowa)

To ten „ktoś” nie byłby zmuszony borykać się ze służbą – odpowiadać na pytanie „czego pan sobie życzy?” – a wreszcie ratować nas od ostatecznej kompromitacji udając, kochany ojciec, wariata.

FELEK

Kiedy ja...

CIMKIEWICZ

Przepraszam pana. *(Do Ludy)* Tak sądzisz?

LUDA

Tak sędzę.

CIMKIEWICZ

(zacierając nerwowo ręce)

I w obecności tych twoich rozmaitych „Leonardów” posadziłabyś go na „pierwszym miejscu”. Co?

LUDA

Jeżeli ojciec wąpi...

CIMKIEWICZ

O, nie wąpię. Bynajmniej nie wąpię. Byłabyś z nim od razu na „ty”... jutro dla jego żony urządzałybyś olbrzymi „raut”... jego dzieci obwoziłabyś po „najszykowniejszych lokalach”... Pan Zając tu, pani Zająca tam, co?

LUDA

(cedząc słowa)

Nie wiem, czy urządzenie „olbrzymich rautów” dla pani Zająca i obwożenie jej dzieci po „najszykowniejszych lokalach” świadczyłyby dobrze o mojej inteligencji, ale za to wiem, że tolerowanie „oszustw” świadczyłoby źle o mojej wartości moralnej.

CIMKIEWICZ

(groźnie)

Luda!!

LUDA

(wstając i prostując się wyzywająco)

Ojcze?

CIMKIEWICZOWA

(jak wyżej)

Jessus Maria!...

CIMKIEWICZ

(wytrzymując wzrok Ludy)

Masz rację. Masz świętą rację. *(Z nagłym wybuchem, podnosząc pięść)* Ty zawsze masz rację!

LUDA

Ojca to martwi?

CIMKIEWICZOWA

(roztrzęsiona – wstając)

Już pójdę...

CIMKIEWICZ

(prawie bez głosu)

Idź.

CIMKIEWICZOWA

(idąc ku drzwiom i biorąc się za głowę)

Oszaleć można... oszaleć... *(wychodzi).*

CIMKIEWICZ

(natychmiast po wyjściu żony, do Ludy)

A gdyby się to nie było stało, co się stało. *(Wskazując Pana Franciszka)* Gdyby on do ciebie tak szczerze, jak jego siostra *(wskazując Felka)* do niego. Czy wtedy twoja „inteligencja” i twoja „wartość moralna”...

LUDA

(odwracając się od ojca i siadając na dawnym miejscu) Na „gdyby, toby” nie dam nigdy odpowiedzi. *(Po chwili krótko)* Panie Szywała. Po wczorajszym rozstaniu uważałam nasze stosunki za zerwane. Mój ojciec skłonił mię do ustępstwa, w nadziei, że omówienie „pewnej sprawy” otworzy mi oczy na „okoliczności łagodzące”. „Pewna sprawa” została omówiona i wprawdzie otworzyła mi oczy, ale na „okoliczności”, których naturą wolałabym się nie zajmować. A mianowicie: Dlaczego pan wtajemniczył mojego ojca przede mną i dlaczego pan uczynił to dopiero w ostatniej chwili.

PAN FRANCISZEK

(z wyrazem zaciętości w oczach)

FELEK

(półgłosem)

Gadajże.

PAN FRANCISZEK

LUDA

Czekam.

PAN FRANCISZEK

FELEK

(jak wyżej)

No gadajże.

PAN FRANCISZEK

LUDA

Czekam.

PAN FRANCISZEK

FELEK

(do Ludy)

To ja za niego odpowiem. Dźwigał na raz po półtora centnara. Nocą siedział nad książkami. Mocy żadnej. – A że za przeproszeniem nałgał co do reszty? Trudno. Przy lepszych gościach mało kto potrafi „sadzać na pierwszym miejscu” takiego, co mu honoru nie przynosi. Mało kto. Więc zamiast iść na ryzyko, wołał na pewniaka, no i po ludzku, delikatnie... *(Ilustrując gestem kręactwo)* Niby ten.

LUDA

Rozumiem pańską szlachetną intencję, panie Zając...

FELEK

(przerywając)

Kiedy prawda!

LUDA

(ciągnąc dalej)

I nie wątpię, że pan, biorąc pod uwagę warunki...

FELEK

(jak wyżej)

Stosowniejszej roboty nie znalazł!

LUDA

(z rosnącym zniecierpliwieniem)

Rozumiem, panie Zając. Rozumiem.

FELEK

(coraz gorliwiej)

A byliby z głodu pozdychali.

LUDA

(jak wyżej)

Tak, tak, tak. Jednakowoż...

FELEK

(wciąż przerywając)

Kiedy my pary z gęby nie puścimy!

LUDA

(jak wyżej)

Jestem o tym najmocniej przekonana, jednakowoż do tego stopnia nienawidzę kłamstwa...

PAN FRANCISZEK

(z gorzkim uśmiechem kiwnął głową)

FELEK

Przecie mu teraz niepotrzebne.

LUDA

(nie mogąc dłużej ukryć rozdrażnienia)

Czy potrzebne, czy niepotrzebne, oświadczam panu, że wolę...

CIMKIEWICZ

(który z widocznym trudem opanowuje wybuch)

„...kamienie tłuć”...

LUDA

(do ojca, twardo)

Tak jest, „kamienie tłuć”, niż nosić nazwisko człowieka, który nie cofa się przed niczym, byle osiągnąć swój cel.

PAN FRANCISZEK

(nagle podchodząc i siadając naprzeciw Ludy, z niesamowitą prostotą)

Zechce pani łaskawie – sprecyzować.

LUDA

(lekko drgnęła – wyniośle)

Rozmawiam z panem Zającem.

PAN FRANCISZEK

(lekko zacinając się ze wzburzenia)

Nie radzę. Szoferzy, chociaż mają „eleganckie” wozy i obwożą „eleganckich” gości po „eleganckich” nocnych lokalach, potrafią pleść, co im ślina na język przyniesie.

FELEK

(wyciągając rękę, uspokajająco)

Nie bój się, Franuś. Obiecałem strzymać, to strzymam.

LUDA

(która silnie drgnęła, wlepiając bazylijszkowy wzrok w Pana Franciszka)

Ach, więc to tak?

FELEK

No przecie, że tak.

LUDA

(bardzo wyniośle do Felka)

Proszę się obietnicami nie krępować. Proszę się czuć zupełnie jak... w „garażu”. *(Nagle do Pana Franciszka, wymierzając mu słowny policzek)* Ile pan żąda za milczenie?

(Cimkiewicz, który z napięciem słuchał, i Felek zerwali się na równe nogi).

PAN FRANCISZEK

(dygocąc z oburzenia, zdławionym głosem)

Jak pani śmie!!

CIMKIEWICZ

(równocześnie z Panem, Franciszkiem, groźnie)

Luda!!

FELEK

(z odpowiednim gestem do Cimkiewicza i Franciszka, ostro)

Za pozwoleniem! Moja sprawa! – *(Do Ludy ze szkaradnym spokojem)* A ile paniusia da?

LUDA

(wyzywająco, ale nie bardzo pewnym głosem)

10 tysięcy, 20 tysięcy, 100 tysięcy...

FELEK

Mało.

LUDA

(do ojca z przesadną beczelnością)

Bo niech sobie ojciec wyobrazi, z czym ci panowie tu przyszli. Śmia twierdzić, że byłam...

FELEK

(chwyając Ludę za obie ręce, groźnie)

Paniusiu! „W garażach” zamyka się paskudne gęby po naszymu. Na odlew. I zamknę. Jeszcze słowo, a, jak Boga kocham, zamknę!

PAN FRANCISZEK

(chwyając Felka za ramię)

Więc prawda!!

FELEK

(otrząsając się z Pana Franciszka, ostro, ale z widocznym zakłamaniem)

Łgarstwo! *(Do Cimkiewicza, coraz bardziej zgrywając się, przy jednoczesnym spoglądaniu na Pana Franciszka – niby to z pyskiem)* Przyszlimy tylko z tym, że jej śmierdzimy!! Ale taki, o którym cała Warszawa rozpowiada, że Bronkowemu księciu dziewczki stręczy, taki to dobry! Taki to pachnie! *(Wskazując na Ludę)* Przed takim to drzwi nie zamyka!! *(Idąc w stronę okna i dorzucając niby na stronie)* Cholera!

LUDA

(zupełnie ogłupiałym wzrokiem wodzi kolejno po obecnych. Bo też sytuacja zrobiła się niemożliwa. Pan Franciszek na pewno domyślił się wszystkiego. Świadczą o tym jego oczy, wlepione w Ludę z wyrazem... otóż to właśnie najgorsze, że bez żadnego wyrazu. Dwie szklane protezy. A Cimkiewicz?)

CIMKIEWICZ

(który powoli skamieniał, tak że tylko powolny ruch palców u prawej ręki, cos jakby rozcieranie ich na mrozie, świadczy o jego cielesności, bardzo wolno, ciężko i bez siadu wzruszenia w głosie)

Co – pan – wie.

FELEK

(nie odwracając się od okna, tylko wzruszając ramionami, mruczy)

Com wiedział, tom powiedział.

CIMKIEWICZ

(do Ludy, jak wyżej)

A ty – co – wiesz.

LUDA

(nadludzkim wysiłkiem starając się opanować strach, ale mimo to zacinając się co parę słów)
Ja? Ja wiem i... nadal utrzymuję... że każdy ma prawo...

CIMKIEWICZ

(jak wyżej, kończąc zdanie za Ludę)

...rozporządzać – swoją – osobą.

LUDA

(coraz bardziej roztrzęsiona)

Tak jest... rozporządzać swoją... osobą... i dbać...

CIMKIEWICZ

(jak wyżej)

...o kryształową czystość *(wskazując scenę)* gablotki.

LUDA

Tak jest... o kryształową... czystość...

CIMKIEWICZ

(jak wyżej)

„gablotki”

LUDA

Ga... ga... gablotki.

CIMKIEWICZ

(z przerażającym spokojem, podchodząc do Ludy)

A gdyby *(lekko szarpiąc pyjamę Ludy, a potem wskazując sprzęty)* to – i to – i to – i w ogóle wszystko – zaczęło – trącić – kryminałem?

FELEK

(szybko odwracając się od okna)

Panie szanowny!...

CIMKIEWICZ

(z wybuchem)

Cicho!!

PAN FRANCISZEK

(półgłosem)

Boże!...

CIMKIEWICZ

(do Ludy dawnym, straszliwie spokojnym głosem)

Cóż wtedy.

LUDA

(zdobywając się na cień bezczelności)

Ojciec... chyba... oszalał...

CIMKIEWICZ

Zapytałem, co wtedy. Cegły? Kamienie? *(Po chwili gwałtownie)* Gadaj?

LUDA

(z trzęsącą się brodą)

Byłabym... zmuszona... opuścić... dom.

CIMKIEWICZ

Powtórz.

LUDA

O...puścić... dom.

CIMKIEWICZ

Powtórz jeszcze raz.

FELEK

Kiedy, panie szanowny, łgarstwo! My tu, na sumienie, z „tym” nie przychodzili...

CIMKIEWICZ

(ciężko jak ołów)

Prosiłem pana o spokój. *(Do Ludy)* No?

PAN FRANCISZEK

(zasłania sobie oczy).

FELEK

(wykonuje szereg ćwierćruchów człowieka, który koniecznie chce, a nie śmie przerywać).

LUDA

(trzęsie się jak liść i milczy)

CIMKIEWICZ

Ale na serio. Nie na wiatr.

LUDA

(jak wyżej)

O...o...opuść... opuścić... dom.

CIMKIEWICZ

To w takim razie... *(nagle wskazując drzwi – strasznym głosem)* Marsz!

LUDA

(kurczowo czepia się poręczy fotela, żeby nie upaść).

PAN FRANCISZEK

Niech pani nie słucha! Niech pani nie wierzy!

FELEK

(jednocześnie z Franciszkiem)

Rany Boskie!!...

CIMKIEWICZ

(prawie z szatem, wciąż wskazując drzwi)

Marsz!! Na róg Garncarskiej i Krupniczej!! Na róg Garncarskiej i Krupniczej!! Do mydła! Do śledzi!! Do świec!!! *(Nagle wskazując Pana Franciszka)* Jego matka dla niego raz! A ja dla

ciebie tysiąc razy!! On od rodziców nędzę! A ty ode mnie pełny żłób!! Łajdactwami! Sza-cherkami! Nadużyciami! Za które powinienem kulą w łeb!! – Chciałaś prawdy? Masz prawdę!! Chcesz godne nazwisko?! Noś dawne! Cimek! Cimki! Cimkówna!!! I tak wiedzą! I tak za plecami: „Cimek”! Cimki! Cimkówna!! (*Ponownie wskazując Pana Franciszka*) A tylko on jeden – słyszysz mię?! – tylko on jeden u twoich nóg!! Bo cię na swoje nieszczęście kochał!! I tutaj nasza „spółka”!! I tutaj nasze szantaże! Brnąć dalej!! Kłamać dalej!! Byle się nie przekonać, czym ty naprawdę jesteś! (*Usuwa się na fotel, jakby mu nagle zabrakło sił, co chwila łapiąc ustami powietrze i potrząsając wskazującym palcem – zupełnie bez głosu – do Felka*) Tak, panie Zając! Święte słowa!... Zamiast folgować, było prac!... (*opuszcza ręce, garbi się, wlepia szklany wzrok w posadzkę i tragicznie kiwa głową, jakby przytakiwał własnym myślom*).

FELEK

(*po raz może szósty, wciąż półgłosem*)

Rany Boskie!...

LUDA

(*jak stała, tak stoi, tylko przesuwa dłoń po czole ruchem powolnym, machinalnym ludzi bli- skich omdlenia, a lewą ręką czepia się coraz mocniej poręczy fotela*).

PAN FRANCISZEK

(*który coraz bardziej wyrywał się z coraz bardziej błagalnym gestem w stronę Cimkiewicza, bezpośrednio po jego słowach*)

Niech pani nie wierzy, pani Ludo! Niech pani nie wierzy! Ojciec przesadza! W wojennych czasach prawie wszyscy od góry do dołu... Po prostu anormalne stosunki... psychoza... A przecież można restytucję... Mam stanowisko, pracować lubię... (*chcąc ująć rękę Ludy*) potrafię bez niczyjej pomocy...

LUDA

(*bez zmiany pozy, prawie bez głosu*)

Precz...

CIMKIEWICZ

(*machając ręką – ze łzami w głosie*)

Szkoda serca!... Szkoda serca!...

PAN FRANCISZEK

(*który po „precz” Ludy odskoczył i zacisnął pięści, nagle do Cimkiewicza*)

Nie nie! Zupełnie zrozumiałe. Znadto silny cios! (*Do Ludy*) Prawda? Znadto silny cios! Ale, zobaczy pani, wszystko się powoli ułoży... (*Wskazując Felka*) oni ani słowa nikomu nie pisną...

LUDA

Precz!...

(*jak wyżej*)

PAN FRANCISZEK

(*groźnie*)

Pani Ludo!... (*Po chwili prawie miękko*) Nie, nie, nie, pani Ludo! Niech pani jeszcze rozważy! Niech się pani dobrze zastanowi! Właśnie ja... Właśnie my dwoje... Przecież nie mamy

prawa za surowo... Musimy sobie nawzajem... A ci, którzy dzisiaj, że nasza przeszłość i tak dalej... skoro staniemy na silnych nogach...

LUDA

(ciężko dysząc)

Po raz ostatni... precz! *(idzie w stronę telefonu)*.

PAN FRANCISZEK

(który słuchał ze zgrozą – z nagłym lękiem)

Co pani robi!

LUDA

(ze słuchawką przy uchu, nastawiając numery, wciąż zdławionym głosem)

Idę... na róg... Garncarskiej... i Krupniczej. *(Do telefonu, starając się, ale na próżno, mówić naturalnym głosem)* Hallo! – Pan Leonard? – Dzień dobry panu. – Co? – Nic się nie stało. Pragnę tylko zawiadomić pana...

CIMKIEWICZ

(który powstał i również ze zgrozą patrzył na Lude, nagle rzucając się i wyrywając jej słuchawkę)

Puszczaj to!!

LUDA

(z wybuchem krzyząc)

Proszę mi to natychmiast oddać!!

CIMKIEWICZ

(ze słuchawką przy uchu)

Cicho!! *(Do telefonu)* Hallo! Cimkiewicz! Słuchaj kanalio jedna...

PAN FRANCISZEK

(szybko podchodząc i odbierając mu słuchawkę) Przepraszam! *(do telefonu, sucho)* Hallo! Szywała. – No tak. Ja. Profesor doktor Franciszek Szywała. Nie nie. Nic się nie stało. Pragnę tylko zawiadomić pana, że od tej chwili będzie mówiła moja była żona, *(Oddaje Ludzie słuchawkę)* Proszę. *(Szybko, z widocznym wstrętem zdejmując z palca zaręczynowy pierścionek, potem ślubną obrączkę i kładąc na stole z prawej)* Tutaj pierścionek, obrączka... *(Z nagłym ukłonem)* Żegnam *(idzie ku drzwiom, za nim postępuje Felek)*.

LUDA

(która osłupiałym wzrokiem śledziła każdy ruch Franciszka, nagle drżącym głosem) Panie... Franiu!...

PAN FRANCISZEK

(już przy drzwiach, robi przeczący ruch ręką i głową i, bez odwrócenia się w stronę Ludy, wychodzi).

FELEK

(który się zatrzymał, patrząc szkaradnie w Lude)

Ślus. Ślus paniusiu. Za dwoma nawrotami nie ma głupich. *(Z ukłonem)* Padam do nóżek *(szybko wychodzi)*.

LUDA

(zaraz po wyjściu Felka wlepia przerażony wzrok w Cimkiewicza)

CIMKIEWICZ

(który w czasie tej sceny nabiera coraz twardszego wyrazu twarzy, wskazując telefon, tonem bezapelacyjnym) Telefonuj!

(Słuchawka wypada z rąk Ludy)

ZASŁONA

EPILOG

ULICA ŚW. JANA

W głębi kościół Pijarów, fragment ul. Pijarskiej, biegnącej w poprzek sceny. Na pierwszym planie z lewej róg Hotelu Francuskiego, z prawej róg pałacu Czartoryskich. Na ścianach kościoła i po obu stronach wejścia ponalepiane różne klepsydry.

MILCIA

(z ceratową torbą „do miasta”, zajęta mozolnym czytaniem klepsydry)

U – ni – wer – *(Do siebie)* Uniwer. *(Czyta)* Szy – Uniwerszy – te...

(Z prawej weszła MARYNIA i FRANIA, również z torbami do miasta).

MARYNIA

A cóż tak Milcia nad tym stoi. Nie wie to Milcia, kto?

MILCIA

Przecież, że nie wiem.

FRANIA

Ojej!... To cały Kraków na pogrzebie, aż ulice zatkało...

MARYNIA

Wieńców to ci nawieszali, że się ten karawan tylko tak trząśł od tej zieleni...

FRANIA

Mało co krzyża było widać...

MARYNIA

A księży!... Od reformatów, od kapucynów. *(Z uznaniem)* Ksiądz „Rutkiewicz” prowadził...

MILCIA

A bo to już przeszli?

FRANIA

E rychło wczas. Już przy cmentarzu do tej pory.

MILCIA

O rany! Aż mnie drze, tak bym poleciała, a tu mamy kolację, z gośćmi. Wczorajem se kaczek nie poskubała...

MARYNIA

My też tylko na początku były.

MILCIA

A z czegoż umarł?

MARYNIA

Milcia to jakby w piwnicy siedziała. Przecież jednego dnia się ożenił, a drugiego już go auto przejechało w biały dzień na Sławkowskiej.

MILCIA

O matko! Ale też te auta ludzi nazabijają!

MARYNIA

Ale się podobno szofer w policji przysięgał, że trąbił, wołał, a tamten jakby go ogłuszyło.

FRANIA

Widać mu już Pan Jezus przeznaczył.

MILCIA

Dopiero to żona musiała rozpaczać. Nie widziała Marynia? Mgląła?

FRANIA

A wie Marynia co, że mi Makowska ze sklepiku mówiła, że ta w czarnym kapeluszu, to nie żona, tylko siostra, a ten, co nim tak targało, to jej mąż.

MARYNIA

Jakbym miała czas dziś wieczór, to jeszcze skoczę do Makowskiej. Tyle ci wie o tym nieboszczyku, co raję!

MILCIA

A cóż Maryni mówiła.

MARYNIA

Podobno na tym ślubie już jakieś rozgruchy były, mało policji nie sprowadzili... A przez cóż tak.

MILCIA

MARYNIA

Jakoś nie zrozumiałam, bom się śpieszyła. Ale że on to miał być bardzo porządny człowiek, tylko strasznie zamyślony, poważny...

MILCIA

Już widać przeczuwał, że życie zakończy.

FRANIA

Powiadali też u Makowskiej coś, że matka mu w kryminale umarła...

MILCIA

E, ludzie to muszą zawsze na każdego powiedzieć.

MARYNIA

(wskazując na lewo)

O, już się wracają.

(Na scenę wchodzi STARY HRABIA, INSPEKTOR, RADCA – wszyscy trzej w czarnych surdutach, czarni od stóp do głowy, INSPEKTOR włożył cylinder.)

STARY HRABIA

(sapiąc i ocierając chustką czoło)

Prędeż. Prędeż panowie. Jesteśmy zapóźnieni. Zajmą nam stolik, a nóg po prostu nie czuję...

INSPEKTOR

Kiedy już prędeż, hrabio, nie mogę.

RADCA

Ani ja (przeszli na prawo)

MILCIA, FRANIA I MARYNIA

(zagapiły się na nich)

FRANIA

(zniżając głos)

Jakiś hrabia.

MARYNIA

Spieszą się widać.

MILCIA

(zaniepokojona)

Któraż to będzie.

FRANIA

Po piątej.

MILCIA

Bójcie się grzycha, leczę! *(Odchodząc w lewo, woła w stronę Frani)* Dałam se zegarek do naprawy, to mi go już trzeci tydzień trzyma...

FRANIA

(wołając za Milcią)

Niechże Milcia poczeka. Z plakatami idzie!

(Z prawej wchodzi rozlepiacz klepsydr, podchodzi do ściany kościelnej, smaruje kłajstrem klepsydrę Pana Franciszka i zalepiają świeżą klepsydrą).

MILCIA

(która wróciła na scenę i śledziła każdy ruch rozlepiacza, ze współczuciem)

Widzieliście! W sam raz na niego plasną!

FRANIA

(również ze współczuciem)

Już go zalepiły! Już go nie ma!

MILCIA

Jak się to jeszcze i tu jedne na drugie pchać potrafią...

Świecie kochany!

FRANIA
(*rzewnie*)

KONIEC